Sczytane: Janusz Tadeusz Nowak
Weryfikacja: Zbigniew Solak, Jan Sienkiewicz

Dziennik
rok 1916 (styczeń-marzec)
Michał Römer
3 stycznia roku 1916
Kraków, w szpitalu fortecznym austriackim nr IV
tom XII

3 stycznia rok 1916.
poniedziałek. s. 1.

Dr Czaplicki przy wizycie rannej ustalił dziś ostatecznie decyzję skierowania mnie do superrewizji. Spytał mnie raz jeszcze, czy chcę tego, a gdym potwierdził, wydał orzeczenie. Siostra nakreśliła natychmiast znak tajemniczy na tablicy wiszącej nad łóżkiem moim, podobny z kształtu do litery S. Okazało się, że oznacza to „superrewizja", jako rezolucję i wniosek z choroby i leczenia. Z chwilą więc, gdy zapadła decyzja, wyszedłem właściwie z roli chorego, podlegającego leczeniu w szpitalu. Odtąd jestem w roli podlegającego superrewizji. Na razie przypuszczałem, że już lada dzień, może nawet jutro, doktor zdejmie kartki znad mego łóżka, to znaczy każe mi już opuścić szpital. Nie podobało mi się to, bo dla spraw moich chcę jeszcze najmniej z tydzień zabawić w Krakowie. Wszakże siostra Morzycka zapewniła mnie, że jeszcze z jakieś dwa tygodnie z pewnością tu posiedzę, bo przygotowywanie papierów dla skierowanych do superrewizji wymaga jakiejś specjalnej długiej procedury; a dopiero gdy papiery są gotowe, kandydat superrewizyjny opuszcza szpital. Będę więc tu teraz siedział i czekał jak delikwent. Nie koniec będzie jednak formalnościom na wygotowaniu papierów tutaj. Dopiero gdy stąd wyjdę, rozpocznie się dla mnie prawdziwa wędrówka, od Annasza do Kajfasza, ze szpitala do tzw. „transema" w Krakowie; dalej z Krakowa do Dziedzic, gdzie się znajduje punkt zborny i segregacyjny wysyłanych ze szpitalów legionistów, wreszcie z Dziedzic do Kamińska[1] pod Piotrkowem, do legionowego zakładu uzdrowieńców (rekonwalescentów).
Jednocześnie pocztą idą do Kamińska z Krakowa papiery moje. Kamińsk jest w tej wędrówce punktem zwrotnym. Po przyjściu do Kamińska papierów takowe się tam przepisują i odsyłają się znów do Krakowa do komisji superrewizyjnej, a delikwent znów się puszcza w drogę powrotną do Dziedzic, a z Dziedzic do Krakowa. Superrewizja odbywa się następnie w Krakowie. Jeżeli komisja superrewizyjna uzna delikwenta za zdatnego do służby wojskowej albo udzieli mu urlopu, to rzecz się, zdaje się, na tym kończy. Jeżeli wszakże orzeknie o zwolnieniu go od wojska, to wtedy delikwent skierowany zostaje przed drugą komisję, która zasiada w jakimś innym mieście.
Wracam dziś do dalszego, a tak nieregularnego ciągu galerii typów z naszego byłego plutonu. Na Komackim, o którym ostatnio pisałem, kończy się skład II sekcji naszego plutonu. Przez krótki czas należał do II sekcji naszego plutonu jeszcze niejaki Woychar[2], b. szóstak, chłopiec młody i bardzo cichy, Ślązak, ewangelik. O nim, jak o innych b. szóstakach, którzy przez dni 10 byli w naszym plutonie, nic nie będę pisać, bo

[1] Prawidłowa nazwa Kamieńsk, jakkolwiek bardzo często używano wówczas powyższej formy. Dom Rekonwalescentów w Kamieńsku założony został w lipcu 1915 r. w fabryce giętych mebli „Wojciechów" i okolicznych willach. Komendantem był por. dr Eugeniusz Malisz.
[2] Woychar, legionista 2 plutonu 1 kompanii I batalionu 1 pp. I Brygady.

nie zdążyłem ich poznać, a zresztą byli od nas odosobnieni i nic godnego uwagi nie przedstawiali. Przechodzę więc do sekcji III i ostatniej w plutonie naszym. Na czele stoi obywatel Papiz, kapral sekcyjny, rodem Lwowianin czy też Krakowianin, młody człowiek w wieku ± 21-22 lat. Papiz należy do najstarszej wiary, do pierwszych żołnierzy strzeleckich sprzed Legionów. Poprzednio przed wojną należał do organizacji strzeleckich. Jest więc strzelcem z krwi i kości, prawowitym polskiego ruchu zbrojnego szermierzem. Należy podobno do jakiegoś starego rodu szlacheckiego, pono pochodzącego z Francji czy w każdym razie z krajów obcych, ale widocznie rodu podupadłego tak majątkowo, jak stanowiskiem; sam Papiz wykształcenia większego nie ma, ani też zbytniej inteligencji. Jaki jest jego fach cywilny – nie wiem. Jest to chłopiec spokojny, bardzo zrównoważony, bardzo staranny. Ta staranność cechuje go też jako żołnierza i stanowi wybitną zaletę jego. Jest zawsze grzeczny, uprzejmy; lubi pogawędzić, lubi opowiadać o swojej przeszłości w strzeleckich organizacjach, ale nie ma temperamentu i robi to w sposób nudny. Ponad to niewiele mam o nim do powiedzenia. Dobry chłopiec, szczery żołnierz – i dość na tym. Wiem o nim tyle, że w listopadzie wyjechał z linii na urlop. W walkach krwawych nad Styrem ocalał. Być może, że teraz już wrócił na linię. Mało mi zostaje miejsca, ale zacznę jeszcze o następnym, mianowicie o obywatelu Kruszynie. I ten także, jak Papiz, należy do kategorii najstarszej wiary, która wyszła z organizacji strzeleckich i od samego początku wojny stanęła do pierwszych zbrojnych szeregów polskich, gdy jeszcze Legionów nie było. Tacy są już coraz rzadsi obecnie w Legionach; w niektórych plutonach są już zgoła unikatami. Wyginęło już tej wiary, rozproszyło się, powznosiło na wyższe szczeble szarż. Są to strzelcy najrzetelniejsi, ideowcy prawdziwi ruchu zbrojnego polskiego, jego kwiat wyborowy i najszlachetniejszy. Jutro dokończę o Kruszynie.

4 stycznia, rok 1916, wtorek

Kończę o obywatelu Kruszynie. Nie tylko że należał do najstarszych, najpierwszych strzelców, ale miał jeszcze tę zasługę, że od samego początku wojny, od pierwszego dnia wstąpienia w zbrojne szeregi strzeleckie pozostawał w szeregu w linii stale; nie opuścił ani jednej bitwy, ani jednego dnia służby; ani razu nie był w szpitalu ani na urlopie, słowem nie opuścił szeregu ani na jedną chwilę. Jako taki był w naszym plutonie jedynym, nawet wśród najstarszych żołnierzy. Nie był przy tym ani razu rannym ani nawet draśniętym kulą lub jakimś innym narzędziem śmierci. Była to osobliwość u żołnierza, który brał udział we wszystkich walkach i nigdy na chwilę nie oddzielił losu swego od losu pułku. To go wyróżniało w plutonie i stawiało na samym czele zasłużonych. Szczęśliwy los otaczał tego żołnierza jakimś niewidzialnym puklerzem, który sprawiał, że się go żadna kula nie imała. Kruszyna pochodził z Krakowa, w plutonie miał tylko skromną rolę zastępcy sekcyjnego. Był w wieku mniej więcej 24 lat. Przysadzisty, dość niezgrabny i ociężały w ruchach, brzydki, o rysach twarzy dość wulgarnych, jakby nalanych, i o wielkim kartoflastym nosie – miał wygląd dość niepozorny. Oczy miał tylko niebieskie, ładne i żywe, świecące inteligencją. Na razie mi się nie podobał. Był on przyjacielem i wspólnikiem Marsa, który od razu pozyskał moją sympatię; dziwiłem się, że Mars dobrał sobie takiego „nieciekawego” typu przyjaciela, tym bardziej, że spostrzegłem, iż Kruszyna go wyzyskuje i korzysta z usług i pracowitości Marsa, sam palcem o palec nie stukając, jakby był sobie wielkim panem. Później dopiero, gdym Kruszynę poznał, zmieniłem o nim opinię i polubiłem go, jak wart był tego. Kruszyna ma rzeczywiście naturę leniwą, jest wygodnisiem, co nie przeszkadza mu być dobrym żołnierzem, bardzo dzielnym i sumiennym. Nie jest to lenistwo człowieka tępego i głupiego; Kruszyna nie lubi zmuszać się do ruchu

fizycznego, lubi natomiast kwietyzm, w którym swobodnie pracuje myśl jego i dowcip. Ma dużo poczucia komizmu, ma spryt subtelny i ostry, spostrzegawczość i treściwość sądu. Jest to filut, który się bawi życiem, bawi jego stroną komiczną, bawi własną obserwacją. Nie trzeba mu zabaw wymyślnych ani jakiejś gry namiętności; przygląda się, żartuje, obserwuje, zachowując zawsze niewzruszony spokój – i bawi się tym. Jest coś szczególnie zabawnego i sympatycznego w tym kontrastycznym zestawieniu jego spokoju, flegmy i lenistwa z humorem, ciętym dowcipem i ostrym sprytem. Karierowiczem Kruszyna nie jest i nie dba o gwiazdki, odznaki i walor zewnętrzny. Zadawalają go najzupełniej jego osobiste przeżycia i te przyjemności i rozrywki wewnętrzne, które w sobie samym czerpie. Nie pnie się w górę na wyżyny, ale też nie da sobie dmuchać w kaszę i potrafi sobie dać radę w każdej sytuacji. Jest nie tylko sprytny, ale też mądry i życiowo zaradny. Inteligencję ma żywą i na spostrzegawczości opartą znajomość życia. Jest wykształcony; zdaje się, że jest maturzystą. Lubiany był w plutonie, z wyjątkiem zdaje się tylko jego własnej sekcji III, która miała do niego jakieś żale i pretensje, że się od niej odosabnia, rzekomo w celu lżejszej służby; każda bowiem sekcja w plutonie, jak zresztą każdy pluton w kompanii i każda kompania w batalionie, jest najświęciej przekonana – co jest bardzo ludzkie – że na nią spadają najcięższe obowiązki i że ona właśnie jest Kopciuszkiem w rodzinie wojskowej; ludzie bowiem, jak to zwykle, pamiętają najdokładniej i liczą własne swoje trudy i ciężary, a przeoczają ciężary i pracę innych; a ponieważ Kruszyna był przyjacielem Marsa i był w zażyłych stosunkach z Gucem, Kosą, Bohunem, Gutowskim, z którymi grywał w karty, gawędził, żartował i zresztą inteligencją był bardziej równy, toteż zwykle na kwaterach lokował się z sekcją II lub I i na placówki szedł z tymi sekcjami, zamiast ze swoją III, co mu Papiz, Mich i w ogóle żołnierze sekcji III za złe brali, z przekąsem się o „panu" Kruszynie odzywając. Kruszyna mimo swój kwietyzm i skłonność do lenistwa fizycznego, był, jak wspomniałem, dobrym i dzielnym żołnierzem. Obowiązków żołnierskich nie zaniedbywał nigdy i spełniał je starannie, nie szczędząc energii. Miał wybitne poczucie honoru żołnierza polskiego, miał głębokie tradycje ideowe ruchu strzeleckiego, którymi się nie popisywał na słowach, które nawet poniekąd ukrywał pod maską swego humoru i sceptycznego dowcipu, ale które w czynie wcielał. Raz pamiętam, w początkach mego pobytu w plutonie, w wiosce Zajączówce była mowa na kwaterze o wyczerpaniu żołnierzy i o tym, że dowódcy nasi, a w szczególności Dąb, są bardzo wymagający co do służby, a nie dość dbali o jedzenie, wygody i wypoczynek żołnierza. Ktoś w tych narzekaniach posunął się do tego, że powiedział, iż tą metodą można będzie doprowadzić żołnierzy do poddawania się Moskalom. Trzeba było widzieć i słyszeć, jak się na to zerwał flegmatyczny i ceniący spokój Kruszyna i jak ostro powstał na takie wnioski, które w samym teoretycznym wypowiedzeniu demoralizują i są zgoła niedopuszczalne w ustach legionisty, jak bluźnierstwo. Zagrał w nim piękny gorący odruch idei, który przełamał jego zwykły spokój i pozory sceptycyzmu. Sam też był zawsze wiernym strzelcem w czynie, odważnym i sumiennym. Odwagą celował. Jak od początku wojny, tak w ciężkich październikowych i listopadowych krwawych walkach nad Styrem, w których tylu zginęło lub zostało rannych, Kruszyna ocalał. Wszakże w listopadzie, po przeszło 15-miesięcznym pobycie w linii Kruszyna wyjechał na urlop. Obecnie już z pewnością wrócił i znów jest w szeregu.

5 stycznia, rok 1916, środa
Zacznę więc dziś od wczorajszej wizyty profesora Pomorskiego. Ucieszyłem się szczerze, gdym go ujrzał wchodzącego do sali szpitalnej. Wizyta jego była dla mnie zgoła niespodziana, ponieważ nie wiedziałem o jego przyjeździe do Krakowa.

Przyjechał na jakiś zjazd i narady ziemian z Królestwa i Poznańskiego oraz zapewne z Galicji w kwestii rolnictwa. Jak wiadomo, rolnictwo w Polsce, zwłaszcza w Królestwie, zostało ciężko dotknięte wojną i jest w stanie ostrego kryzysu, a natomiast jest w chwili obecnej najważniejszą bodaj gałęzią gospodarki krajowej; toteż zjazd obecny, na który też przybył Pomorski jako uczony w tej dziedzinie, posiadający też wielkie doświadczenie i znajomość stosunków gospodarczo-rolnych w kraju, ma za zadanie ustalenie akcji planowej w produkcji rolniczej na gruncie obecnego kryzysu. Wizyta Pomorskiego była dla mnie jakby jakimś echem czy tonem rodzinnych stosunków, tak miłych, gdy się jest długo z dala od swoich bez żadnej o nich wieści. Z tego punktu wizyta Pomorskiego była dla mnie droższą, niż gdyby to był tylko gość znajomy z Warszawy. Przez swoje bliskie spokrewnienie z rodziną Komorowskich Pomorski jest dla mnie prawie krewnym; zna on całą rodzinę moją, zna nasze strony, jest tu dla mnie żywym wiązadłem między mną, oderwanym od swoich, a moimi najbliższymi, mimo że sam nic o nich nie wie konkretnego i przeto żadnych dokładnych informacji udzielić mi nie był w stanie. Dowiedziałem się od niego tylko tyle, że Zysiowie Komorowscy zamierzali wysłać dzieci do Bielcza do Pruszanowskich, sami zaś zostać w Kowaliszkach i czekać wkroczenia Niemców; czy wszakże zostali – o tym nic nie wiadomo; list Kotuńki Pruszanowskiej, który otrzymałem w grudniu w Rzeszowie, pisany z Bielcza w sierpniu, mniej więcej koło tego czasu, kiedy ofensywa niemiecka docierała do Kowaliszek, nic nie wspomina o tym, żeby dzieci Komorowskich były lub miały przyjechać do Bielcza; Pomorscy otrzymali tylko list od Zitki[3], wysłany *via* Tylża; właściwie krótką kartkę, w której wszakże tyle było wykreślone, że właściwie niczego się z niej dowiedzieć nie było można; ja stąd jednak wnioskuję, że Zitka, wraz oczywiście z rodzicami, pozostała na miejscu i dała się odciąć przez kordon niemiecki, a stąd jej kartka skierowana była w jakiś sposób na Tylżę; co do Julka Komorowskiego[4], który służył w rosyjskim wojsku, to dowiedziałem się od Pomorskiego, że po tyfusie, który przebył na wiosnę w Warszawie i o którym ja jeszcze wiedziałem, otrzymał urlop roczny; co wszakże z nim dalej się stało – nie wiadomo; z pewnością nie czekał na Niemców w Kowaliszkach, bo byłby przez Niemców traktowany za jeńca wojennego; musiał zwiać zawczasu i możliwe, że został znów do wojska wzięty, bo podobno w domu bardzo szybko wrócił do sił i kwitnącego zdrowia; o Papie, o Maryni Pomorski nic nie wie, ale przypuszcza, że Marynia jest w Wilnie i nie zmieniła naszego mieszkania przy ul. Wileńskiej, bo gdy Pomorski w myśl mojej prośby robił starania o zawiadomienie Maryni o mnie i prosił niejakiego p. Krasińskiego[5], jadącego do Wilna, aby to zrobił, ten mu na to odpowiedział, że zna adres Maryni i że Marynia tam właśnie przy ul. Wileńskiej mieszka, może się więc uda, że dotrą do Maryńki wiadomości o mnie i że tą drogą jakiś pośredni daleki związek się między nami nawiąże; pocztowej komunikacji między Warszawą a Wilnem nie ma, komunikacji kolejowej bezpośredniej też nie ma, bo Kolej Petersburska między Warszawą a Wilnem nie jest w całej ciągłości naprawiona i funkcjonuje jeno na poszczególnych odcinkach, do Wilna zaś się jedzie przez Prusy; w ogóle jazda do Wilna jest bardzo utrudniona, ale przecież to ten, to ów dociera z Wilna do Warszawy i odwrotnie; o naszych stronach Pomorski wie tylko tyle, że Poniemuniek Kazimierza

[3] Zofia Komorowska (Zitka) (1898-?), córka Zygmunta Komorowskiego i Elizy z Römerów, absolwentka wileńskiego gimnazjum, studiowała nauki społeczne i ekonomiczne w Akademii Handlowej przy Katolickim Uniwersytecie w Louvain (Belgia), z powodu choroby zmuszona przerwać studia. Aresztowana 1 X 1940 r. przez NKWD pod zarzutem szpiegostwa na rzecz Wielkiej Brytanii, w marcu 1941 r. za działalność konspiracyjną skazana na 15 lat obozu pracy.

[4] Juliusz Komorowski (1893-1982), syn Zygmunta Komorowskiego i Elizy z Römerów, ziemianin, aresztowany w 1919 r. przez bolszewików, spędził 2 lata w smoleńskim więzieniu.

[5] Krasiński – bliższych danych brak

Świąteckiego[6] ocalał, ale jest całkowicie wyludniony i oczywiście pozbawiony wszelkiego inwentarza; sam Świątecki siedzi w Wilnie, skąd podobno posyłał kogoś jakąś drogą do Poniemuńka na zwiady; wyludnienie to pochodzi podobno stąd, że Moskale podczas cofania się wyganiali całą ludność miejscową; analogiczne stosunki do Poniemuńka muszą panować także w okolicach Bohdaniszek z tą chyba jeszcze na niekorzyść Bohdaniszek różnicą, że Bohdaniszki położone są bliżej obecnego frontu wojennego w jego odcinku dynebursko-iłłuksztańskim. Oto wszystko mniej więcej, co się od Pomorskiego „*pro domo sua*" dowiedziałem. Skądinąd dużo ciekawego mówił Pomorski o Warszawie. Bierze on tam wybitny udział w ruchu społeczno-kulturalnym jako prezes Wydziału Oświecenia i członek Warszawskiego Komitetu Obywatelskiego. Stwierdza, że istotnie w kołach inteligenckich i politycznych Warszawy nastąpiło duże ujednostajnienie w kierunku ideału niepodległościowego, chociaż niedobitki endecji z jej moskalofilską ideologią istnieją jeszcze; wszakże co do utworzenia jakiejś Rady Narodowej, która by zjednoczyła wszystkich na wspólnym programie, jak się to ma w Galicji, Pomorski jest pesymistą i uważa to za niestety nieziszczalne ze względu na zasadnicze różnice metody i dróg, czyli tzw. „orientacji". Sam Pomorski, jak poprzednio, należy do tego odłamu obozu niepodległościowego, który, jak Straszewicz, uważa polski czyn zbrojny, czyn Legionów za czyn nie prowadzący do celu w obecnej wojnie i propaguje neutralność wobec stron walczących z zachowaniem tylko własnej woli niepodległościowej i ewentualną akcję memoriałową itp. na okres likwidacji wojny, a tymczasem akcję społeczno-kulturalną, samopomocy i organizowania sił narodowych poza sferą wojenną; dla czynu Legionów mają oni tylko uznanie, mają szacunek, ale nie wiarę w praktyczny jego realizm. Powiada Pomorski, że natomiast w masach ludowych, tak wiejskich, jak miejskich, a nawet w klasie średniej moskalofilstwo nie tylko nie ustało, ale się raczej szerzy i konsoliduje w głąb przez reakcję przeciwko zarządzeniom niemieckim i przez tę prostą zmysłową psychologię, że wraz z ustąpieniem Moskali i przyjściu Niemców wszystko podrożało i warunki życiowe pogorszyły się straszliwie. Co do rządów niemieckich w Warszawie i na całym terenie okupacyjnym niemieckim – to te są bardzo ciężkie i budzą w całym społeczeństwie niechęć i odporność. Wszyscy wraz z obozem niepodległościowym ze wszystkimi jego odłamami mają w Warszawie w stosunkach wewnętrznych zwrócony front przeciwko Niemcom i muszą być ciągle czynni, by się odpornie trzymać. Jest ciągła nieustająca walka między władzami okupacyjnymi a społeczeństwem. Tu trzeba nie przykładami mówić, ale też ciągłość tego stanu walki wykazać i pojąć, gdyby się ją miało obrazować.

6 stycznia, rok 1916, czwartek
Pomorski, będąc u mnie pozawczoraj, wręczył mi 100 rubli zasiłku pieniężnego, naturalnie tytułem pożyczki. Chociaż w liście moim prosiłem go nie o pożyczkę, jeno o postaranie się sprowadzenia dla mnie tych pieniędzy od Maryni z Wilna, jednak teraz przyjąłem. Wiem, że doczekać się pieniędzy z Wilna przy obecnych stosunkach komunikacyjnych jest prawie niepodobieństwem. Zresztą nie jestem nawet pewien, czy Marynia ma dość zapasu pieniędzy i czy ma jakieś źródło do czerpania; tymczasem Pomorski ofiaruje mi pieniądze bez żadnych zastrzeżeń co do terminu zwrotu itd., a że je ma, to tym bardziej należy je przyjąć; w tych czasach trzeba pieniądz cenić, bo choć stał się tani, jednak nie rodzi się tak na poczekaniu, jak poprzednio bywało. A moje zapasy gotówki były już na wyczerpaniu. Dotychczas wystarczały mi jeszcze pieniądze, które wywiozłem w maju z Wilna. Względnie nie bardzo nawet wiele wziąłem ze sobą,

[6] Kazimierz Świątecki – bliższych danych brak

bo tylko coś ± 700 rubli. Kosztowała mnie drogo Rumunia, mimo że oszczędzałem, kosztował mnie Wiedeń, ale już w Piotrkowie, mając mieszkanie i utrzymanie z Departamentu Wojskowego, nie miałem wielkich wydatków. Wyjeżdżając na linię, miałem coś z 900 koron w kieszeni. Na linii pieniądze tracą zupełnie znaczenie realne, przynajmniej tam na Wołyniu, gdzie tylko wyjątkowo coś dostać do kupienia było można. Właściwie to mizerny żołd żołnierski wystarczyłby najzupełniej na linii. Tygodniami całymi nie można było nawet przy najlepszych chęciach wydać grosza, bo się nie widziało wcale ludności cywilnej, a gdyby się nawet widziało, to ta nie miała nic zgoła do sprzedania. W wyjątkowych wsiach, w których dostać było można mleka lub innych produktów wiejskich albo kupić jakąś kurkę z pozostałych skąpych resztek ptactwa, pieniądze się sączyły strumykiem zaledwie, nie robiącym ujmy kieszeni. W ogóle na linii pieniądz jest przedmiotem zbędnym, o którego istnieniu i wartości często się zapomina zupełnie. I psychologia ludzka w stosunku do pieniądza ulega na linii przemianie. Są wprawdzie tacy, którzy na linii zbierają z żołdu grosz do grosza, mając sobie za maksymę niewydawanie pieniędzy i niepłacenie nigdy, ale ci, którzy nie są na pieniądz szczególnie chciwi i którzy nie przywykli uważać grosz w kieszeni swojej za wielką osobliwość, nie cenią go wcale. Cóż bowiem znaczą jakieś rynkowe walory pieniądza, gdy nie ma on wartości użytkowej? Ale dla spracowanego żołnierza mają realne znaczenie li tylko wartości użytkowe; tak wartość ma dla niego mleko, jajka, kura itd., toteż za nie płaci on podług własnej fantazji, nie licząc się z kategoriami cen. Co mu z zaoszczędzenia gotówki, jeżeli za to ma być pozbawiony mleka czy innej przyjemności jedzenia, zwłaszcza gdy wie, że za tę gotówkę nic innego nie dostanie! Lepszy grzyb w barszczu niż wróbel na dachu, a pieniądz ze stanowiska użyteczności jest dlań takim właśnie ptakiem na dachu. Na linii trudno o monetę zdawkową, toteż się przy kupowaniu przepłaca, bez żalu o tę resztę, z której się rezygnuje, byle mieć to, czego się chce i co się na szczęście trafia. Zresztą na linii często łatwiej coś nabyć za sól albo za chleb, niż za pieniądze. Poza rzadkimi okazjami kupna jakichś produktów od zrujnowanych włościan, ma się okazję do płacenia chyba wtedy, gdy zawita sklep pułkowy, ale to zdarza się w najlepszym razie raz na dwa tygodnie i ogranicza się do jakichś centów, nie dochodząc nawet do reńskiego, bo towary sklepu topnieją w podziale na kompanie i plutony, tak że na pojedynczego żołnierza wypadają tylko drobiazgi znikomej ceny, jak kawałek czekolady, kilka sztuk papierosów, jedno pudełko zapałek, czasem jedna świeca jako wielki zbytek, to znów jakieś nici itp.; i na to zresztą można nie mieć pieniędzy, bo to się zakredytuje i kapral przy najbliższej wypłacie żołdu potrąci należność. Na linii człowiek w mundurze żołnierza rzeczywiście i może jedyny raz w życiu wyzwala się z władzy pieniądza i czy go ma, czy nie ma – to się staje obojętnym. Natomiast jak tylko się odjeżdża z linii w kierunku „hinterlandu", pieniądz odzyskuje swe prawa. Gdym odjeżdżał z Brygady, miałem coś ze 250 koron. Do Rzeszowa już mi trochę z tych pieniędzy ubyło. Przez czas pobytu w Rzeszowie kwota ta stopniała do 100 koron, a tu już mi zostało niespełna 70. Swoją drogą, jest to topnienie bardzo powolne wobec drożyzny obecnej, bo choć ma się całkowite utrzymanie, jednak wciąż są jakieś wydatki, to na tytoń, to na bieliznę, to na jakieś drobne przyjemności, na potrzebne rzeczy, jak papier, jak jakieś mydło, scyzoryk itp. Rzeczywiście dla człowieka, który w życiu cywilnym przywykł sam z własnej kieszeni opłacać wszystkie swoje potrzeby, powstaje wrażenie, że ten pieniądz, który dawniej płynął z portmonetki jak woda, w czasach, gdy jeszcze zgoła drożyzny wojennej nie było, teraz po prostu przyrósł do kieszeni i pomimo drobnej kwoty swojej jest oporny i jak pijawka się trzyma portmonetki. Wszakże pomimo tego wrażenia topnieje on po trochu. Toteż bardzo na czasie jest mi ten 100 rublowy sukurs Pomorskiego, który wyrośnie u mnie na kwotę przeszło 200 koron. Kto wie, ile czasu się będę tłuc w

najbliższej przyszłości po różnych Dziedzicach, Kamińskach czy może Piotrkowach, nim do źródła nowego dopływu pieniędzy dotrę. A mogą się trafić przeróżne potrzeby wydatków. Wczoraj wychodziłem na miasto i widziałem się z pułkownikiem Sikorskim, szefem Departamentu Wojskowego. Bawił tu w przejeździe z Warszawy do Zakopanego. Wstąpiłem do niego do Hotelu Francuskiego i zastałem go. Przyjął mnie bardzo grzecznie i wykazał wielkie zainteresowanie w sprawie ułatwienia mi jazdy do Wilna. Wiedział już o mojej obecności w Krakowie w szpitalu. Chce mnie wprost stąd zabrać do Piotrkowa ze sobą, gdy po 10-tym bieżącego miesiąca będzie wracał z Zakopanego przez Kraków do Piotrkowa. Zdaje się, że chce mnie w ogóle od całej tej procedury superrewizyjnej oderwać i wprost z Piotrkowa wyjazd mój do Wilna zarządzić. Wątpię wszakże, czy mu się uda mnie ze szpitala zabrać i przełamać tok formalnej drogi. Szpital ten jest austriacki i chorych może kierować tylko przepisowymi formalnymi drogami – do kadry, do domu rekonwalescentów, do innych specjalnych szpitali albo wreszcie do superrewizji.

7 stycznia, rok 1916, piątek
Sikorski opowiadał mi pozawczoraj o sprawie werbunku w Królestwie, o Polskiej Organizacji Wojskowej i o widzeniu się swoim z Piłsudskim podczas świąt na linii. Coś niecoś z tego tu zanotuję. Sikorski, który jest optymistą co do warunków spełnienia Sprawy Polskiej, jest nadal pełny zapału dla akcji legionowej i zdaje się traktuje dość niechętnie zaniechanie werbunku do Legionów przez Piłsudskiego. Rozumie on motywy Piłsudskiego i poniekąd nawet je podziela, ale chciałby, zdaje się, aby równolegle do tworzenia w Królestwie rezerw zakonspirowanych w postaci związków militarnych nie rzucano hasła zawieszenia na dziś werbunku. Chciałby, zdaje się, aby werbunek szedł swoją drogą, a swoją drogą tworzyły się kadry zorganizowanych rezerw, to znaczy aby jedna akcja nie wykluczała drugiej, zostawiając młodzieży wolną rękę wyboru. Sądzę, że taka alternatywna dwoistość byłaby w obecnych warunkach trudna do uskutecznienia, bo skoro Piłsudski i podwładna mu Polska Organizacja Wojskowa uznają w obecnej dobie za wskazane kształcenie rezerw, będących wyćwiczonym pogotowiem wojennym polskim, uważając, że czas do ich wystąpienia nie nadszedł i że ta akcja jest dziś najważniejsza dla Sprawy, to oczywiście niepodobna od nich żądać, aby na równej z nią stopie stawiali werbunek, obniżający zapas wytwarzanych rezerw. Dla werbunku pozostaje miejsce wśród tych elementów, które do tych rezerw nie mogą być wciągnięte – i tam się on odbywa faktycznie, o ile chętnych amatorów znajduje. Działalność POW rozciąga się tak na Królestwo, jak na Litwę, a nawet na ziemie pozostające dotąd w ręku Rosji i na Rosję samą, gdzie tylko są Polacy i młodzież polska. POW zależy bezpośrednio od Piłsudskiego i tylko jego wyłączną władzę jako wodza uznaje. Oczywiście, że POW jest tajna tak wobec Rosji, jak wobec Niemiec i Austrii. Ma ona jedyny ideał – Niepodległą Polskę – niezależny od interesu państwowego tak Rosji, jak i mocarstw centralnych. Toteż przeciwstawia się ona w swej działalności tak Rosji, jak Austrii i Niemcom – i to ją w praktyce różni od formalnych warunków, w jakich działają z konieczności Legiony. Dziś, gdy Rosja jest wyparta głęboko na wschód, na kresy b. Rzeczypospolitej i niebezpieczeństwo rosyjskie w znacznym stopniu przestaje być aktualnym, na czoło wysuwa się poniekąd niebezpieczeństwo niemieckie, przeciwko któremu musi się w dalszych stadiach przygotowawczych front polskiego ruchu zbrojnego zwracać. Jeżeli jeszcze nie można stanowczo przesądzać, że front ruchu zbrojnego będzie musiał czynnie się przeciwko Niemcom zwrócić, bo nie wiadome są jeszcze dalsze dzieje wojny i bo niebezpieczeństwo rosyjskie, o ile tylko aktualność posiadać będzie, będzie zawsze dla Sprawy Polskiej najgroźniejsze ze wszystkich, to jednak w akcji politycznej trzeba być

przewidującym na możliwości i liczyć się z poważną ewentualnością czynnego frontu antyniemieckiego. Otóż na tym się zasadza zawieszenie przez Piłsudskiego i POW werbunku do Legionów i kształcenie rezerw ruchu zbrojnego w Królestwie. Akcja POW w Królestwie, polegająca na militaryzacji młodzieży, podobna jest do akcji związków i drużyn strzeleckich w Galicji przed wojną, z tą różnicą, że jest tajna i nielegalna. Jej tajność i formy konspiracyjne utrudniają oczywiście jej rozwój praktyczny, zwłaszcza w czasach wojny, gdy czujność władz państwowych na terenie okupacyjnym jest zdwojona, ale za to znakomitym sojusznikiem tej akcji jest duch i zapał militarny młodzieży, spotęgowany przez epopeję Legionów i przez świetny Sprawy Niepodległości Polskiej rozkwit w duszach Narodu i nawet w obliczu zagadnień europejskich. Legiony były pierwotnym stopniem polskiego ruchu zbrojnego, drugim jest obecnie kształcenie rezerw. Legiony dały tego ruchu wyraz czynny wobec najgroźniejszego i najelementarniejszego wroga, wobec Rosji. Bez zgniecenia i kategorycznego wyparcia Rosji z ziem polskich nie ma bowiem żadnych dróg do Niepodległości. Dopiero po tym pierwszym etapie, odparciu niebezpieczeństwa rosyjskiego, otwierają się drogi dalsze, pełne wielu jeszcze innych skomplikowanych niebezpieczeństw. Legiony są nie tylko tym pierwszym etapem torowania dróg dla państwowotwórczych usiłowań polskich przez walkę z Rosją. Są one jednocześnie wspaniałym żywym bodźcem czynu dla wszystkich dalszych etapów ewentualnej walki zbrojnej, są żywicielem ducha wolnościowego, pochodnią wszelkiego dalszego czynu, są też jedynym świadectwem widomym wielkiej czynnej Sprawy Polskiej i może ponad wszystko konkretnym zawiązkiem wojska narodowego polskiego. To są Legionów wartości trwałe, niezależne od stadiów ruchu, określonych zmiennymi okolicznościami wypadków i sytuacji. Nic to, że Legiony związane są przysięgą na rzecz Austrii i że formalnie stanowią one cząstkę armii austriackiej. To są pęta takie, jak ongi miały Legiony Polskie we Francji – bodajże nawet lżejsze i mniej uzależniające ich rolę i naturę od założeń państwa dominującego. Nie powiadam, żeby te pęta były zgoła obojętne, ale nie zmieniają one natury Legionów jako wojska narodowego, walczącego o Wolność Polski. Austria zresztą jest dla mnie państwem takim, że niewykluczona jest możność spełnienia nawet w niej samej, w łonie jej państwowości – Wolności Polski. Co do POW i jej akcji tworzenia rezerw polskiego ruchu zbrojnego, to uznając zasadność i doniosłość takowej w obecnych warunkach, mam jednak pewne wątpliwości co do jej siły i środków działania. Ciężka to i wielka akcja, a Polska jest strasznie przez tę wojnę osłabiona i ciężko najazdami potęg zbrojnych skrępowana. W tych warunkach, choć duch młodzieży jest rozbudzony i czujny, trudno o wielką potężną akcję. Tymczasem Legiony już są, czynne, żywe, opromienione chwałą, bohaterstwem i legendą, wielkie w uznaniu myślącego Narodu, większe ponad rzeczywistość nawet, a już tysiąckrotnie większe ponad swój liczebny stosunek sił do sił walczących potęg. Toteż niewzruszona jest, moim zdaniem, wartość Legionów wobec wszelkich otwierających się nowych zadań i ewentualnych stadiów ruchu zbrojnego. Takie są moje osobiste refleksje w materii POW, akcji kształcenia rezerw i jej stosunku do Legionów. Sikorski mi mówił, że w rozmowie, którą podczas świąt miał z Piłsudskim, Piłsudski mówiąc mu o POW i zawieszeniu przez nią werbunku do Legionów i polemizując poniekąd z Sikorskim, powiedział mu wręcz, że uważałby moment obecny za wskazany do rozwiązania Legionów i że gdyby to od niego zależało, to by to zrobił. Wodzu, czy to możliwe, aby taką była istotna myśl Twoja? Wodzu, nie wierzę w prawdę tych słów Twoich, jeżeli były one w tym znaczeniu wypowiedziane. Tyś musiał inaczej je myśleć, a mówiłeś jeno w przekornej polemice z Sikorskim, który był może jednostronny i drażnił Cię niezrozumieniem myśli Twojej! Wszak przerwanie dzieła Legionów w pół drogi – to upadek Sprawy, przekreślenie całego chlubnego

czynu i bohaterstwa poległych ofiar, straszna kompromitacja dzieła i demoralizacja w pełnym rozterki Narodzie, a triumf nie idei rezerw POW, ale moskalofilstwa i powrót w całej pełni niebezpieczeństwa rosyjskiego w samym łonie Narodu, niebezpieczeństwa, które jest nad wszystko inne groźne. Wodzu, to nie jest myśl Twoja!

8 stycznia, rok 1916, sobota
Dziś znowu wyszedłem na miasto, ale miałem krótką przepustkę, tylko do godziny 4. Zamierzałem wstąpić do kawiarni „Esplanady", żeby się tam spotkać z Leonem Wasilewskim, którego tam zawsze około godz. 2 ½ zastać można i który, jak mi przelotnie sam wspomniał, ma trochę wiadomości z Litwy, alem nie zdążył. Odłożyłem to na inny raz. Przede wszystkim, poszedłem do p. profesorowej Dobrowolskiej, która była tak łaskawa obiecać, że mnie sfotografuje, co jest niezbędne dla ewentualnych starań o ulegalizowanie się moje w charakterze cywila. P. Dobrowolska dała mi marynarkę cywilną, kamizelkę i krawat dla przebrania się i zrobiła dwa zdjęcia, z których odbitki obiecała mi przysłać w tych dniach do szpitala. Poza tym, załatwiałem sprawunki na mieście, których zebrało się bardzo dużo. Wydałem od razu ze 40 koron; kupiłem trochę książek, bielizny, *pince nez*, rozmaitych przyborów do pisania itp. Na tym się skończyła moja wycieczka na miasto. W szpitalu dowiedziałem się, że przychodził do mnie Ludwik Kulczycki; pocieszyłem się jednak, gdy mi powiedziano, że obiecał ponowić swą wizytę jutro.
Siedzę w szpitalu i nie mam pojęcia, jak to długo potrwa. Jeżeli za kilka dni Sikorski mnie stąd wyrwie, w co mocno wątpię, to mogę, co prawda, stąd być lada dzień wysłany do Kamińska, ale mogę też siedzieć tygodniami, a może nawet miesiącami. Był raz tutaj taki wypadek, że jeden przeznaczony do superrewizji siedział tu w szpitalu aż pięć miesięcy w oczekiwaniu papierów.
Nie mam nic zbyt aktualnego do notowania. Wrócę do moich wspomnień i rozważań legionowych. Przeglądając zeszyty mego dziennika wojennego, znalazłem spisane w dniu 16/IX moje pierwsze wrażenia o kolegach legionistach liniowych z mojego plutonu. I choć były to pierwsze wrażenia, pierwsze, że tak powiem, naleciałości nowych zjawisk zewnętrznych, z którymi się dopiero zetknąłem, jednak, jak to dziś spostrzegam, były one trafne. Dziś mogę te wrażenia poddać krytyce znajomości stosunków, którą nabyłem po dłuższym pobycie w szeregach legionowych; i z całą świadomością, z całym przekonaniem mogę dziś słowo w słowo powtórzyć to, co pisałem wtedy w charakterystyce starych żołnierzy. Rzeczywiście te wszystkie cechy, które dostrzegłem i wyczułem w pierwszym zetknięciu się z legionistami liniowymi, są im właściwe i charakteryzują dodatnio ich typ duchowy, który kiedyś stanie się czynnym w społeczeństwie i z pewnością odegra swą rolę w pracy obywatelskiej obecnego młodego pokolenia. Żołnierze-legioniści przynajmniej w naszym dawnym plutonie – to są ludzie z szerokiej masy, bynajmniej nie z kwiatu inteligencji. W naszym plutonie inteligentów było niewielu, a ludzi z wyższym wykształceniem w pełnym znaczeniu, prócz mnie, nie było wcale. Jedynie Grzmot-Konaszewski, jeżeli jeszcze żyje, i Kruszyna mogą być w przyszłości inteligentami z wyższym wykształceniem. Ogół zaś nie sięga wyżej tzw. pół-inteligencji, a wielu jest po prostu rzemieślników i robotników, nawet czasem analfabetów. Ludzie ci i w przyszłości nie wybiją się zapewne na jakieś wyżyny w Narodzie, nie zajaśnieją wielkimi wpływami i potęgą stanowisk. Pozostaną oni w średnich i dolnych pokładach masy narodowej. Nie są to oficerowie – element wyborowy, przez selekcję na szczyty wyniesiony, którego też odpowiedzialność za przyszłe czyny w społeczeństwie będzie wobec dziejów większa, nie są to wielkie imiona w dziele Legionów. Są to pospolitacy w najpełniejszym słowa znaczeniu, szeregowcy dziś w Legionie i szeregowcy później w społeczeństwie i w

Narodzie. I to jest właśnie pocieszającym, to jest radosnym, że nie tylko ci wielcy, którzy jaśnieją i bodaj jaśnieć będą, ale też ci drobni, ci powszedni i osobiście bezimienni – bo imieniem ich jest nie Tobjasz, nie Gutowski, nie Mars-Fijałkiewicz i nie Papiz, lecz legionista polski i piłsudczyk – ci, którzy są z tłumu i którzy do tłumu narodowego wrócą, są elementem dzielnym i dodatnim, elementem, który zdobył w służbie legionowej wybitne wartości dodatnie. Ich rola nie będzie może świetna, ale będzie wielka, bo promieniować będzie szeroko w ich środowisku, w samej masie tam, gdzie blask wielkich jednostek ze szczytów tylko nikłym promykiem przenikać będzie, łamiąc się i tłumiąc przez ciężkie tej masy cielsko. Wielki Piłsudski będzie przez pokolenia promieniować w Naród osobiście, ale masy jego żołnierzy, jak jakieś atomy czy molekuły ukochanego wodza, rozniosą i rozmnożą jego promienie po całym ciele i krwi Narodu, po jego żywych arteriach w samej jego głębi. Piłsudski roztysiąckrotnił się przez tych żołnierzy, rozlał się całym dorzeczem po Narodzie. Są oni piłsudczykami nie tylko z imienia, ale z pochłonięcia w swe łono szlachetnych cząstek jego ducha. Stosuje się to zwłaszcza do żołnierzy legionistów – po rozmaitych taborach, służbach specjalnych i tyłowych – którzy dalecy są od spostrzeżonych przeze mnie dodatnich cech legionistów.
Natomiast jest w moich pierwszych wrażeniach, spisanych 16/IX, niesprawiedliwa ocena Lubliniaków jako rzekomo elementu nikczemniejszego, dalekiego od starych żołnierzy jak ziemia od nieba. W chwili mojego wstąpienia do plutonu Lubliniacy byli tam jeszcze nowicjuszami najświeższej daty; byli trochę zahukani, onieśmieleni wobec starszych żołnierzy, toteż nie mogli oni się przedstawić w swej naturalnej istocie; byli pariasami i czuli się nimi, a parias zawsze sprawia wrażenie nikczemniejszego, niż jest, gdy się potem jego naturę ludzką pozna. Później o Lubliniakach, tak w ogóle, jak o poszczególnych – pisałem nieraz i zdaje się, że już należycie ich zrehabilitowałem. Byli oni przeważnie surowsi, mniej wyrobieni, niż starzy żołnierze, którzy o rok ich poprzedzili i z których wielu miało jeszcze długą poprzednią szkołę strzelecką, ale w istocie swojej nie są oni elementem bynajmniej gorszym. A mają oni tę wielką zasługę, że poszli z własnego powołania, z wielkiego ognia swojego młodego ducha.

9 stycznia, rok 1916, niedziela
Otrzymałem dziś dwa listy: od porucznika Dęba-Biernackiego i od Wilhelma Feldmana. Do Dęba pisałem przed 10 dniami winszując mu orderu Żelaznego Krzyża, którym został odznaczony. Za październikowe i listopadowe walki nad Styrem, w których się wspaniale Legiony spisały, zdobywając uznanie naczelnego dowódcy pruskiego Linsingena, co zostało stwierdzone w całym szeregu rozkazów dziennych, podnoszących specjalnie chlubne czyny wojska legionowego, wielu naszych oficerów zostało udekorowanych niemieckim orderem Żelaznego Krzyża. Jest to jeden z wybitnych orderów zasługi wojennej. Wiem, że Dąb nie lubi Niemców i że winszowanie mu orderu niemieckiego jako takiego nie sprawi mu bynajmniej wielkiej przyjemności. Uważałem jednak, że odznaka ta nie ma li tylko wartości łaski, spływającej na nas od Niemców, ale jest publicznym stwierdzeniem chlubnych czynów Legionów; ponieważ zaś Legiony wśród innych swoich cech i wartości mają znaczenie wielkiej czynnej manifestacji woli Narodu do niepodległości, przeto wszystko to, co ujaskrawia ich czyn, co upowszechnia ich zasługę i uwydatnia dzielność, jest z tego stanowiska dodatnie. To właśnie podkreśliłem w moim liście do Dęba. Wiedziałem, że Dąb – i to mu poczytuję za zaletę – przywiązuje wagę do takich rzeczy, jak odznaka orderu, tylko o tyle, o ile to ze stanowiska sprawy ogólnej może mieć wartość, nie zaś dla osobistej kariery. Dąb dziękuje mi dziś za powinszowanie moje, zaznaczając, że ceni szczerze wszelki związek i dowód uznania od swoich byłych towarzyszy broni i

zwłaszcza szeregowców i podkreśla w dalszym ciągu, że on nie ze stanowiska demonstracji wobec świata obcych szacuje czyn Legionów, jeno ze stanowiska odrodzenia tradycji rycerskiej polskiej i stworzenia żywych jak najdoskonalszych wzorów dla tego, co jest uznaniem i ideałem Legionów – przyszłego wojska polskiego. Drugi list od Feldmana z Berlina. Pisałem do niego, prosząc o poinformowanie z Berlina pocztą Maryni w Wilnie o mnie i zapytując, czy by się nie dało przesłać pocztą do Maryni mój list, który bym na ręce Feldmana przysłał. Feldman pisze, że to jest niemożliwe tymczasem, bo z Wilnem komunikacji prywatnej pocztowej dotąd nie ma. Wspomina wszakże, że „niedawno” przyjeżdżali do Berlina z Wilna Jerzy Šaulys[7] i Bronisław Krzyżanowski[8] w sprawie aprowizacji. Widzieli się oni i porozumiewali z Feldmanem. Oczywiście rozmawiali też o mnie. Feldman wiedział już o moim wstąpieniu do Legionów i jak mi się z jego listu wydaje, wiedział nawet o tym, że jestem w szpitalu, choć skąd mógł o tym ostatnim wiedzieć – nie mam pojęcia. Przez Šaulysa i Krzyżanowskiego dowie się o mnie Marynia i moi wszyscy przyjaciele wileńscy. Šaulys zaś przywiózł do Berlina jakiś list do mnie z Wilna, który Feldman przesłał pod adres dr Kota do Piotrkowa. Listu tego dotąd nie otrzymałem. Przypuszczam, że to list od Maryni. Šaulys i Krzyżanowski musieli się chciwie informować u Feldmana o całej sytuacji w ruchu polskim i w tendencjach niemieckich. Rad jestem, że obaj, a zwłaszcza Šaulys pozostali w Wilnie. Šaulys, jako urzędnik Banku Ziemskiego, mógł być ewakuowany wraz z bankiem przez zarząd jego, nie sądzę bowiem, aby bank pozostał. Co zaś do Krzyżanowskiego, który jest z natury tchórzliwy, byłem prawie pewny, że uciekł. W ogóle, jak się zdaje, w Wilnie pozostały z inteligencji głównie elementy niepodległościowe lub postępowe, natomiast musiało się Wilno wyludnić z endeków przede wszystkim, a następnie z rozmaitych starych tryków, rozmaitych „zasłużonych” i „szanownych” wielkości miejskich niewyraźnego oblicza, tłumiących wszelki żywszy ruch. Pod tym względem musiało Wilno wyporządnieć. Słyszałem i czytałem w paru korespondencjach w „Nowej Reformie”, że z Wilna mnóstwo inteligencji wyjechało, zwłaszcza z adwokatury i świata lekarskiego. Ci, o których dotąd w ten lub inny sposób doszły mnie wieści z Wilna, to są sami niepodległościowcy lub postępowcy; jedyny wyjątek – to prezydent miasta Michał Węsławski[9], który do jednych ani do drugich nie należy. Cieszy mnie z tej nowej wiadomości o Šaulysie i Krzyżanowskim to, że właśnie do tej sprawy aprowizacji Wilna użyty też został Šaulys, Litwin. Znając stosunki wileńskie, wiem dobrze, że taki

---

[7] Jurgis Šaulys (1879-1948), litewski działacz polityczny, dyplomata, związany z Litewską Partią Demokratyczną i pismem „Varpas”, sekretarz generalny i I wiceprzewodniczący Taryby od 1917 r., sygnatariusz Aktu Niepodległości Litwy 16 II 1918 r. W 1919 r. przewodniczący misji litewskiej w Polsce. Protestował w imieniu rządu litewskiego przeciwko wkroczeniu wojsk polskich do Wilna. Minister spraw zagranicznych, potem poseł w Berlinie i Bernie. Od 1923 r. w Rzymie, przy Watykanie (1927-1931), ponownie w Berlinie w l. 1931-1938 i w 1938 r. po nawiązaniu stosunków dyplomatycznych poseł w Warszawie. W 1942 zawarł w Szwajcarii porozumienie z przedstawicielami rządu polskiego w Londynie zapowiadające zbliżenie polityczne i gospodarcze Polski i Litwy po wojnie. Zmarł na emigracji w Szwajcarii.

[8] Bronisław Krzyżanowski (1876-1943), prawnik, działacz demokratyczny, związany ze środowiskiem krajowców. W młodości członek PPS, uczestnik zebrań Towarzystwa Szubrawców. Współpracownik „Gazety Wileńskiej” (1906) i „Przeglądu Wileńskiego” (1911-1915). Członek lóż Jedność i Litwa. Współorganizator Komitetu Obywatelskiego w Wilnie w 1915 r. Uczestnik rokowań w Paryżu (1919) i w Rydze (1920). Członek tzw. Komisji Rządzącej Litwy Środkowej, wicemarszałek Sejmu Wileńskiego. Przedstawiciel PSL Piast, a od r. 1923 PSL Wyzwolenie w Sejmie RP. Obrońca w wielu procesach politycznych, m.in. białoruskiej Hromady. Współorganizator wileńskiego Klubu Demokratycznego i Stronnictwa Demokratycznego (1938-1939). Prezes nieoficjalnego Komitetu Polskiego w Wilnie (1939-1940).

[9] Michał Węsławski (1849-1917), adwokat, pierwszy wybieralny i wieloletni prezydent Wilna (1905-1917), poseł do II Dumy w 1906 r., gdzie przewodniczył kołu z Litwy i Rusi.

udział Šaulysa w tej misji nie jest przypadkiem, jeno wyrazem pewnego planowo tworzonego ustosunkowania we współpracownictwie polsko-litewskim. Z tego drobnego faktu, który dla ludzi nieobeznanych ze stosunkami wileńskimi jest zgoła bezbarwnym, a który dla mnie jest wymownym, wysnuwam te pocieszające wnioski, że jednak tam w Wilnie nie zamarły usiłowania obywatelskiego współdziałania polsko-litewskiego, układu planowego i krajowych dążeń i że w społeczeństwie polskim tam na Litwie, a przynajmniej w tych jego odłamach, które stoją na antymoskalofilskim niepodległościowym stanowisku – a o to mi tylko chodzi – nie rozwielmożniły się bynajmniej prądy, przesądzające podział kraju na Litwę etnograficzną, Litwę litewską, wyłączoną z uczestnictwa w sprawie niepodległościowej, i Litwę wileńską i białoruską jako li tylko integralną narodową cząstkę Polski. Być może, że konieczność wypadków tej wojny, silniejsza ponad historyczne formacje i ponad dążenia nasze oraz żywe procesy krajowe, rozetnie w ten sposób kraj i odłamie połać państwową niemiecką (Litwa etnograficzna) od połaci państwowej polskiej (Wilno ze szmatem Białorusi po Dźwinę i Berezynę), ale dotąd procesy ruchów w Wilnie dokonywują się jeszcze widocznie na zasadach Litwy czy Litwy i Białej Rusi jako scałkowanej indywidualnej jednostki krajowej. W dalszym ciągu swego listu pisze mi Feldman, że powrót mój do Wilna jest b. pożądany, co z pewnością wywnioskował z rozmów z Šaulysem i Krzyżanowskim i wreszcie prosi mnie o parę artykułów informacyjnych na poszczególne tematy o stosunkach na Litwie i o Białej Rusi.

10 stycznia, rok 1916, poniedziałek
Pani Dobrowolska przysłała mi dziś odbitkę mojej fotografii w stroju cywilnym.
Zdaje się, że dni mojego pobytu w szpitalu są już policzone. Dr Czaplicki wezwał mnie dziś do gabinetu swego, zbadał raz jeszcze serce i napisał świadectwo na rzecz superrewizji. Serce moje po przejściu po schodach znów, jak na zawołanie, biło młotem w piersi jak ptak uwięziony w klatce. Jeżeli komisja superrewizyjna będzie zasiadała w lokalu na piętrze, do którego iść trzeba będzie po schodach, to serce będzie mi tak skakać, że urlopu mi chyba na pewno nie udzielą. Dr Czaplicki opisawszy w świadectwie stan mego zdrowia, spytał, czego wreszcie ostatecznie życzę sobie: czy zupełnego zwolnienia od wojska, czy urlopu dłuższego. Zdecydowałem się na urlop i w myśl tego dr Czaplicki wpisał orzeczenie swoje, w którym uznaje, że po pewnym czasie mogę być znów zdatny do służby wojskowej i że przeto uważa za potrzebne udzielenie mi przez komisję dłuższego urlopu. Wszak pisząc to w myśl mojego życzenia, dr Czaplicki oświadczył, że, jego zdaniem, i po najdłuższym urlopie nie będę zdatny do służby liniowej. Gdym wychodził, spytałem dr Czaplickiego, ile jeszcze mniej więcej czasu mogę pozostać w szpitalu; odpowiedział, że mniej więcej ze trzy dni. Jestem więc prawdopodobnie na wylocie. Zresztą w tych dniach się jeszcze okaże, czy nie wyjadę stąd może inną drogą – z Sikorskim na Piotrków. Napisałem dziś listek do Sikorskiego do Hotelu Francuskiego, prosząc, aby nie zapomniał o mnie i jeżeli nie będzie można teraz mnie stąd do Piotrkowa zabrać, postarał się o ściągnięcie mnie do Piotrkowa z Kamińska, w którym wkrótce będę.
Wczoraj widziałem się z Ludwikiem Kulczyckim. Nagawędziłem się z nim obficie. Kulczycki należy do ludzi, którzy w obecnym ruchu wybitnie narodowym nie zatracili czucia społecznego. Jest on świadomym zwolennikiem frontu przeciwko Rosji, której niebezpieczeństwo dla wolnego rozwoju ludów pojmuje głęboko, nie tylko politycznie na jakąś chwilę danego ustosunkowania sił, ale historycznie. Z tego względu sprzyja dziełu Legionów i akcji N.K.N.-u. Jest wszakże nie tyle niepodległościowcem w znaczeniu separatyzmu państwowego polskiego, ile austrofilem w znaczeniu utworzenia skupień narodowych w monarchii austriackiej i realizowania wolności ludów i narodów

w jej łonie na zasadach związkowych. Wierzy w Austrię jako taki właśnie wielki warsztat wolności ludów środkowo- i wschodnioeuropejskich. Ta koncepcja, aczkolwiek wypływa u niego z założeń nie tylko narodowych polskich, ale też, i to nade wszystko, społeczno-ludowych, wolnościowych w szerokim znaczeniu dziejowym i demokratycznym tego słowa, zbliża go we wnioskach do obozu konserwatystów w N.K.N.-ie, a oddala natomiast od obozu Piłsudskiego. Obecnie Kulczycki zajęty jest pisaniem broszur politycznych dla N.K.N.-u, które, o ile sądzić mogę z tytułów i krótkiego streszczenia ich myśli zasadniczej, tworzyć będą ciekawą całość zagadnienia ruchu polskiego w ścisłym związku z obecną katastrofą europejską i jej problemami we Wschodniej i Środkowej Europie. Kulczycki jest człowiekiem rozumnym i wnikającym głęboko w społeczne podłoże zagadnień kultury i historii. Uważam to za wielką zaletę, tacy bowiem ludzie będą po wojnie bardzo potrzebni. Nie wątpię, że po strasznym kryzysie wojennym w nowych warunkach organizowania się społeczeństw zagadnienia społeczne znów z większą jeszcze siłą wypłyną na porządek dzienny i dadzą początek nowym twórczym ruchom; nawet w samej wojnie znajdą one wzory dla swoich dążeń i programów, ponieważ wojna stworzyła wybitne precedensy społeczno-gospodarczej organizacji, które znakomicie zdały praktyczny i czynny egzamin swojej użyteczności. I to nie tylko w zakresie praktyki, ale też zasad, które w nich tkwiły. W tym okresie powojennym, gdy ruchy społeczne fermentować zaczną w narodach i państwach, potrzebni będą ludzie, świadomi podłoża społecznego i metod akcji. Niewątpliwie tacy się znajdą, ale pożytecznymi będą i ci, którzy już takimi są i którzy nigdy kontaktu ze społecznym tłem nie zatracili, jak Kulczycki, a zwłaszcza, że jest to umysł giętki, nie opanowany sztywnością, nie skostniały w dogmatycznej doktrynie.
Kulczycki mówił mi też o widokach przyszłego ukształcenia państwowego ziem naszych. Czy opinia jego jest dość kompetentna, czy rzeczywiście opiera się na istotnych tendencjach zwycięzców – za to zaręczyć nie mogę, ale słyszę to z wielu stron i właśnie podawane jako niemieckie prądy. Podobno na Litwę etnograficzną i jej udział w ewentualnym państwie polskim zgoła liczyć nie można. Całą Litwę etnograficzną, włącznie z Suwalszczyzną, oraz Kurlandię rezerwują Niemcy dla siebie i o tym gadania być nie może. Natomiast Wilno z częścią Białej Rusi Zachodniej przeznaczone ma być do zwrotu Rosji i tylko w takim razie można by liczyć na połączenie Wilna i części Białej Rusi z Polską pod jakąkolwiek postacią, gdyby Rosja została jeszcze znacznie dalej na wschód odparta.

11 stycznia, rok 1916, wtorek
Dziś stawałem do tzw. „forsztelunku” („Forstellung”). Meldowałem przy raporcie komendantowi szpitala Pakoszowi, że przeznaczony zostałem do superrewizji. Po „forsztelunku” Pakosz jeszcze mnie zbadał, posłuchał serce i, choć zdawało mi się, że dziś akurat bicia nie mam, machnął ręką na znak, że nie ma żadnych wątpliwości co do złego stanu mego serca; wobec tego zatwierdził decyzję Czaplickiego o skierowaniu mnie do superrewizji. Teraz mam już tylko czekać, kiedy w kancelarii napiszą mi papiery i następnie – marsz ze szpitala. Superrewizja da mi zapewne urlop długoterminowy, kilkumiesięczny. Czy będzie to już koniec mojej kariery wojskowej? Sądzę, że tak, a przynajmniej właściwej kariery wojskowej. Nie jestem fachowcem wojskowym i nie znam się na tych czynnościach; nie mam do nich ani specjalnych kwalifikacji, ani uzdolnienia i pociągu. Udział mój w Legionach był raczej aktem politycznym czynnego akcesu mego do ruchu, niż właściwym wojskowym czynem jako takim. Dlatego też pragnąłem i mogłem być tylko szeregowcem liniowym, udziałowcem karnym bezpośredniego czynu zbrojnego, legionistą – i tylko. Żadnych innych funkcji wojskowych nie mogłem i nie pragnąłem się podjąć. Jako obywatel

narodu swego i kraju, stanąłem do służby w ich sprawie, która się w obecnej chwili dziejowej streszcza w czynie zbrojnym Legionów. O karierę wojskową nie chodziło mi oczywiście: byłoby nawet śmieszne, gdybym o takowej myślał w zawodzie wojskowym, ja, człowiek *par exellence* cywilny i pokojowy, zamiłowany w kulturze i postępie humanitarnym. Rycerzem pragnąłem być Sprawy, pragnąłem w czynie dać żywy wyraz wiary – co uważałem za obowiązek sumienia mego, pragnąłem wreszcie tym aktem moim stwierdzić w Wilnie przekonanie, które od początku słowem głosiłem, i zarazem służyć przykładem dla wyznawców. Obowiązek bowiem zgodności czynu z przekonaniem i wiarą – bez względu na ofiarę – który jest powszechny i może być w pewnych razach zniwelowany li tylko względami na dobro trzecich osób lub społeczności, podnosi się do najwyższych poziomów u ludzi, którzy zajmują jakieś poważniejsze stanowisko, których głos ma większą wagę i którzy mają rozleglejsze pole wpływów, a przeto i odpowiedzialność większą. Im kto wyżej stoi, tym musi być ściślejszy w swoich obowiązkach, tym bardziej świecić musi przykładem. Stara dewiza „*Noblesse oblige*" stosuje się do wszystkich, którzy podnieśli się nad tłum i uczestniczą w przywództwie społecznym. Obowiązek ten spełnić mogłem i spełniłem służbą w linii jako szeregowiec i to li tylko jako szeregowiec. Gdybym bowiem wdał się w jakąś czynność nie liniową o charakterze wojskowym, byłbym wkraczał w dziedzinę mi obcą i stawał się nie obywatelem-rycerzem, ale fachowcem, do czego mi brak kwalifikacji. Gdybym zaś był nie szeregowcem, lecz starał się o jakieś szarże, choćby tylko podoficerskie, byłbym przekroczył zakres możności mojej i przywłaszczał to, co nie należy do mnie i co nie wypływa z założeń mojego udziału w Legionach, a do czego zgoła nie mam praw żadnych. Powinienem był być tylko szeregowcem liniowym, pospolitym żołnierzem-legionistą i takim też tylko byłem. Swoją drogą jednak nie mam kwalifikacji nawet na żołnierza-szeregowca. W warunkach normalnych człowiek nie powinien nigdy się imać tego, do czego brak mu absolutnie kwalifikacji; każdy czyn powinien być taki, aby mógł się w coś wielkiego rozwinąć; jeżeli z góry wiadomo, że nic wielkiego nie tylko z czynu tego nie wyniknie, ale nawet wyniknąć nie może, to nie warto zaczynać. Połowiczność i ubóstwo czynu jest wyrokiem jego zagłady. Artyzm jest w życiu potrzebny, jest jego sprężyną istotną. Artystycznym jest czyn doskonały, a przynajmniej czyn owocny. Wielkość czynu nie polega koniecznie na jego rozgłosie lub rozległości jego sfery działania; polega ona na jego celowości, na dobrej zgodności jego działania z tymi celami, którym ma służyć. Ale u nas warunki nie są normalne. U nas, a zwłaszcza w stosunku do mnie, chodziło mniej o czyn wojskowy jako taki, niż akt przykładu, o polityczny czyn manifestacyjny wobec Wilna, o stwierdzenie czynem obowiązku, słowem – o polityczny, obywatelski i moralny akt. Legiony mają świetny materiał wojskowy, mają znakomitą sztukę czynu wojennego. Ja osobiście nic bym do tego nie dodał, żadnego przyczynku do ich dziejów wojskowych nie dopisał. Nie łudziłem się co do tego i nie o to mi chodziło. Wiedziałem jednak, że ujmy im nie sprawię, bo wierny będę. Celu mego w znaczeniu politycznym, obywatelskim i moralnym dopiąłem. Żołnierzem wszakże doskonałym nie mogę zostać, bo mam braki fizyczne, niezależne zgoła od woli mojej. Jednym z tych braków jest wzrok krótki; kwestia wzroku gra olbrzymią rolę w zawodzie żołnierskim; człowiek ze wzrokiem takim jak ja nie może być nigdy doskonałym żołnierzem. Druga wada – to serce, gdy trzeba biec – a zwłaszcza przy atakach jest to konieczne – to ja staję się po prostu niedołęgą, niezdatnym do niczego.

12 stycznia, rok 1916, środa

Jeszcze słówko o mojej niezdatności do służby wojskowej. Nie jest to niezdatność zupełna, ale taka, która w każdym razie stanowi brak w żołnierzu i wyklucza możność

stania się doskonałym celującym żołnierzem, pomimo najlepszych chęci i najwytrwalszych wysiłków woli. Nie przypuszczałem nawet dawniej, żeby na przykład krótki wzrok był aż taką przeszkodą dla spełniania czynności żołnierza. Nie chodzi tu bynajmniej o samo tylko strzelanie, dla którego wzrok krótki stanowi względnie najmniejszą przeszkodę. Gdy się bowiem strzela na daleką metę, do której już wzrok krótki jak mój nie sięga zupełnie i nie dostrzega zgoła przedmiotu obstrzału, to przeciętnie i żołnierze z najlepszym wzrokiem nie trafiają do ścisłego celu; tylko wyjątkowo celni strzelcy, rzeczywiście doskonali jako tacy mogą trafiać. W tych wypadkach zresztą nie chodzi o ścisłą dokładność strzałów, jeno o pewien efekt i o łatwą zawsze możliwość przygodnych strat przeciwnika przy gęstym ogniu; wiadomo bowiem, że tzw. błędne kule, latające przygodnie, nie mniej przeciętnie sprawiają szkód, niż te, które są ściśle wymierzone do określonego celu, bo są zwykle gęstsze o wiele, liczniejsze. Gdy zaś nieprzyjaciel jest blisko, tak że strzały mogą być ścisłe, jak na przykład przy odpieraniu ataku na rowy, kiedy istotnie chodzi o dokładne celowanie, wówczas wszystko zależy od celności strzelca, nie zaś od wzroku, bo wtedy i przy najkrótszym wzroku widzi się cel, a celnym może być przecie przy odpowiedniejszej wprawie i staranności nawet krótkowidz. O wiele większą rolę odegra kwestia wzroku nie przy strzelaniu i nie w okopach lub nawet ataku, ale w rozmaitych czynnościach pomocniczych, niezmiernie ważnych w służbie liniowej, od których nieraz kapitalne zależą problematy akcji, jak w szczególności wedety, patrole, szpice, zabezpieczenia boczne w marszach itp. Dobry żołnierz w współczesnej wojnie nie może być tylko dobrym strzelcem. To za mało. Praca żołnierza liniowego w piechocie jest o wiele bardziej złożona, niż się to zdaje, o wiele inteligentniejsza i zmyślniejsza, niż sądzić o tym mogą laicy. Żołnierz musi się szybko orientować, mieć inicjatywę, zaradność i spostrzegawczość; wiele z tych zalet jest zgoła wykluczonych u krótkowidza. Gdyby był najzaradniejszym, pełnym energii, inicjatywy i pomysłowości, to mu się na nic nie zda, gdy ledwie widzi i tylko na bliską metę. Zdarzało mi się na patrolach, szpicach i zabezpieczeniach bocznych, jak np. pod Gradyską[10], pod Kołodią i Kostiuchnówką, że towarzysze moi już dawno dostrzegali ludzi lub oddziały, stojące lub poruszające się w pewnej odległości lub gdzieś między zabudowaniami czy krzakami, a nawet już rozróżniali ubiór, rodzaj broni i przynależność do wojsk swoich czy nieprzyjacielskich, podczas gdy ja ani w przybliżeniu nie dostrzegałem nawet żadnych sylwetek. Oczywiście, że oni dawno mogli już wyciągnąć z zaobserwowanych zjawisk potrzebne wnioski co do zachowania się swego, podczas gdy patrol, który by się składał z samych takich krótkowidzów jak ja, kroczyłby dalej niewzruszenie i byłby może wystrzelany wcześniej, niżby coś zaobserwować zdołał. Na wedetach wolałem zawsze stać w nocy, niż we dnie, bo w nocy obserwatorem był słuch, we dnie zaś – wzrok, a ponieważ wedety ustawiano najczęściej gdzieś w pobliżu jakichś zarośli, którymi mógł się zbliżyć nieprzyjaciel i że trzeba było przeto te zarośla obserwować, do czego potrzebny jest właśnie wzrok ostry, więc tu czułem się zgoła bezradny. W nocy dopiero na wedecie czułem się równy innym i pełny wszelkich niezbędnych kwalifikacji do dobrego spełnienia moich zadań. Choć żołnierze nie lubią placówek nocnych, bo pozbawiają ich one snu i wypoczynku, ja jednak lubiłem je, bo byłem wtedy prawdziwym żołnierzem. Okulary, które nosiłem, mało mi pomagały, bo nie równały mnie one z żołnierzami o dobrym wzroku. A właśnie w przeważnej części tej kampanii, którą odbyłem, w całym tym okresie od Kowla aż do Kostiuchnówki, główna praca polegała nie na regularnej liniowej walce, nie na strzelaniu z okopów, ale na tych czynnościach właśnie, które wymagają najwięcej sprawności zmysłów i w szczególności wzroku i które grają

[10] Poprawna nazwa Gradysk.

największą rolę w akcji nieregularnej, nie tzw. klasycznej. Drugi element mej niezdatności – to złe serce i wynikająca stąd niezdolność do gwałtowniejszych ruchów, takich jak brnięcie w szybkim marszu po kolana w grząskim bagnistym gruncie (pod Maniewiczami), jak bieg itp. Gdy trzeba było biec, jak to było przy cofaniu się naszym w pojedynkę z okopów w las pod Kostiuchnówką w dniu 3/X, ażeby prędzej przebyć otwarte pole obstrzału nieprzyjacielskiego, ja, mając cały rynsztunek na sobie, byłem tak próbą biegu wyczerpany, że szedłem wreszcie powoli z zawrotem w głowie, nie dbając już zgoła o gwiżdżące kule. A cóż dopiero przy atakach, gdzie trzeba być wciąż do biegu gotowym! Mnie bieg w pełnym rynsztunku omal nie pozbawiał przytomności.
Chcę tu jeszcze wrócić na chwilę do przedmiotu mojej rozmowy z Kulczyckim sprzed kilku dni i w szczególności do tych perspektyw powojennych dla Litwy. Chcę tu mianowicie moją opinię w tej kwestii przedstawić, wypływającą z mojej znajomości stosunków i potrzeb na Litwie oraz względów dobra ludu krajowego. Nie wiadomo oczywiście, o ile te perspektywy się spełnią, ale że są prawdopodobne, przynajmniej w dążeniach niemieckich, które są ważkie – to bodajże tak. Otóż jeżeli konieczność, potężniejsza ponad wszystko, rzeczywiście nie dozwoli Litwie właściwej, tj. etnograficznej, uczestniczyć w państwie wznowionej Rzeczypospolitej polsko-litewskiej czy choćby tylko w państwie polskim i sprawi, że Litwa ta – mówię o etnograficznej – stanie się zdobyczą Niemiec, to już wolę, aby wraz z gub. kowieńską i litewskimi cząstkami wileńskiej odpadła także gubernia suwalska (jej część litewska), żeby nie było rozdarcia żywego Narodu litewskiego. Naród litewski w całym swoim komplecie łatwiej się ostoi germanizmowi i zdoła wytworzyć swoją kulturę, z ludowej duszy czerpaną. A że się wtedy ostoi i że się zahartuje w tej ciężkiej przyszłej próbie – w to wierzę. Co zaś do Wilna i jego okręgu wraz z Białą Rusią, to rzeczywiście za najgorsze uważałbym powrót do państwa rosyjskiego. Im więcej Białej Rusi na wschód odpadłoby od Rosji, tym lepiej. Nie mam ani jednej chwili namysłu na rzecz pragnienia choćby aneksji Wilna i Białej Rusi do Polski, o ile to staje alternatywnie wobec możliwości takiego powrotu.
Słówko jeszcze wieści legionowych. Z Kozienic z kadry w tych dniach, jak się dowiedziałem, wyruszają na linię bataliony uzupełniające, złożone z żołnierzy wracających ze szpitalów. To znów zasili nasze kochane Legiony, tak wyczerpane w jesiennych walkach nad Styrem. Tych wytrwałych, którzy pozostali w szeregu, jest w tej chwili zapewne nie więcej nad 5-6 tysięcy bagnetów we wszystkich brygadach. To są ci najczcigodniejsi, męczennicy het tam okopów. Cześć im! Bataliony uzupełniające z Kozienic mają być bardzo liczne.

13 stycznia, rok 1916, czwartek
Dziś rano dr Czaplicki zerwał mi kartki z tabliczki nad łóżkiem. To znaczy, że z kancelarii nadeszły już moje papiery, ostatecznie wygotowane – mianowicie moje świadectwo superrewizyjne – i że wobec tego jutro mam już opuścić szpital i udać się do tzw. „transenu", z którego będę skierowany za kilka dni do Kamińska. Zacznie się, zdaje się, smutny okres moich peregrynacji, które oby się jak najrychlej skończyły pomyślnym wynikiem superrewizji. Ostatni więc to mój dzień w szpitalu. Dobrze mi tu było pomimo rygoru, który tu panuje. Opieka lekarska jest tu rzeczywiście znakomita, a poczciwy dr Czaplicki, do którego miałem wprawdzie z początku pewne urazy, ale którego zacność i serdeczność gruntowną oceniłem, jest prawdziwym przyjacielem chorego legionisty. Może jeszcze gdzieś w „transenach" lub w Kamińsku znajdę wolny czas i miejsce w dzienniku na szczegółowszą wzmiankę o tym szpitalu i w szczególności o tej miłej „czternastce", na której spędziłem ten miesiąc wśród sympatycznego na ogół otoczenia młodych legionistów, zachowując miłe wspomnienia.

Jestem w tej chwili pod przykrym wrażeniem listu Józefa Albina Herbaczewskiego[11], który dziś otrzymałem. O liście tym wspomnę niżej. Pierwej chcę poświęcić kilka słów wrażeniom miłym i dodatnim, doświadczonym dziś, a będących w związku z Legionami. Przede wszystkim na mieście w Krakowie miałem dziś kilka przygodnych i drobnych a bardzo sympatycznych dowodów uczucia i uznania ludności krakowskiej dla legionistów. Wziąłem dziś przepustkę, ostatnią już, ze szpitala na miasto. Odwiedziłem p. Róga. Jego nie zastałem, ale przyjęła mnie jego żona i jej matka, których dotąd nie znałem wcale, ale które wiedziały już o mnie od Róga. Były dla mnie niezmiernie uprzejme i serdeczne jak rzadko. W osobie mojej witały i czciły legionistę. Zabawiłem u nich parę godzin. Częstowały mnie herbatką i gawędziły. Opowiadałem im o Legionach, o walce naszej, o życiu w linii itd. Są to dusze kobiece wrażliwe i czyste, pełne pięknego idealizmu, które pragnęłyby widzieć życie w najściślejszej zgodzie ze słoneczną doskonałą legendą. Przyjemne wrażenie tych chwil, spędzonych z tymi paniami, podnosiło się dla mnie jeszcze przez to, że mąż starszej pani był rodem z Litwy, z Mińszczyzny, uczestnikiem ruchów sprzed roku 1863, potem wygnańcem i że stąd pani ta ma dużo wspomnień serdecznych przez pamięć męża o Litwie i że obie są pełne szczerego i rzewnego sentymentu dla Litwy naszej kochanej. Po tym dwukrotnie doświadczyłem zupełnie przygodnie tego odruchowego wyrazu sympatii, jaką ludność krakowska, z klas średnich, ludność patriotyczna ma dla legionistów i ich dzieła. Było to raz u Hawełki – ze strony kasjerki, a drugi – ze strony piekarki w piekarni przy Szpitalnej. Szczegółów opisywać nie będę; nie miały one zresztą nic wspólnego z jakimkolwiek flirtem czy erotyzmem – były tylko odruchami czystej sympatii; odruchy drobne, małe szczególiki, ale dla mnie były nader miłe. Ludność krakowska ma rzeczywiście gorący kult dla Legionów, kult, który szlachetnym ogniem zapala te serca i pozostawi w nich zalążki nieskazitelnego zapału jako kapitał dla przyszłych czynów tego ludu.

Dostarczono mi dziś do szpitala list Pomorskiego do mnie, pisany dawno już, w odpowiedzi na mój list z Rzeszowa. List ten był przesłany przez kogoś przez okazję i dopiero dziś doszedł do mnie, przechodząc przez kilka rąk, gdy tymczasem już się z Pomorskim widziałem. Zacytuję z tego listu ustęp, w którym Pomorski określa swój stosunek do Legionów z okazji dowiedzenia się o moim do nich wstąpieniu, a zacznę, że Pomorski należy do obozu, który, wyznając ideał niepodległościowy, uznaje metodę neutralizmu polskiego wobec stron wojujących i nie decyduje się na usankcjonowanie czynu Legionów jako czynu programowego. Słowa Pomorskiego, człowieka wybitnego w Warszawie, charakteryzują dobrze stosunek obecny tych niepodległościowych neutralistów. Ze słów tych wyziera niewątpliwie triumf moralny, wielkie zwycięstwo ideowe Legionów. Oto słowa Pomorskiego: „My z pozbycia się jednych panów zadowoleni – nie mamy jednak wielkiej radości z drugich – wzdychamy do wolnych ptaków i zazdrościmy Wam, którzyście dla swych myśli znaleźli prostolinijne urzeczywistnienie. Przy szacunku dla Waszych czynów nie widzę uzasadnienia i potrzeby, by one stały się powszechnymi. Jest to dla mnie piękna, niebezowocna demonstracja, przed którą należy pochylić głowę". Właściwie czym się w takim razie różnią ci neutraliści do piłsudczyków warszawskich w ocenie Legionów dzieła? Różnica niewielka. Legiony – to nade wszystko czyn demonstracji. Były by się one

[11] Józef Albin Herbaczewski (1876-1944), litewski literat, publicysta, dramatopisarz, rzecznik współpracy polsko-litewskiej, założyciel Stowarzyszenia Litewskiego „Ruta" w Krakowie w 1904 r gdzie mieszkał przez długie lata od 1901 r. Współpracownik „Świata Słowiańskiego". W l. 1911-1923 lektor języka litewskiego w UJ. W 1919 r. bez powodzenia uczestniczył w akcji mediacyjnej na Litwie. W l. 1924-1932 wykładowca literatury polskiej w Uniwersytecie Kowieńskim. Od 1932 mieszkał w Warszawie. Zaprzyjaźniony z Römerem od 1907 r. Pochowany na Cmentarzu Rakowickim w Krakowie.

stały czymś więcej, o bardzo wiele więcej, bo armią zbrojną równoległą w wojnie, dopiero wtedy, gdyby na samym początku wojny całe Królestwo stanęło do tego czynu. List Herbaczewskiego, do którego pisałem do Pragi Czeskiej (w Pradze bawi on od jesieni r. 1914, od czasu ewakuacji Krakowa i nie może wrócić obecnie z powodu chronicznego u niego braku pieniędzy), sprawił na mnie b. przykre wrażenie. Czułem się po przeczytaniu tego listu po prostu przygnębiony. Zrobiłem też zaraz nowy rachunek sumienia i doszedłem do przekonania, że jednak zarzuty Herbaczewskiego są zupełnie niesłuszne i że w całym czynie moim nie ma nic zgoła, co by wykraczało przeciwko Litwie i jej ludom. Nie tylko że nic nie wykracza, ale że cały mój czyn, jaki wypłynął całkowicie z miłości dla Litwy, tak pozostał i jest takim. Litwie on służy, choć się w szeregach narodowego wojska polskiego mieści. Ten bowiem ruch polski służy również wolności Litwy i w ogóle wyzwoleniu ziem Rzeczypospolitej z jarzma moskiewskiego, z największego niebezpieczeństwa dla rozwoju i kultury wszystkich tych ludów. W zbrojnym czynie Legionów mieści się organicznie z konieczności dziejów, bez względu nawet na świadomość, szczytna zasada: za naszą i Waszą wolność! Herbaczewski robi mnie, zgoła dowolnie, uczestnikiem polonizacyjnych aspiracji PPS-owców i rozmaitych innych polityków polskich, nawiązujących do dzieła Legionów te lub inne tendencje. W szczególności zarzuca mi odpowiedzialność za rozmaite artykuły „Wiadomości Polskich”, krzywdzące dla Litwinów. Nie utożsamiam się z politycznymi tendencjami różnych rzeczników legionowych w stosunku do Litwy. Mnie chodzi o obiektywne rezultaty ruchu w stosunku do wyzwolenia od Rosji.

14 stycznia, rok 1916, piątek
Dziś pożegnałem mój szpital i dostałem się do tzw. „transenu”. Jest to lokalny punkt zborny dla wszystkich żołnierzy, tak Austriaków, jak legionistów, wychodzących ze wszystkich szpitalów krakowskich. Stąd co kilka dni odchodzą transporty żołnierzy w różnych kierunkach; co zaś do legionistów, to ci, zdaje się, wszyscy są stąd odsyłani do Dziedzic, gdzie się gromadzą również „rekonwalescenci” z innych miast Austrii i gdzie się dopiero rozdziela tych, co są już uznani za zdrowych i skierowani do Kozienic do tzw. kadry, czyli do batalionów uzupełniających, i ci, co są skierowani do Kamińska jako bądź rekonwalescenci, bądź przeznaczeni do superrewizji. „Transen” mieści się w wielkim gmachu koszar wojskowych przy ul. Rajskiej. Rozpoczęła się więc moja włóczęga, pełna przykrości, a nawet upokorzeń, na której końcu świta mi perspektywa urlopu w drodze superrewizji i ewentualnie możności powrotu do Wilna. Meta tej drogi krzyżowej jest piękna i upragniona, ale sama droga jest nieznośnie ohydna i niewymownie ciężka. Szpital, pomimo swego rygoru formalistycznego i pomimo wszelkich braków, na które nieraz narzekałem, wydaje mi się teraz rajem utraconym i wyśnionym niedościgłym ideałem. Już to kilkakrotnie notowałem w dzienniku w pierwszych dniach mojego odjazdu z linii, że na tyłach żołnierz-szeregowiec legionista, który tam w szeregu, tam w ogniu walki, gdzie się spełnia bezpośredni szlachetny rycerski czyn, jest rycerzem własnej wiary i idei, obywatelem wielkiej Sprawy – spada do rzędu bydła ludzkiego, do rzędu istot ujarzmionych i niewolnych, podległych ślepo siłom wyższym. Tam w linii, zwłaszcza w szrankach naszej ukochanej I Brygady, żołnierz-szeregowiec nie zatraca nigdy swej godności ludzkiej, o ile tylko sam czynami swymi jej nie splami i nigdy, prócz może jakichś wyjątkowych zgoła wypadków, nie doświadcza uszczerbku w takowej. Wręcz przeciwnie jest na tyłach, gdzie żołnierz jest igraszką sił wyższych, bez własnej woli – bo pragnienia, które nie mogą być dowolnie w czyn przetopione, nie zasługują na miano woli – i gdzie trzeba zbyt często zapominać już nie tylko o jakichś ambicjach osobistych, ale nawet o swej godności ludzkiej, poddając ją upokarzającym wymogom przepisów i nakazów z góry. Odczuwałem to

szczególnie intensywnie w pierwszych dniach odejścia z linii, gdym się tłukł po punktach sanitarnych i szpitalach etapowych na stacji Maniewicze, na stacji Kowel i we Włodzimierzu Wołyńskim; później w szpitalu rzeszowskim zapomniałem niemal o tym doznając tam wielu względów; po przyjeździe do Krakowa na razie znów to poniekąd wyczułem w takich przykrych, choć drobnych, ukłuciach formalizmu, jak przymus golenia głowy i pewnych innych, ale potem znów tu miałem traktowanie ludzkie i nawet serdeczne, a środowisko towarzyszy niedoli, współchorych na „czternastce" – sympatyczne i pełne kulturalnego wdzięku. Teraz dopiero znów w całej pełni doświadczyłem i doświadczać będę nadal w mojej włóczędze po „transenach" i Dziedzicach – tej przykrej i upokarzającej pozycji żołnierza na tyłach. Mogę, niestety, powiedzieć o sobie początkowymi słowami jednej z naszych piosenek żołnierskich: „Smutna, smutna, smutna jest dola ma". Smutna – ale prawdziwa. I oto żal mam poniekąd do tych tak licznych i serdecznych przyjaciół i znajomych moich w Krakowie, mających stosunki i wpływy w legionowym ruchu, pełnych uznania dla mnie, ceniących tak moją rolę społeczną i polityczną w Wilnie, zapewniających mnie o wielkiej troskliwości o mój los – a którzy jednak nie wystarali się, a nawet nie spróbowali się postarać choćby tylko o to, abym mógł otrzymać marszrutę na bezpośrednie przejechanie z Krakowa do Kamińska, zamiast jechać z transportem drogą formalną na „transen" i Dziedzice. I kto by na tym stracił, gdybym uniknął tej poniewierki? Czyż dla samej tylko zasady formalizmu odmówiono by mi tego udogodnienia, gdyby się o to był postarał Sikorski albo Stanisław Downarowicz (który był tu przez jakiś tydzień w Krakowie i wpadł do mnie do szpitala dopiero ostatniego dnia swego pobytu, a nie zastał mnie), albo pani Radlińska. Naturalnie, że o pracy żadnej umysłowej ani mowy być nie może w tej tułaczce koszarowej. O artykułach, o które mnie Feldman prosił, nie ma co teraz nawet myśleć.
Wędrówka ze szpitala do „transenu" trwała kilka godzin. Rano stanąłem, jak to jest wymagane, do raportu dla zameldowania mego odejścia komendantowi szpitala, dr Pakoszowi. Po obiedzie o godz. 1 wezwano mnie już do wymarszu. Pożegnałem moich towarzyszy z „czternastki", zarzuciłem plecak na siebie i zszedłem na dół do łazienki, gdzie się zebrali wszyscy odchodzący. Tu się odbyła rewizja wnętrza plecaków w poszukiwaniu, czy kto nie zabrał jakichś rzeczy należących do szpitala; rewizja upokarzająca, ale może, niestety, niezbędna, bo zdarzyły się właśnie w ostatnich dniach takie fakty. Przez jakiś wzgląd szacunku dla mojego inteligenckiego wyglądu mojego plecaka ani tknięto. Stąd poszliśmy do I oddziału szpitalnego, gdzie zebrali się odchodzący ze wszystkich oddziałów i gdzie trzymano nas parę godzin, załatwiając formalności kancelaryjne. Stamtąd poprowadzono wszystkich do „transenu". Tam też trzymano nas na chłodzie w korytarzu parę godzin, aż wreszcie wszystkich legionistów zaprowadzono do sali Nr 77, przeznaczonej na lokatę dla legionistów.

15 stycznia, rok 1916, sobota
Pobyt w „transenie" należy do rzeczy arcyniewesołych. Jest się, jak na popasie etapowym. Posępna to instytucja. Mieści się ona w wielkich koszarach przy ul. Rajskiej. składa się z właściwego gmachu koszar, wielkiego dziedzińca i jakichś drobnych domików w głębi, służących za składy itp. Gmach koszar przecięty jest na wszystkich piętrach olbrzymimi wzdłuż korytarzami. Z korytarza nieprzerwanym rzędem idą drzwi do poszczególnych pokojów. Symetria budowy wewnętrznej jest bezwzględna. Jak korytarze na wszystkich piętrach mają ten sam wymiar, tak też jednego wymiaru są wszystkie pokoje. Na korytarzach przez cały dzień panuje nieustanny zgiełk i ruch, bijący hałasem tysiąca ech po kamiennych ścianach i podłodze. Zimno jest w całym gmachu, a w pokojach niewiele cieplej, o tyle tylko, o ile

ludzie je oddechem własnym ogrzeją. Nikt się nie czuje tu zadomowionym, bo mieszkańcy „transenu” co kilka dni się wciąż zmieniają; stąd ciągły nieład i jakiś nastrój niedbalstwa, niechlujstwa, tymczasowości. Ludzie nie dbają o to, jak się tu urządzą, nie zawierają znajomości i nie zawiązują stosunków, bo wszyscy wiedzą, że się tu nie zagnieżdżą, toteż nie przywiązują tu do niczego wagi. Pokój nr 77, przeznaczony dla legionistów, nie różni się niczym od innych: jest głęboki i względnie wąski, o suficie sklepionym, mroczny, bo ma jedno tylko okno w głębi, wieczorem również ciemno, bo oświetlany tylko niewielką wiszącą lampką naftową. W głębokim mrocznym pokoju, którego większość tonie w półcieniu, unoszą się gęste opary; gdyśmy tu wczoraj po raz pierwszy wchodzili, sądziłem na razie, że to jest przedsionek łazienki. Opary te, mgłą zasnuwające zmrok pokoju, pochodzą poniekąd z wilgotności murów, poniekąd zaś z wyziewów codziennej dezynsekcji sienników. W jednym kącie pokoju piętrzą się wysokie stosy sienników, złożonych tam na dzień, a które na noc rozchwytywane są przez lokatorów pokoju. Śpi się na tych siennikach, położonych pokotem na ziemi; gdzie kto się ulokuje, tam sobie śpi; na noc wydają koce, które rano się odbiera. W środku pokoju, bliżej okna stoją dwa wąskie stoły z ławami dokoła. Przy stołach siedzą zwykle gracze i grają przez dzień cały w karty, ale nie jest wykluczone zdobycie sobie kawałka miejsca do pisania. Legioniści, zaludniający ten pokój, pochodzą z różnych brygad i różnych rodzajów broni. Są między nimi chłopcy sympatyczni, kulturalni, ideowi, a nawet większość składa się z elementu porządnego i dobrze wychowanego; ale jest, jak to już zwykle bywa, garstka batiarów – hołoty, śmiecia, któremu miejsce na ulicy, nie zaś w Legionach; ci, choć są mniej liczni, robią najwięcej hałasu i zatruwają środowisko swoją nieustanną wrzawą kłótni, połajanek, bitek, ci skaczą po stołach, robią rejwach, zakłócają spokój stekiem najtrywialniejszych brudnych słów, słowem – robią jakieś piekło wyuzdania w pokoju. Gdyby pobyt tu nie był przelotnym, większość by się jakoś zorganizowała i potrafiła opanować i zmusić do karności ten niesforny batiarski element; ale nikt się do tego nie zabiera, uważając siebie tylko za chwilowego gościa, toteż hołota grasuje i nadaje swój wstrętny ton całości. Co dzień przybywają tu nowe partie ze szpitalów i gromada rośnie, aż po kilku dniach się wszyscy wywożą i znowu nowe zaczynają przybywać oddziałki. Wczoraj zastaliśmy tu kilkunastu gości, myśmy powiększyli ich liczbę do 30, dziś, po przybyciu nowych, jest coś ze 40. W takiej atmosferze trzeba siedzieć od godz. 7 rano do godz. 5 po południu. Nic się nie robi, ale wychodzić na miasto przed godz. 5 nie wolno. Jedyne zbawienie – to kantyna, w której można godzinami wysiadywać przy kuflu piwa i czas sobie jakoś skracać. Oczywiście, że w takim przygodnym zbiorowisku ludzi zachodzi niebezpieczeństwo być okradzionym, bo o to zawsze łatwo wśród takiej zbieraniny. We dnie niebezpieczeństwa nie ma, bo przy ludziach nikt po cudzych plecakach łazić nie będzie, ale wieczorem, gdy się wychodzi na miasto, a plecaki zostają, to się jest na losie szczęścia – pokój wtedy się wypróżnia; nie zostaje ani żywej duszy – jak wymiótł; wtedy złodziejaszek może sobie wejść i grasować, jak mu się żywnie podoba; w nocy też trzeba uważać, kogo się ma za sąsiadów, bo mogą pokraść z kieszeni, co się ma. Wczoraj obeszło się bez wypadku kradzieży, ale już dziś wieczorem zginęły jednemu z plecaka buty i kiełbasa. Wszystkich, co tu przybywają, zmuszają do kąpieli i przy tej okazji golą im zarost dokoła organu płciowego. Uniknąłem tej operacji, bom się schował na czas kąpieli w kantynie. Obiad – to tu procedura długa i męcząca. Robi się zbiórkę ogólną na dziedzińcu, co trwa długo, bo ogółem jest tu kilkuset ludzi, razem z Austriakami, tam się rozdaje pocztę, potem znów się zbiórkę zarządza, dopiero się rozdaje znaczki blaszane i z nimi się wreszcie idzie do lokalu kuchennego, gdzie się obiad wydaje.

Dawno nie wspominałem nic o wypadkach wojennych. Dziś są nowe wieści o postępach ofensywy austriackiej w Czarnogórze. Przed kilku dniami zdobyta została niedostępna ufortyfikowana góra Lovcen, stanowiąca klucz do Czarnogóry. Obecnie zajęta już stolica – Cetynia. Czarnogórę spotka zapewne już wkrótce los Serbii, która od dawna całkowicie jest okupowana. Moskale od świąt przez kilka tygodni usiłowali gwałtownie sforsować linię frontu na Bukowinie i Galicji Wschodniej. Po szalonych wysiłkach nie zdobyli nic.

16 stycznia, rok 1916, niedziela
Dzień za dniem wloką mi się w transenie. Co dzień przybywają tu nowe partie ze szpitala i co dzień liczba mieszkańców się zwiększa. Legionistów jest już spora gromada, dziś bowiem przybyła liczna partia, a oprócz tego przyjechała partia z Kamińska, przeznaczona do superrewizji. Legioniści nie mieszczą się już w naszym pokoju i wielu musi szukać gościny po innych pokojach. Odjechać mamy stąd na Dziedzice podobno dopiero pozajutro. My tu trzymamy się w czwórce: ja, niejaki Urbanik[12] z IV pułku, Jarema[13] z mojej kompanii z plutonu I i Niedzielski[14], artylerzysta. Wszyscy czterej wyszliśmy jednocześnie z III oddziału szpitala fortecznego nr IV, wszyscy jedziemy do Kamińska i wszyscy przeznaczeni jesteśmy do superrewizji. To nas niby łączy w pewną grupkę w środowisku obcym. Nie jesteśmy ze sobą w jakimś szczególnie bliskim stosunku, ale mniej więcej trzymamy się kupy. Dziś w niedzielę mieliśmy dłuższą przepustkę na miasto, od godz. 2 do 9. Odwiedziłem naszą „14-stkę" w szpitalu, byłem u Limanowskich, największą zaś część czasu spędziłem u Róga. Nagadałem się, a właściwie nasłuchałem się Róga do syta. Obfite gawędy Róga były jednym ciągiem krytyki Piłsudskiego. Poniekąd miał rację w tym, co mówił, ale tylko poniekąd. Róg, stary partyjniak-socjalista, który ongi odpadł od PPS-u i wspólnie z Kulczyckim należał w r. 1900 do założycieli II „Proletariatu", ma jeszcze głębokie zadawnione uprzedzenia do Piłsudskiego i reminiscencje z owych starych walk partyjnych. Te elementy wpływają w dużym stopniu na jego obecny sąd o Piłsudskim i jego polityce. Poza tym wszakże ze słów Róga przekonałem się raz jeszcze o istnieniu rozdźwięków między Piłsudskim a N.K.N-em i o tych elementach rozterki, które istnieją wewnątrz ruchu. Nie będę się w to na razie wdawać szczegółowo. Przykre to są i bardzo ujemne rzeczy, osłabiające bardzo znacznie powagę i wydajność ruchu. Nie można zaprzeczyć, że jest w tym do pewnego stopnia wina także Piłsudskiego. zwłaszcza jego charakteru, jego zbytniego uporu, ale nade wszystko jest to zdaje się wynikiem różnych założeń i tendencji określonych ludzi uczestniczących w ruchu. Piszę dziennik w zgiełku, w kantynie, wśród głośnych rozmów i szczęku szkła kufli z piwem. Przywykłem już do tego i teraz to mi już nie bardzo przeszkadza. Korzystam z miejsca, aby się znów zabrać do dalszego ciągu charakterystyki kolegów-legionistów z mojego byłego plutonu. Dziś kolej na obywatela Micha, który w ataku na Jabłonkę dostał ciężki postrzał w piersi i później już znaleziony nie został: albo umarł z rany, albo jest w niewoli rosyjskiej. Przypuszczam, że „Mich" to pseudonim. Mich wstąpił do Legionów z grupą Borysławiaków, sam zaś pochodzi ze Lwowa; był rzemieślnikiem i nawet miał typowe cechy ucznia rzemieślniczego; był zawsze skrzywiony, narzekający na zwierzchność swoją, wieczny malkontent; a lubił, gdy komuś figla spłatano lub na dudka wystrychnięto; szydził sobie ze wszystkich, a sam nie dawał sobie słowa powiedzieć i umiał się odgryzać na wszystkie strony. Inteligencją się nie odznaczał,

[12] Józef Stanisław Urbanik, legionista III batalionu 4 pp. III Brygady, ranny 30 lipca 1915 r. pod Jastkowem.
[13] Józef Jarema, legionista 1 plutonu 1 kompanii I batalionu 1 pp. I Brygady.
[14] Być może Franciszek Niedzielski z 1 pp. I Brygady.

koleżeńskim ani towarzyskim nie był; zgryźliwość i kwaśność były powszednimi towarzyszkami jego humoru; był ze wszystkiego nierad i zdaje się, że gotów był, gdyby się dało, nie spełnić lub, co gorsza, spełnić świadomie źle swoje obowiązki. Do Legionów był zniechęcony; zresztą był to charakter, który do wszystkiego się zniechęcał i pracy nie lubił. Był przykry dla kolegów, zwłaszcza dla Lubliniaków, z których kpił; połajanek używał obficie, choć znosił też jako rzecz naturalną, gdy jego wet za wet łajano. Poza tym, był to chłopiec w gruncie może nawet niezły, bo serce okazywał czasem dobre. Młody był, miał, jak sądzę, niespełna 20 lat. Szkoda go. Dla mnie był uprzejmy i szczególnie względny, jak gdyby uznawał i stwierdzał swoim postępowaniem wyższość moją. Naturalny był bardzo, blagi nie miał wcale i nie znosił jej w innych. Do plądrowania i zdobywania kur, gęsi i przysmaków był zawsze skory i łasy. Wtedy lenistwo jego ustawało.

17 stycznia, rok 1916, poniedziałek
Dziś był już tłum legionistów w transenie. Nie wiadomo było, czy odjadą tylko ci, którzy są przeznaczeni wprost do kadry, czy też także my, przeznaczeni do Kamińska. Okazało się wreszcie, że my zostajemy jeszcze do jutra rana. O godz. 5 po długich poprzednich zbiórkach, wywoływaniu imiennym itd., wymaszerował wreszcie transport z przeszło 100 legionistów – do Kozienic i Kowla, do batalionów uzupełniających. Pozostali w transenie tylko ci, co wczoraj stawali do superrewizji w liczbie czterdziestu kilku i mają jutro wraz z nami wracać do Kamińska, dalej nas 15 przeznaczonych do Kamińska i kilku czy kilkunastu nowych, którzy dziś dopiero do transenu ze szpitala przybyli. Oczywiście, że mówię tu tylko o legionistach; legioniści zajmują tu tylko dwie sale i stanowią znikomą cząstkę zaludnienia tych olbrzymich koszar. Od godz. 5 do 8 wydano nam przepustkę na miasto. Oprócz kilku drobnych sprawunków chciałem odwiedzić dziś pp. Rógów, którym już obiecałem być, Sokolnickiego i p. Radlińską. Jednak czasu było mało, sprawunki dużo czasu zajęły, tak że skończyło się tylko na bytności u Rógów. Samego Róga nie było w domu, jeno żona jego i jej matka oraz jakaś pani, zdaje się Paszkowska z Litwy, zaproszone umyślnie dla zapoznania się ze mną. Czas zeszedł mile przy herbatce na gawędce o Litwie i wspomnieniach z wojny. P. Rógowa i jej matka są dla mnie niezmiernie uprzejme i serdeczne, dawno nie doświadczałem od ludzi obcych tyle serdeczności, co od nich; prawdziwie, że nawet krewni nie mogą być lepsi. O godz. 8 byłem już w transenie. Wypłacono nam wszystkim, odjeżdżającym jutro do Kamińska, relutum[15] po 3 korony z halerzami na utrzymanie dzienne w drodze.
Miejsce jest wolne, więc skorzystam, by wstawić jeszcze jedną z kolei charakterystykę kolegi-legionisty z mojego plutonu. Mówić będę o obywatelu Fijałkiewiczu młodszym, rodzonym bracie obywatela Marsa. Pseudonimu nie miał, ale przezywano go „Ciotką" i pod tym imieniem był więcej znanym, niż pod nazwiskiem właściwym. Figurę miał dość niezgrabną, twarz brzydką bez wyrazu. Śmiano się z niego w plutonie, kpiono i drażniono, chociaż nie przekraczało to ram żartu. Na razie Fijałkiewicz-Ciotka wydał mi się sympatyczny; żal mi go było, że jest takim jakimś ośmieszonym; wydawał mi się dobrym Kopciuszkiem; przychodziłem do niego ze słowem ludzkim, przeciwstawiając mój stosunek do niego tym żartom i śmieszkom, które go otaczały. Przekonałem się jednak później, że nie jest to człowiek wiele warty i nie ma w sobie nic z ofiary losu. Upośledzony był, ale przez naturę, nie przez ludzi. W gruncie nie był ani dobry, ani zły; był po prostu nijaki, mało interesujący. Nie brał zbyt do serca drwin i żartów, którymi się z niego śmiano. Był jednak chamski i niechlujny z natury, pozbawiony wrażliwości i

[15] Relutum (reluton) – odprawa pieniężna, żołd.

subtelniejszych uczuć. Brudny był fizycznie i brudny w słowach. Nie mył się chyba nigdy i nie wiem, czy kiedy bieliznę zmieniał. Był brudasem klasycznym. Nie tylko że był owszony i ciągle się skrobał i iskał, co w linii jest nieuchronną koniecznością dla żołnierza, ale robił to jakoś szczególnie brzydko, niechlujnie, nie zważając na nikogo i brudząc wszystko dokoła siebie. W łajaniu też był mistrzem. Nie wkładał w klęcie i łajanie nic z humoru żołnierskiego, jeno sam stek najbrzydszych, najcyniczniejszych, najpotworniejszych słów. Złośnik też był, gniewał się tak, że aż mu białka w oczach błyszczały, a z ust sypał się potok brudu. Od swojego szlachetnego brata Marsa był bardzo daleki duchowo, mimo że pewne podobieństwo fizyczne było.

18 stycznia, rok 1916, wtorek
O godz. 4 obudzono nas rano. Koło godz. 5-5 ½ wyprowadzono nas z transenu dwoma oddziałami na dworzec kolejowy. Jeden oddział z 15 ludzi składał się z tych, którzy świeżo wyszli ze szpitala i przeznaczeni zostali do Kamińska; w ich liczbie ja jestem. W drugim oddziale, w liczbie przeszło 40, byli powracający z superrewizji. Na dworcu kolejowym wypiliśmy kawę ofiarowaną dla żołnierzy przez jakieś towarzystwo pań. O godz. 6.50 wyjechaliśmy z Krakowa. Poniekąd w szpitalach, a zwłaszcza w transenie i teraz w drodze nasłuchaliśmy się dużo o Kamińsku. Opowiadają o tym domu rekonwalescentów tysięczne osobliwe rzeczy; gdyby wierzyć wszystkiemu, to rzeczywiście usprawiedliwiona byłaby nazwa „domu wariatów”, którą nieraz legioniści Kamińskowi nadają. Szczególnie zaś dziwnie się przedstawia w tych opowiadaniach osoba naczelnego lekarza w Kamińsku dr Koźniewskiego[16]. Jeżeli nawet trzecia część tych opowiadań jest prawdą, to dr Koźniewski jest niewątpliwie człowiekiem nerwowo chorym i histerykiem. Robi on wszystko na złość i na przekór, podnosząc to do poziomu metody. Jeżeli ktoś mu się skarży, że jest mu tu źle, to trzyma go bez końca w Kamińsku, jeżeli mu powie, że jest mu dobrze lub jeżeli powie, że się czuje chory, to go na pewno jak najprędzej wyśle do kadry; jeżeli chce wracać do kadry i prosi o to, to go przeznaczy do superrewizji i odwrotnie. Tysiące takich i tym podobnych przykładów opowiadają o Koźniewskim. O samym zakładzie opowiadają, że jest nieznośny; że przez cały dzień są rozmaite zbiórki i niepotrzebna ciąganina bez szczególnych pozorów zajęć; że nuda jest wściekła, brud jest klasyczny, że się śpi po dwóch w jednym łóżku, że na salach, na których po 200 i więcej ludzi się lokuje, jest ciągły nieład, hałas, krzyki i połajanki – że, słowem, cały ten Kamińsk jest czymś *á la* transen krakowski. Jechałem więc z uprzedzeniem i niechęcią. Nie znoszę takiej lokaty koszarowej, wśród obcej zgrai wszelkiego śmiecia, a wiem już z doświadczenia, że wśród legionistów, szczególnie na tyłach, jest takiego śmiecia ludzkiego – wszelkiej hołoty błazeńskiej, która żyje tylko awanturami, karciarstwem i marzeniem o pornografii – pełno. Nie wiem, co to jest, ale zachodzi olbrzymia różnica między legionistami na linii a legionistami na tyłach. Na linii jest element szlachetniejszy; nie spotyka się tam tylu batiarów, awanturników i błaznujących się nicponiów, tyle, mówiąc po prostu – łajdactwa, ile się go spotyka dopiero na tyłach; jeżeli tacy są tam nawet, to w karbach pracy i w środowisku bądź co bądź ideowym i karnym zostają zagłuszeni i muszą się podporządkować duchowi ogólnemu. Zresztą z natury rzeczy elementy gorsze i próżniacze gromadzą się na tyłach, podczas gdy najbardziej ideowy, szlachetny i rzetelny element trwa na stanowisku i opuszcza je tylko z konieczności, z

[16] Tadeusz Kazimierz Koźniewski (1880-1921), por., lekarz Legionów, studiował medycynę na Uniwersytecie Warszawskim i Uniwersytecie Jagiellońskim. Członek Związku Strzeleckiego, w sierpniu 1914 r. komisarz wojskowy w Olkuszu, lekarz I batalionu 1 pp., od czerwca 1915 r. lekarz Domu Uzdrowieńców w Kamieńsku. Od maja w służbie frontowej w 2 i 3 pp. Legionów. W Polsce niepodległej w departamencie sanitarnym Ministerstwa Spraw Wojskowych.

powodu ran lub chorób. Zgoła więc bez zapału jechałem do Kamińska, a w perspektywie miałem przed sobą pobyt tam długi aż do nieskończoności prawie. Dowiedziałem się bowiem od tych, którzy byli w Kamińsku, że przed superrewizją siedzi się tam krótko, bo transporty superrewizyjne odchodzą do Krakowa często, ale dopiero po superrewizji czeka się po miesiącu i po kilka miesięcy na papiery z komisji. Powieziono nas dziś wprost do Kamińska, omijając Dziedzice. Na stacjach węzłowych w Trzebini, Szczakowie[17] i Ząbkowicach, trafiliśmy dobrze z pociągu na pociąg. Przed zmrokiem, to znaczy coś koło godz. 3 ½–4 byliśmy już w Kamińsku. Zakład uzdrowieńców w Kamińsku mieści się w zabudowaniach fabrycznych fabryki giętych mebli, ustąpionej łaskawie na ten cel przez jej właściciela. Jest to cała grupa budynków, odgrodzona wraz z odpowiednimi dziedzińcami i przynależnościami parkanem. O Kamińsku napiszę jeszcze, gdy go poznam lepiej. Z dworca kolejowego poprowadzono nas do zakładu i przede wszystkim do miejscowego urzędu żandarmerii legionowej. Tam zażądano od nas wydania wszelkiej broni, jaką ktokolwiek by miał. Ponieważ zabierano się zaraz do rewidowania plecaków, więc oddałem mój bagnet, który dotąd zdołałem przez czas pobytu we wszystkich szpitalach ukryć. Odbierano tu i pasy także, ale pas mój, piękny skórzany, miałem schowany w kieszeni płaszcza, toteż go ocaliłem. Stamtąd poprowadzono nas przed kancelarię dla załatwienia formalności meldunkowej. Czekać trzeba było długo, toteż pozwolono nam na czas jakiś pójść się ogrzać i posiedzieć do herbaciarni. W toku tego spotkałem tu na dziedzińcu i w herbaciarni kilku z moich kolegów z naszego dawnego plutonu. Ucieszyłem się serdecznie z tych spotkań. Z kolegami mymi z naszego plutonu czuję się związany tak serdecznymi nićmi stosunku, jak z braćmi. Krótki to przecie czas w życiu – 1 ½ miesiąca – który spędziłem z nimi, a jednak wystarczyło to na utrwalenie związku. Spotkałem przede wszystkim Eminowicza, potem Guca, który w herbaciarni urzęduje, sprzedając znaczki na herbatę, ciastka itd. Spotkałem też jednego z naszych sanitariuszy kompanijnych. Od Eminowicza, z którym nagawędziłem się dużo i serdecznie, dowiedziałem się, że jest tu jeszcze Tobjasz i Maniecki. Był tutaj także Fijałkiewicz-Ciotka, który obecnie odjechał już do kadry. W kadrze jest także Partyka i Kruszyna. Knapczyk jest w Cieszynie. Mars jest tu spodziewany.

19 stycznia, rok 1916, środa
Jest wybitna nowina z wojny. Urzędowo ogłoszono, że Czarnogóra zwróciła się do Austrii z prośbą o zaniechanie działań wojennych i zawarcie pokoju. Austria zażądała przede wszystkim bezwarunkowego złożenia broni prze armię czarnogórską, na co Czarnogóra przystała. Jest to więc bezwzględna kapitulacja Czarnogóry, która się przez to poddała na łaskę i niełaskę zwycięzcy. Z pewnością, że Czarnogóra, a raczej jej król Mikołaj robi na tym interes, bo Austria nie zechce wyzyskać aktu kapitulacji i raczej przeciwnie – wynagrodzi nędzny kraik za upokorzenie i okaże wspaniałomyślność, która dla niej samej w obecnych warunkach jest popłatną, bo będzie świeciła dla innych przykładem i drogą do zawarcia pokoju. Dla Austrii i Niemiec fakt zawarcia pokoju separatnego z jednym z przeciwników jest atutem moralnym nie lada, o wiele ważniejszym, niż zwycięstwo oręża, niż pognębienie Czarnogóry na polu walki. Zespół wrogów był, a przynajmniej zdawał się dotąd solidarny. Klęska jednego zdawała się nie przesądzać zgoła ostatecznego rezultatu, dopóki inni członkowie koalicyjnego bloku zachowali żywe siły do walki. Konwencja Londyńska związała formalnie szereg uczestników koalicji zobowiązaniem o niezawieraniu osobnego pokoju. Wprawdzie Czarnogóra nie przystąpiła formalnie do Konwencji Londyńskiej, zdawało się jednak,

[17] Poprawna nazwa: Szczakowa.

że interes jej jest z natury rzeczy solidarny z interesem ogółu koalicji, zwłaszcza w związku z udziałem Włoch w wojnie. Związki krwi między domem królewskim włoskim a czarnogórskim, ścisła, zdawało się, solidarność Włoch z Czarnogórą w polityce bałkańskiej i adriatyckiej wykluczały niemal perspektywę zdrady koalicji przez Czarnogórę. Tymczasem, jak tylko ofensywa austriacka zadała cios w serce Czarnogóry, gotując jej los Belgii i Serbii, cała budowa solidarności prysła i Czarnogóra nie zawahała się zdradzić wspólną sprawę, odseparowując swój drobny interesik państwowy, a może tylko dynastyczny, od wielkiego współinteresu całej koalicji. W solidarnym ścisłym zespole ujawniła się szczerba. Drobne państewko, zamiast wierzyć w szumne obietnice grubych ryb koalicji – Anglii, Francji, Rosji i Włoch – prowadzących rzekomo tę „świętą" krucjatę przeciwko militaryzmowi niemieckiemu w imię ludzkości, sprawiedliwości i praw małych narodów – widząc się zagrożonym bez możności ocalenia swych własnych sił, ratuje się pokorą i spekulacją na łasce wroga. Właściwie dla Czarnogóry z chwilą, gdy armia jej została rozbita, był wybór między łaską przyjaciół z koalicji a łaską zwycięskiego wroga. Pierwsza łaska dotąd wisi tylko na frazesach, podczas gdy druga opiera się na konkretnej sile i może być natychmiast realizowana. Czarnogóra wybrała więc drugą łaskę, tę realną, tym pewniejszą, że dogadzała ona potrzebie wroga. Jest to dowcipna spekulacja króla czarnogórskiego[18], chociaż ze stanowiska honoru wojskowego jest to zdrada i łajdactwo. Ale czyż królikowi czarnogórskiemu zależeć może na honorze, z którego nie bardzo sobie nawet sprawę zdaje. A kto wie, czy po zwycięstwie Austrii i Niemiec królik czarnogórski nie zyszcze jeszcze uczestnictwa w podziale Serbii i spadku po Karadżiordżewiczach[19]. Ciekawe jest, jak zareaguje koalicja na ten akt Czarnogóry: „*en faisant bonne mine au mauvais jeu*", czyli też zapała oburzeniem i w konsekwencji do tego zechce uznać Czarnogórę za własnego wroga i ogłosić jej wojnę.
Wracam teraz do opowiadania o moim zainstalowaniu się w Kamińsku. Po zameldowaniu się w kancelarii poprowadzono nasz transport krakowski do badania lekarskiego. Ze 3-4 godziny musieliśmy czekać na lekarza. Wreszcie lekarz przyszedł i zaczęło się nas po czterech wprowadzać do gabinetu. Naczelny lekarz, ów legendarny Kuźniewski, jest na urlopie. Badanie więc załatwiał jego zastępca, dr Sokołowski[20], człowiek młody jeszcze, sztywny, ale grzeczny. Moje świadectwo superrewizyjne ze szpitala krakowskiego już przyszło. Doktor przyłożył tylko słuchawkę do piersi moich i na pierwsze dźwięki bicia mego serca już zaniechał dalszego badania. Okazuje się, że świadectwo superrewizyjne ze szpitala nie wystarcza do skierowania do superrewizji. Dopiero tu w Kamińsku lekarz bada raz jeszcze i orzeka ostatecznie o skierowaniu do superrewizji. Serce moje aż nadto przekonywująco świadczy o konieczności superrewizji, toteż dr Sokołowski zatwierdził natychmiast orzeczenie krakowskie dr Czaplickiego. W świadectwie krakowskim zapisany byłem pod pseudonimem

---

[18] Królem Czarnogóry był wówczas Mikołaj I Petrović-Njegoš (1841-1921).
[19] Wówczas panował w Serbii Piotr I Karadjordjević (1844-1921).
[20] Tadeusz (Gedeon) Mieczysław Sokołowski (1887-1965), lekarz chirurg, pułkownik WP. W młodości relegowany z rządowego gimnazjum filologicznego w Łodzi za udział w strajku szkolnym, działacz PPS ps. Marcin, absolwent medycyny Uniwersytetu Jagiellońskiego. Uczestnik wymarszu Pierwszej Kadrowej w 1914 r. Następnie lekarz w szpitalu epidemicznym w Wadowicach, zwolniony za sprzeciwienie się eksperymentom ze szczepionką na dur brzuszny, przeniesiony do Domu Rekonwalescentów w Kamińsku pod Piotrkowem, ponownie w służbie czynnej w Legionach do 17 VII 1917 r. Uczestnik wojny polsko-bolszewickiej jako szef służby zdrowia 22 Dywizji Ochotniczej w stopniu ppłka. W okresie międzywojennym poświęcił się pracy naukowej. W Polsce jeden z pionierów transfuzjologii, konserwowania, przechowywania i transportu krwi. W czasie wojny od 1942 r. chirurg Szpitala Wojennego nr 2 w Kanaqin na Środkowym Wschodzie, następnie kier. Oddz. Chirurgii w El Kantar nad Kanałem Sueskim, uczestnik kampanii włoskiej II Korpusu. W 1948 r. powrócił do kraju i wykładał w Akademii Lekarskiej w Szczecinie (od 1950 r. Pomorskiej Akademii Medycznej).

Rzymskiego, nazwisko zaś moje Römer było zanotowane w nawiasie. Dr Sokołowski uważa, że powinno być przeciwnie i że muszę być pod właściwym nazwiskiem wpisany. Kazał więc sekretarzowi podyktować sobie cały tekst świadectwa i sam je własnoręcznie przy mnie przepisał na moje nazwisko. W pewnym miejscu świadectwa dr Czaplicki zapisał, że możliwe jest, iż po pewnym czasie stan mego serca może się o tyle polepszyć, że mogę być jeszcze zdatny do służby wojskowej, chociaż to wątpliwe. Dr Sokołowski cały ten ustęp przy przepisywaniu opuścił i zamiast tego napisał kategorycznie, że do służby liniowej zdatny nie jestem i nie będę.

20 stycznia, rok 1916, czwartek
Doktor, po zbadaniu mnie pozawczoraj, wyznaczył mnie na tzw. salę chorych. Jest względnie najlepsza z sal, bo najmniejsza, najczystsza i najspokojniejsza. Wszystkie sale mieszczą się we właściwym gmachu fabrycznym; jest ich, zdaje się, sześć, siódmą zaś jest sala chorych. Na sześciu głównych salach mieści się coś po dwustu i więcej ludzi na każdej; pomimo olbrzymich sal, przepełnienie jest tak wielkie, że rzeczywiście spać musi po dwóch na jednym łóżku; a że łóżka są ustawione gęsto, nieraz po cztery tuż obok rzędem bez żadnego przejścia między nimi, więc się śpi na nich właściwie pokotem. Oczywiście na tych przepełnionych salach jest ciągły ruch, hałas, wrzawa; powietrze też jest ciężkie mimo wietrzenia, a brudno i naśmiecono, choć się zamiata często. Sala chorych, na której mnie zalokowano, ma tylko ze 40 łóżek; na każdym łóżku śpi tylko po jednym żołnierzu; ciszej tu znacznie i porządniej, niż na innych salach; jedno jest tylko dla mnie niedogodne, choć dobrze wpływa na stan sanitarny sali – że nie można na niej palić. Sala chorych nie jest salą szpitalną. Ci, którzy są rzeczywiście chorzy i muszą leżeć albo być leczeni, są lokowani w szpitalu osobnym. Sala chorych w domu rekonwalescentów przeznaczona jest dla tych, których stan zdrowia wymaga względnie większej wygody i spokoju. Sala chorych zwolniona jest całkowicie od wszelkich ćwiczeń, posług, wart itd. Inne sale wystawiają warty, których jest kilka posterunków na stacji kolejowej, w niektórych punktach osady, w zakładzie samym, muszą dawać ludzi do przeróżnych posług gospodarczych (skrobanie kartofli, zamiatanie lokalu, czyszczenie podwórza, wychodków, składów, noszenie węgla, ładowanie, obsługa żywego inwentarza itd., itd.); każda sala po kolei jest dyżurna. Poza tym, wszyscy z innych sal, prócz wyznaczonych do warty i posług, muszą codziennie brać udział w ćwiczeniach do godz. 11 przed południem. Ci, którzy ze względu na stan zdrowia zwolnieni są od ćwiczeń, wart i posług, dostają od doktora osobną kartkę. Ja mam także taką kartkę, ale jako zalokowany na sali chorych, jestem już *eo ipso* wolny od wszystkiego. W ogóle, jak wszędzie gdzie indziej, tak tu doświadczam zawsze względów na mój inteligencki wygląd, na mój zawód cywilny, na mój poziom kulturalny. W zasadzie, jako pospolity szeregowiec, musiałbym być traktowany bezwzględnie na równi z innymi i spełniać wszystkie najczarniejsze roboty, jak oni; a jednak zawsze wyróżniany jestem poniekąd i nigdy do takich robót nie zmuszany. Po tym względem, to większej równości ulegałem na linii, gdzie zdarzało się czasem, że nawet latryny kopać musiałem, niż gdziekolwiek na tyłach. Zalokowałem się więc na sali chorych; szkoda tylko, że na sali nie mam nikogo ze znajomych, ani z linii, ani ze szpitalów. Choć sala chorych jest najporządniejsza, ale i tu są braki przykre: powietrze jest ciężkie, brud dość wielki, szczególnie w pościeli, koce są stare, po brzegach wytłuszczone, nawleczki na to, co jest niby poduszką, żadnej, prześcieradło tylko jedno, zmieniane raz na dwa tygodnie; ponieważ łóżko dostałem po jakimś innym gościu, więc też i prześcieradło po nim; w wojsku nie można się brzydzić, ale bądź co bądź na tyłach w takich zakładach, jak szpitale lub dom rekonwalescentów, można byłoby większą czystość przestrzegać. To przecież nie linia, gdzie z konieczności trzeba się godzić na

wszystko. W domu rekonwalescentów w Kamińsku przebywa obecnie około 1300 legionistów. Część ich stanowią ci, którzy są przeznaczeni do superrewizji albo którzy po superrewizji czekają na papiery swoje. Sztandarowych, to znaczy takich, którzy są na stałe przydzieleni do zakładu dla spełniania określonych funkcji, jest bardzo niewielu, coś z kilkadziesiąt ludzi z pośród superarbitrowanych i przeznaczonych do „lekkiej służby" (kucharze, sanitariusze przy sali opatrunkowej itd.). Ogromna większość składa się z takich, którzy są tu odesłani ze szpitalów na czas rekonwalescencji; bawią oni tu dni 10, 20, miesiąc i wyjeżdżają następnie do kadry do Kozienic, aby już stamtąd wrócić na linię. Jest wszakże sporo także różnych tzw. „obijaczy" (to znaczy obijających się na tyłach i wykręcających się od właściwej służby żołnierskiej na linii), którzy tu miesiącami całymi siedzą bez końca; umieją oni pod rozmaitymi pretekstami przedłużać w nieskończoność swój pobyt, kryć się w tej płynnej gromadzie ludzkiej i wykręcać się od wyjazdu. Są tu nawet tacy, którzy od samego założenia zakładu w Kamińsku siedzą.

21 stycznia, rok 1916, piątek
Nie lubię koszarowego życia i nie mogę się do niego tak nagiąć, aby się w nim czuć swojsko. Gdyby nie to, to w Kamińsku byłoby znośnie. Komenda domu rekonwalescentów dba o to, aby tchnąć życie w tę gromadę ludzką, która się tu zbiera, uprzyjemnić i urozmaicić jej pobyt oraz dać strawę dla umysłu i ducha. Jest w zakładzie herbaciarnia, jest teatr amatorski, jest wypożyczalnia książek, są gry rozmaite, są dobre odczyty i pogadanki na tematy przeważnie historyczne. W ogóle robi się tu wszystko, aby podnieść poziom życia legionistów, a wszystko jest tu swojskie, wyłącznie legionowe, bez żadnej domieszki austriackiej. Kamińsk jest jedną z nielicznych czysto legionowych instytucji. Utrzymują się tu pilnie tradycje ruchu polskiego, a stosunki układają się na wzorach I Brygady. Legionistów jest tu takie mnóstwo, że naturalnie reprezentowane są wszystkie typy, od ideowców do śmiecia. Na ogół jednak, przyglądając się masie legionowej, muszę stwierdzić, że, mimo nieuniknionego elementu deprawacji, która się wytwarzać musi, niestety, zawsze wśród zielonych młodzików na wojnie, ogół, a przynajmniej poważna część składa się z kwiatu charakterów, z ludzi o tendencjach szlachetnych, o naturze pełnej pierwiastków podniosłych. Dużo zielonej młodzieży się, niestety, psuje na wojnie, w wielu też wypadkach awanturniczy, zdeprawowany element, jako najhałaśliwszy, zdaje się zagłuszać całą masę i stwarza pozory, jakoby całe środowisko, cały ogół był takim, ale to są tylko pozory. Ogół legionowy jest zacny, szlachetny, ofiarny. Na tyłach zdeprawowanego elementu jest więcej, niż na linii, ale i tutaj także stanowi on właściwie znikomą mniejszość. Trzeba tylko umieć przyjrzeć się w głąb ogółowi, nie przesadzając znaczenia awanturników i nie uogólniając przedwcześnie poszczególnych wybryków – a ujrzy się perły charakteru, które chlubą jaśnieją. Dom rekonwalescentów w Kamińsku mieści się w obrębie nieczynnej obecnie fabryki giętych mebli „Wojciechów". Ma on całą gospodarkę własną, cały światek odrębny – oazę Legionów Polskich na ziemi Królestwa Polskiego. Bardzo dobry jest pomysł urządzania codziennych odczytów dla legionistów z zakresu historii polskiej. Odczyty te odbywają się w herbaciarni przed południem, po ćwiczeniach. Prelegentami są legioniści; jak to jest zorganizowane, czy istnieje jakieś regularne koło odczytowe – tego nie wiem jeszcze. Dotąd wysłuchałem dwóch odczytów; jeden prelegent mówił o Stefanie Czarneckim[21], drugi nazajutrz o Łukasińskim[22]. O ile dostrzegłem, główny nacisk w

[21] Stefan Czarniecki (1599-1665), wojewoda ruski od 1657 r., kijowski od 1664 r., hetman polny koronny 1665 r. Uczestnik wojen z Kozakami, Tatarami i Moskwą. Czołowy dowódca w okresie najazdu szwedzkiego w l. 1655-1660.

tych odczytach kładzie się na wzory charakterów i ludzi, bardziej niż na podłoże dziejowe. Pod względem pedagogicznym dla młodzieży metoda ta jest dobra; wzory charakterów lepiej przemawiają do młodzieży i budzą w niej poczucie odpowiedzialności za czyny oraz ideał doskonalenia się. Szkoda tylko, że nie wszyscy słuchają tych odczytów. Na 1300 pensjonariuszów zakładu słucha odczytów jeno garstka, 100-200 ludzi.
Co dzień widuję się i gawędzę z moimi kolegami z plutonu – Tobjaszem, Eminowiczem i Gucem. Z Manieckim, który tu jest także, dotychczas nie zdołałem się jeszcze spotkać, choć go kilkakrotnie szukałem. Obecność kolegów z plutonu naszego stanowi dla mnie wielką osłodę pobytu tutaj. Jestem do nich szczerze przywiązany. Eminowicz i Tobjasz przeszli już przez superrewizję i czekają teraz na papiery. Guc i Maniecki wrócą stąd do batalionu uzupełniającego i na linię. Eminowicz wygląda teraz o wiele lepiej, niż gdym go znał na linii; tam był wyczerpany i przygnębiony, toteż mogłem się mylić w mojej opinii o nim i w charakterystyce, którą podałem w dzienniku, a której teraz sprawdzić nie mogę, bo nie mam tego zeszytu. Jest człowiek łagodny, cichy, delikatny bardzo, subtelny z natury. Jedną przykrą rzecz dowiedziałem od Guca i Tobjasza – o Grzmocie. Powiadają oni, że Grzmot nie zginął w bitwie, wzięty do niewoli rosyjskiej, jak sądziłem, ale po prostu zbiegł, uciekł. Zostawił w okopie w Kukli plecak i wszystkie rzeczy – i umknął gdzieś bez śladu. Jeżeli to prawda, to dezercja Grzmota w najwyższym stopniu bolesna jest dla mnie. Chciałbym wierzyć, że tak nie jest; że może Grzmot gdzieś poszedł na stronę, a tam został pochwycony przez Moskali; ale prawda, że okopy te były przecież w rezerwie i że Moskale byli dopiero za pierwszą linią, więc ewentualność ta jest mało prawdopodobna. Grzmot był pełny głębokiego pesymizmu w ostatnich czasach. Ale była to natura szlachetna, która gotowa była cierpieć w milczeniu, dumnie, zamykając w sobie swoją rozterkę duchową. Był to chłopiec o wybitnym poczuciu honoru. Przez jakie straszne załamanie duchowe ten chłopiec rycerski popełnił hańbiący akt dezercji.

22 stycznia, rok 1916, sobota
Dziś w rozkazie wymieniony został szereg tych, co mają z najbliższym transportem odjechać do superrewizji. W ich liczbie i ja także jestem. Być może, że nie trzeba będzie wcale czekać do 29 b.m.; jak napisał w kartce mojej dr Sokołowski, i że transport odejdzie wcześniej, co daj Boże.
Nie słychać jakoś dotąd, aby się w Kamińsku gotował obchód Powstania Styczniowego. Dziwi mnie to bardzo, bo Kamińsk, jak wszystkie instytucje legionowe, przestrzega zwykle pilnie rocznic narodowych, robiąc z nich nie tylko akt manifestacji, ale też akt propagandy legionowej w szerokich kołach publiczności. Tymczasem odbywają się tu w dalszym ciągu codzienne pogadanki historyczne, jutro, jak wiem z afiszów, ma się odbyć przedstawienie amatorskie, na którym ma być odegrana jakaś komedyjka Bałuckiego[23], ale wszystko to nie ma związku z rocznicą Powstania Styczniowego. W

---

[22] Walerian Łukasiński (1786-1868), major wojsk Królestwa Polskiego, współzałożyciel Wolnomularstwa Narodowego w 1819 r., które w 1821 r. przekształcił w Tow. Patriotyczne. Aresztowany w 1822 r., za znaleziony opis Obrzędu Loży II stopnia WN, a zawierający wyraźne sformułowania dotyczące odbudowy całego państwa polskiego. W 1824 r. Sąd Wojenny Najwyższy; skazał go na więzienie i degradację, wywieziony do Zamościa. Po nieudanym wybuchu powstania w twierdzy zamojskiej (1825), skazany na karę śmierci, zamienioną na 14 lat więzienia, a w 1831 r. na podstawie własnoręcznie napisanego rozkazu cara Mikołaja I został przeniesiony do więzienia w Szlisselburgu, uważany za głównego sprawcę rewolucji listopadowej. Przebywał tam do końca życia.
[23] Michał Bałucki, pseud. Elpidion i Załęga (1837-1901), komediopisarz i prozaik. Debiutował literacko na łamach „Dziennika Literackiego" W 1870 r. ukazała się powieść *Życie wśród ruin*. Był autorem

całym zaś Królestwie, jak zapewne i Galicji, odbywać się mają obchody styczniowe, jak się odbywały w jesieni listopadowe. W szkołach też rocznica ta, jak listopadowa, ma być uczczona zwolnieniem od lekcji jako święto narodowe. Najczynniejsze są, jak zawsze, w urządzaniu obchodów ruchliwe Ligi Kobiet. Instytucja ta, niezmiernie ruchliwa, czynna, rozgałęziona, wybiła się na czoło funkcji pomocniczych ruchu narodowego. Tak zwana Liga Kobiet N.K.N. składa się z setki kół lokalnych w każdej niemal mieścinie Galicji i Królestwa Polskiego. Na terenie okupacji niemieckiej w Królestwie Polskim ligi kobiet istnieją także, choć nie wiem, czy mają tam byt jawny. Wyszczególnić wszystkie elementy sfery czynności Ligi Kobiet jest bodajże niepodobieństwem. Robią one wszystko, zależnie od okoliczności, warunków i potrzeb lokalnych, co służy ku poparciu ruchu legionowego. Udzielają opieki i pomocy rannym i chorym legionistom, opiekują się losem superarbitrowanych, zaopatrują w ciepłą odzież wyjeżdżających w pole, prowadzą akcję wydawniczą, prowadzą propagandę, gromadzą środki, odwołując się wciąż do ofiarności publicznej pod tysiącznymi formami, organizują obchody narodowe, dają inicjatywę do zakładania nowych towarzystw na opatrzenie potrzeb dotąd zaniedbanych, w ogóle wszędzie i ciągle z inicjatywą występują, wysyłają ciągle na linię rozmaite podarki walczącym legionistom itd. Lig Kobiet jest tak dużo, że pakiety z podarkami wciąż od nich na linię przychodzą. W czasie, gdym był w linii, pluton nasz otrzymał kilkakrotnie paczki od poszczególnych Lig Kobiet. Paczki te są adresowane do całego plutonu. Radość była wielka zawsze, gdy nadchodziła posyłka. W linii, gdy się jest w okolicy zapadłej i głuchej, wyniszczonej wojną, spustoszonej i zdziczałej, nie ma dla nieszczęsnego zmęczonego piechura większej radości nad otrzymanie posyłki z przedmiotami, które wykraczają poza szablon urzędowego fasunku. Przedmioty te są skromne i zgoła powszechne w normalnych warunkach życia, ale osobliwe i upragnione na wojnie: mydło, świece, onuczki, herbata, zapałki, tytoń i bibułka do papierosów, nici, igły, czasem czekolada. Gdyby wiedziano, jak się tymi drobnymi rzeczami ujmuje serca biednych żołnierzy i jaką się im radość w ich ciężkim życiu sprawia, wysyłano by im tych drobnych posyłek tysiącami. Toteż Liga Kobiet jest przez legionistów bodaj powszechnie kochana jak żadna inna instytucja, a przez żołnierzy na linii, którzy na ogół traktują z wielką pogardą wszystkie organizacje i towarzystwa tyłowe, nie wyłączając N.K.N.-u, jest jedyną traktowaną sympatycznie.

23 stycznia, rok 1916, niedziela
W rozkazie dzisiejszym ogłoszono, że transport do superrewizji, złożony z 40 ludzi wymienionych w rozkazie wczorajszym – a więc i ja w ich liczbie – ma odejść jutro w południe. Oczywiście, że się cieszę z tego, bo im prędzej przejdziemy teraz przez superrewizję, tym prędzej skończy się nasze następne siedzenie tu i czekanie na papiery. Superrewizje odbywają się w Krakowie dwa razy na tydzień – w poniedziałki i czwartki. Jak odjedziemy jutro, w poniedziałek, to wstępując nawet po drodze do Dziedzic, co, zdaje się, jest nieuniknione, na czwartek do superrewizji w Krakowie trafimy.
Rozmawiałem dziś z Kramem, kapralem sekcyjnym z I plutonu naszej kompanii. Kram był w końcu października czy początku listopada ranny pod Miedwieżą Wielką; obecnie jest już wygojony i bawi tu w charakterze uzdrowieńca, a wkrótce już odjedzie z powrotem na linię; jest to człowiek młody, inteligentny i sympatyczny. Wspominam o rozmowie z nim dlatego, że udzielił mi on szczegółów o Grzmocie. Sprawa Grzmota nie tylko intryguje mnie – byłoby to niegodne – ale mnie niepokoi i boli wielce. Nie

---

komedii, m.in. *Grube ryby* (1881), *Dom otwarty* (1883), *Klub kawalerów* (1891), *Sprawa kobiet* (1896) i powieści *Młodzi i starzy, Przebudzenie.*

mogę sobie wystawić, nie mogę się z tym na chłodno pogodzić, aby ten Grzmocik kochany, ten dumny szlachetny chłopak – rycerz polski miał być pospolitym dezerterem, podłym zbiegiem sztandaru. Za bardzo go kocham i szanuję jego pamięć, abym to przyjął jako fakt prosty, jako wypadek dziwaczny wprawdzie i niespodziewany, ale wśród prawdziwych wypadków wojny możliwy do uwierzenia. Nie, Grzmociku drogi, chłopaku biedny, zasłużyłeś przyjaźnią na większą moją wrażliwość na sprawy Twoje. Co się z Tobą stało, gdzie jesteś, czy żyjesz, jaka tragedia wypadku lub wewnętrznego załamania ducha spotkała Cię w tych dniach krwawych pod Kuklą i sprawiła tajemnicze zaginienie Twoje – nie wiem. Nie chcę Cię jednak sądzić w sumieniu moim ani też przesądzać samego faktu. Jeżeli Cię odnajdę w życiu, jeżeli się czegoś o Tobie wreszcie dowiem, dopiero staniesz wobec przyjaźni mojej i dopiero się rozmówimy. A być może, że świetlany Twój duch bruka się samą możnością podejrzenia Cię o zbiegostwo. Być może, żeś męczennikiem i żeś zginął i nie zdołasz już stwierdzić swojej obrony, gdy tu Cię brudy posądzeń smagają. Po Jabłonce resztki naszego plutonu zostały podzielone między pluton I i III. Wszyscy Lubliniacy, i Grzmot w ich liczbie, przydzieleni zostali do plutonu I i właśnie do sekcji Krama. Kram więc wie najlepiej o wypadku z Grzmotem, bo miał go do ostatka w swej sekcji. Grzmot czy Grzmocik, bo tak go zwano i tak Kram go nazywa – od dawna był zwrócił na siebie uwagę Krama; zresztą wyróżniał się on tak z pośród ogółu rekrutów lubelskich, że wszyscy w kompanii mniej więcej go znali i że uchodził za wyjątkowy i najlepszy materiał żołnierski. Toteż gdy przydzielono naszych Lubliniaków do sekcji Krama, Kram z jednego Grzmota się cieszył, mając w osobach innych – Ziembów, Koliszów itd. – jeno balast. Były to dni gorących walk i pracy. Kram ufał Grzmotowi, wystawiał go na najodpowiedzialniejsze posterunki, w ogóle użytkował go jako wytrawnego i pewnego żołnierza. I zawsze Grzmot wywiązywał się wzorowo z poleconego mu zadania. Kram wierzył Grzmotowi jako żołnierzowi i miał dlań sympatię jako dla człowieka. Po kilku dniach, mniej więcej koło 25-26 października, kompania siedziała w okopach na pozycji. Moskale przez cały dzień utrzymywali intensywny ogień działowy, kierowany na nasze okopy. Na noc spodziewano się ataków Moskali. Wieczorem wypadło właśnie Kramowi wystawiać wedety czyli tzw. czujki przed linią okopów, mające alarmować na wypadek zbliżającej się linii ataku. Czujki takie ustawiano po dwóch; Kram wyznaczył Grzmota i z nim drugiego naszego Lubliniaka – Kwiatkowskiego; sam zaprowadził ich na wyznaczone miejsce, sam wraz z nimi wykopał dla nich okopiki i polecił Grzmotowi wytrwać bez względu na ogień nieprzyjaciela. Moskale nie przestawali walić z dział; granaty padały w pobliżu czujek tak, że czujki z innych kompanii cofnęły się do okopów; Grzmot wytrwał. Później cofnięto kompanię naszą w rezerwę do Kukli; tam miała ona wypoczywać w stodole; granaty wszakże rosyjskie tak biły dokoła, że uznano za lepsze wyjść ze stodoły i raczej zrzec się snu i wypoczynku, niż się narazić na zawalenie się stodoły i wybuch w niej granatu. Kompania ustawiła się dwurzędem za stodołą wzdłuż ściany. Grzmot poprosił wtedy Krama, aby mu pozwolił pozostać w stodole i zasnąć, bo jest bardzo zmęczony. Kram zgodził się. Grzmot mu pokazał miejsce w stodole, gdzie się ma położyć, aby wiedział, gdzie go szukać. Po jakiejś godzince przyszedł rozkaz wymarszu naprzód na pozycje. Kram wbiegł do stodoły, aby obudzić Grzmota, ale go nie znalazł na wskazanym miejscu, a na wołanie nikt się nie odezwał. Odtąd Grzmot znikł. Ani jego, ani rzeczy jego nie znaleziono. Kram wtedy odmaszerował, nie mogąc czekać, ale i nazajutrz nie doczekał się Grzmota. Podał zniknięcie jego w raporcie. Więcej nic Kram nie wie. Mógł Grzmot wyjść akurat ze stodoły na stronę w chwili, gdy go Kram przyszedł budzić. Być może, że po tym mógł pójść dopędzać kompanię, zabłądzić i w ręce Moskali się dostać. Bo przecie zbiec – to prawie niewykonalne.

24 stycznia, rok 1916, poniedziałek
Wszystkich odjeżdżających dziś w transporcie superrewizyjnym *via* Dziedzice do Krakowa, zaprowiantowano przed południem na drogę: dano na każdego po 1/3 części wielkiego bochenka świeżutkiego chleba, który w Kamieńsku jest dostarczany przez dostawców z miejscowego wypieku, smaczny i z czystej mąki bez żadnych domieszek wojennych, dalej po kawałku białego wiejskiego sera i po sporym kawałku kiełbasy. Jest to zaprowiantowanie dodatkowe na drogę, poza tym otrzymaliśmy normalną naszą dzisiejszą porcję chleba i obiad w Kamieńsku. Zaprowiantowanie to ma być na kolację i na śniadanie jutrzejsze. Już to w ogóle trzeba przyznać, że pod względem wiktu na Kamieńsk nie można narzekać. Nie ma tu naturalnie żadnych osobliwości, ale kuchnia żołnierska jest staranna i smaczna. Na rano i na wieczór kawa jest zawsze obficie zabielona (co innego, że osobiście ja kawy tej nie piję, bo lubię tylko czystą rzetelną kawę, podczas gdy w wojsku się daje kawę jakąś fabrykowaną, czy to z jęczmienia, czy żołędzi, czy może jeszcze innych jakichś surogatów; ale taka kawa, choć ja jej nie lubię, jest zdrowsza i posilniejsza dla wojska od prawdziwej); czasem zaś, jak wczoraj z okazji święta, dają na kolację herbatę z rumem i do tego osobno duży kawał chleba, suto nasmarowany masłem, a masło tu w Kamieńsku jest czyste i smaczne; obiad jest zawsze ugotowany starannie i smakowicie – jakiś kapuśniak, barszcz buraczkowy lub coś innego – dobry kawałek mięsa, jakaś kaszka okraszona z sosem do niej lub coś podobnego. Zresztą komu to nie wystarcza, a kto ma pieniądze, może sobie w osadzie dostać mleka, jaj, chleba, ciast, a za bardzo tanie pieniądze każdy dostanie w naszej herbaciarni, herbaty, ciastek, chleba z masłem, buterbrodów z kiełbasą.
Koło godz. 2-3 po południu transport nasz, z 40 ludzi złożony, wymaszerował. Przede wszystkim, skierowano go do komendy placu, gdzie żandarmi legionowi dokonywali rewizji w plecakach naszych. Jest to procedura niezmiernie przykra i upokarzająca. Nie dość, że przetrząsano zawartość plecaków, ale jeszcze każdego macano po kieszeniach i pod odzieniem, czy nie wywozi czegoś z rzeczy skarbowych. Szukano głównie pasów, które są bezwzględnie odbierane, a także koców i bielizny. Nie chodzi tu tylko o sprawdzenie, czy ktoś nie zabrał czegoś z rzeczy skarbowych; odbiera się od niego i te rzeczy skarbowe (pasy, koce, bielizna), które miał w wojsku stale na swój użytek, a tego żołnierze oddawać nie lubią i nie chcą, bo przecie nie przestali być w wojsku; i mają rację. My, spod zaboru rosyjskiego, przyzwyczajeni jesteśmy do rewizji żandarmskich, których gwałtu każdy z nas na sobie kiedykolwiek doświadczył. Niestety – znosić musimy teraz rewizję żandarma polskiego. Koło godz. 4 odjechaliśmy z Kamieńska. Drogę do Dziedzic mieliśmy wśród ciągłych przesiadań – w Ząbkowicach, Szczakowie, Trzebini. Wreszcie na godz. 1 w nocy dojechaliśmy do Dziedzic. Z dworca wśród mżącego deszczyku poprowadzono nas do koszar miejscowej legionowej stacji zbornej, mieszczących się w gmachu, zdaje się byłej szkoły. Rozmieszczono nas na noc na wolnych miejscach w paru pokojach, gdzie już spali jacyś inni legioniści. Sienniki brudne, koców brak, powietrze ciężkie.

25 stycznia, rok 1916, wtorek
Zbudzono nas rano o godz. 6. Koło godz. 7 ½ zarządzono zbiórkę całego naszego transportu z Kamieńska. Tu na dziedzińcu odczytano nam główne wyciągi z regulaminu stacji zbornej w Dziedzicach, ażebyśmy się do takowego stosowali przez czas naszego pobytu tutaj i następnie oznajmiono, że mamy się udać na kwaterę do tzw. gospody gminnej, dokąd też nas zaraz zaprowadzono. Uprzedzono nas także – co należy do rzeczy mniej przyjemnych – że niestety, nie możemy dziś liczyć na obiad i kolację, bo w karcie prowiantowej, wydanej na nasz transport w Kamieńsku, wykazano, że

jesteśmy na dzień dzisiejszy zaprowiantowani. Ten chleb, kiełbasa i ser, który nam wczoraj w Kamieńsku przed wyjazdem wydano – to było właśnie owo zaprowiantowanie na dziś. Wywołało to wielkie niezadowolenie wśród żołnierzy, którzy już wczoraj zjedli to wszystko, licząc, że dziś w Dziedzicach otrzymają zwykłą rację dzienną. I zaiste Kamieńsk wyrządził nam w tym wypadku krzywdę. Prowiantując nas aż do dnia dzisiejszego włącznie, Kamieńsk powinien był policzyć naszą kolację wczorajszą oraz śniadanie, obiad i kolację dzisiejsze. Utrzymanie żołnierza nie jest dowolne. Żołnierzowi się należy pewna racja żywnościowa, ściśle określona, do której on ma prawo. Racja ta podług obecnej skali wynosi na pieniądze 3 korony 8 halerzy dziennie. Jeżeli się więc żołnierza odjeżdżającego prowiantuje, ma się mu albo wypłacić pieniędzmi relutum w proporcji do kwoty powyższej albo też wydać mu żywności odpowiednio do tej kwoty podług określonej urzędowej skali cen. Tymczasem to, co nam w Kamieńsku wydano, nie wynosi nawet racji jednodniowej, podczas gdy nam się należało za jeden pełny dzień i jeszcze za kolację poprzedniego dnia. Do Dziedzic żadnej pretensji za to mieć nie możemy, bo Dziedzice nie mogą dać nam zaprowiantowania, gdy w papierach w Kamieńsku, skąd przyjeżdżamy, wykazane jest zaprowiantowanie na dzień dzisiejszy. W rezultacie żołnierze nasi znaleźli się w smutnym położeniu; większość bowiem nie ma ani grosza przy sobie, toteż skazana została na bezwzględny post przez dzień cały. Nie było jednak na to innej rady, jak tylko postanowić, że po powrocie do Kamieńska staniemy wszyscy w komplecie do raportu i zaskarżymy kapitanowi naszą krzywdę. Kapitan w Kamieńsku jest, zdaje się, niezłym człowiekiem i człowiekiem dobrych chęci, toteż z pewnością zajmie się tą sprawą, a chodzi nie tylko o naprawienie nam krzywdy, co wielkiego znaczenia dla nas nie ma, bo co najwyżej każe nam coś dopłacić relutum albo uzupełnić nam prowiant, kiedy już nie będziemy głodni, ale głównie o to, aby uregulować i naprawić na przyszłość system prowiantowania odjeżdżających transportów przez intendenturę w Kamieńsku. Wysyłając transport do Dziedzic, Kamieńsk mógłby raczej wcale nie prowiantować żołnierzy na dzień jutrzejszy, niż prowiantować tak wadliwie, bo żołnierze nieprowiantowani otrzymują w Dziedzicach z kuchni wszystko, co im się należeć będzie w dniu jutrzejszym. Swoją drogą, starano się dziś zaradzić złemu choć łataniną jakąś. Nasi komendanci transportu sierżanci, bardzo staranni i troskliwi, udali się do Ligi Kobiet i dostali od niej sera dla nas, na wieczór też postarali się o chleb i herbatę. We dnie zaś większość udała się do herbaciarni Ligi Kobiet, gdzie za 2 centy miała spory kubek herbaty z cytryną, a za 4 centy ciastko kruche. Gospoda gminna, w której nas zakwaterowano, stoi przy wielkim trakcie w pobliżu Dziedzic, w ładnym położeniu, wśród grupy domków i drzew. Jest to stara stylowa gospoda przydrożna śląska, przypominająca różne tego rodzaju gospody w Niemczech. Można tu dostać piwa, wódki, herbaty z rumem, coś do zjedzenia. Zamieszkaliśmy w wielkiej izbie o grubych murach, trochę ciemnawej. Z sąsiedniej izby czy składziku poznosiliśmy i poustawiali łóżka składane na pasach, na nie zaś położyliśmy sienniki, a koce wydano nam ze stacji zbornej. Mieliśmy lokatę dość wygodną, a piecyk paliliśmy przez cały dzień węglem, którym też ze stacji zbornej przynieśli. Mieliśmy tu na ogół dość wygodnie, stanowczo lepiej i swobodniej, niż na stacji zbornej i byliśmy sami panami u siebie.

26 stycznia, rok 1916, środa
Obudzono nas o godz. 6 rano. Poszliśmy po kawę ranną i chleb dzisiejszy do stacji zbornej. Tam musieliśmy długo czekać, zwłaszcza na chleb. Nie obeszło się bez awanturki, tak zwykłej w życiu żołnierskim, a jeszcze zwyklejszej wśród legionistów naszych. Gdyśmy stali na podwórzu, czekając na obiecany chleb, wyskoczył jakiś

sierżant z miejscowego garnizonu stacji zbornej, trzymając trzy miotły w ręku, które zaczął wtykać do rąk naszym, żądając, abyśmy zamiatali podwórze. Nasi legioniści zaczęli się usuwać, cofać, odmawiając zamiatania, nawet się już kłócić z sierżantem, który wpadł w najwyższy gniew, rzucał się, gonił, rozkazywał. Naszych sierżantów, komendantów naszego transportu, nie było z nami; zostali oni na kwaterze w gospodzie gminnej. Jedni z naszych uważali, że sierżant garnizonowy nie ma prawa nam rozkazywać, bo my podlegamy tu tylko naszym komendantom transportu, inni zgoła nic nie uważali, jeno nie chcieli się brać do zamiatania, zresztą wstydzili się zabierać do tego pierwsi; mnie się zaś zdawało, że będąc w gościnie na stacji zbornej, musimy ulegać jej regulaminowi i spełniać to, co nam władze tutejsze rozkażą. Powstało zamieszanie, rwetes. Niektórzy zaczęli zmykać za węgieł domu i stamtąd na drogę i w stronę gospody; inni zaczęli się zabierać do zamiatania; ja zwolniłem się, przedstawiwszy sierżantowi kartkę lekarską z Kamieńska zwalniającą mnie od zajęć; sierżant garnizonowy, wściekły, wziąwszy do pomocy któregoś z naszych kaprali, pogonił za zmykającymi; paru aresztował i zamknął, groził szpangami[24], a tymczasem nadbiegł jeden z naszych sierżantów transportu, zawiadomiony o wypadku; powstała scysja między sierżantami: nasz krzyczał i rozkazywał zaprzestania zamiatania, garnizonowy zaś sierżant krzyczał także i rozkazywał zamiatać dalej. Wreszcie obaj kłócąc się głośno i wydając kontrrozkazy, weszli obaj do wnętrza budynku na rozmowę czy skargę do władz wyższych. Wrócili po tym pogodzeni i nasz sierżant rozkazał dwom zamiatać dalej i oprócz tego wyznaczył kilku do skrobania kartofli, tamtych zaś dwóch naszych, aresztowanych, wypuszczono na wolność. Sprawa nie doszła nawet do raportu i skończyła się na gorącej burzy... w szklance wody. Ale zajście to jest charakterystyczne dla naszych legionistów, którzy są zawsze w gorącej wodzie kąpani i nie mają żadnej metody w pojęciach o karności wojskowej, subordynacji i drodze służbowej, czym zresztą grzeszą i szarże podoficerskie zbyt często. I charakterystyczne, że najwięcej się awanturzył ten właśnie legionista, niejaki Chmielewski, niewyczerpany gaduła i rezoner, który najwięcej perorował zawsze o subordynacji jako generalnym środku zbawczym na wszelkie zło, demoralizację i depresję w kołach legionowych i który na ten temat wygłaszał w Kamieńsku nieskończone mowy na obradach inteligentów-legionistów wiecujących w sprawie podniesienia ducha w Legionach (nie ducha bojowego w linii, bo wśród liniowców nie ma tej choroby, ale na tyłach, gdzie rzeczywiście legionistów toczy robak rozprzężenia i awanturnictwa). Niesforność – historyczny spadek szlachetczyzny – zawsze się w dziełach narodowych polskich przejawia, podkopując ich sprężystość. Wśród legionistów – wojska, utworzonego *ad hoc*, złożonego z młodzieży, pełnej temperamentu a niestałej, pochodzącej też prawie wyłącznie ze sfer miejskich i w dużym stopniu mniej lub więcej inteligenckiej, gdzie indywidualizm dość wybitnie się zaznacza – niesforność ta po prostu grasuje jak choroba poza linią bojową; śliczne wspaniałe cnoty wojskowe tej młodzieży legionowej, przepiękne jej czyny rycerskie, które już ją opromieniły chwałą wielkich zasług, znakomite pierwiastki charakterów, które się w tej młodzieży nieraz przejawiają, strawiane są przez tą niesforność jak szlachetny metal przez rdzę. I, niestety, Polacy mają to do siebie, że w swoim wojsku pozwalają sobie więcej, niż w cudzych. Ci sami ludzie, służąc w armii austriackiej lub rosyjskiej, są posłuszni i cisi jak trusie, ulegając konieczności dyscypliny i konieczność tę akceptując. Jeżeli zaś dostaną się do wojska polskiego, do Legionów, to dyscypliny tej uznać nie chcą, burzą się, zawsze i wszystko krytykują, są oporni i przekorni na każdym kroku jak kapryśne dzieci.

---

[24] Szpangi – kara cielesna polegająca na wiązaniu ze sobą na przemian nogi z ręką i siedzeniu w takiej pozycji przez wyznaczony czas.

O godz. 2 po południu zarządzono zbiórkę. Z gospody gminnej poszliśmy przed dom stacji zbornej. Tam trzymano nas długo, zarządzono apel, wydano po porcji sera na kolację na drogę, spisano tych, którzy po superrewizji chcą pozostać na stałe w garnizonie stacji – takich się kilku znalazło, a poszukiwano zwłaszcza rzemieślników i ludzi względnie zdrowych i silnych – wreszcie poprowadzono na kolej, skąd wkrótce odjechaliśmy do Krakowa. Na godz. 6 wieczór byliśmy już w Krakowie, gdzieśmy się na lokatę udali do znajomego mi dobrze transenu w koszarach przy ulicy Rajskiej.

27 stycznia, rok 1916, czwartek
Rano o godz. 7 wyprowadzono nas z transenu do lokalu, w którym dwa razy tygodniowo, w poniedziałki i czwartki, urzęduje komisja superrewizyjna. Wystaliśmy na korytarzu aż do godz. ± 11-tej, oczekując na naszą kolej do superrewizji. Komisja zasiadała już od samego rana i funkcjonowała wciąż bez przerwy. Szły jedne za drugimi do badania oddziałki żołnierzy austriackich. Na badanie oczekiwaliśmy ze spokojem. Wiedzieliśmy zresztą niemal automatycznie z góry, jaki będzie rezultat badania. Przyjechaliśmy tu przecie wszyscy z Kamieńska, gdzie przebywają dziesiątki superarbitrowanych w oczekiwaniu na swe papiery i kędy wszystkie transporty superrewizyjne przechodzą. Cała więc procedura jest nam dobrze znana z opowiadań i wiadome jest to, czego się spodziewać po superrewizji można. Dawniej superrewizję legionistów załatwiały urzędy legionowe i zwolnienia z wojska były o wiele łatwiejsze. Później superrewizja skoncentrowała się wyłącznie w ręku władz austriackich. Zresztą dawniej i austriackie komisje zwalniały z wojska dość łatwo; stopniowo wszakże zaczęto coraz bardziej ograniczać wypadki zwolnienia i natomiast udzielać przy superrewizji tzw. nieograniczonych urlopów z zarezerwowaniem danego osobnika do lekkiej służby pozaliniowej i bez broni. Po paru miesiącach urlopu osobnik zostaje powołany i wyznaczony do jakiejś pracy. Całkiem zwalniani są tylko ci, którzy są za inwalidów uznani. Prawie wszyscy otrzymują przy superrewizji urlopy i kwalifikowani są do służby bez broni. Po dłuższym oczekiwaniu nadeszła kolej na nas. Wpuszczano nas po pięciu do sali posiedzenia komisji. W składzie komisji zasiadało siedmiu ludzi, w ich liczbie paru wyższych lekarzy wojskowych, oficerowie wyżsi i kancelaryjni oraz – widocznie tylko dla superrewizji legionistów – chorąży legionowy, należący do garnizonu w Dziedzicach, który z nami wczoraj do Krakowa przyjechał. Właściwie badania nie było żadnego. Stawało się przed komisją w całkowitym ubraniu, nawet w płaszczu zapiętym na wszystkie guziki. Jeden tylko z członków komisji, lekarz zapytywał stającego o nazwisko, rzucał okiem na jego świadectwo superrewizyjne, w którym opisany jest cały stan jego choroby i zaraz dyktował jednemu z notujących członków komisji krótką formułę orzeczenia. Na chorego zwykle ani spojrzał, a świadectwo przejrzał tylko pobieżnie, raczej nań rzucił okiem, chyba że miał już je poprzednio przeczytane i wynotowane w paru głównych rysach na marginesie. Cała procedura szła w szybkim tempie. Inni członkowie komisji raczej tylko asystowali, niż w niej uczestniczyli; milczeli, siedzieli bezczynnie i widocznie się nudzili; czasem tylko niektórzy rzucali pytanie żołnierzom, skąd są lub czym byli w cywilu. Tylko przy badaniu rannych, którzy się kwalifikowali ewentualnie na inwalidów, doktor kazał się im nieco rozebrać i oglądał szczegółowo uszkodzenie sprawione przez ranę, aby określić tzw. procent utraty zdolności do pracy, którego stopa służy za schemat do wymiaru odszkodowania. Olbrzymia większość nas stających otrzymała formułę „C”, która ma oznaczać urlop nieograniczony; sześciu uznanych zostało za inwalidów, podlegających zupełnemu zwolnieniu, jeden uznany za zdolnego do służby liniowej i jeden przeznaczony do Zakopanego na specjalną kurację klimatyczną. Z tych, co otrzymali formułę „C”, większość otrzymała ją z dopiskiem o szpitalu, a tylko kilku bez

żadnego dopisku. W dokładnym brzmieniu, jak doktor wyrecytował tę formułę w stosunku do mnie, brzmiała ona tak: „Spital-nicht-„C”. Niektórzy z nas sądzili, że to mamy być skierowani do szpitala, a dopiero po badaniu szpitalnym ewentualnie na urlop zwolnieni. Później jednak ci, którzy się uznawają za znawców kabalistycznych formuł superrewizyjnych, wyjaśnili, że podobno ma to oznaczać, iż po powołaniu z urlopu jedni, mający tylko „C”, zostają wprost przeznaczeni do służby, inni zaś, u których „C” jest połączone ze szpitalem, mają być zalokowani w szpitalu i ewentualnie powtórnie do superrewizji skierowani. Zresztą to się okaże. Żołnierz nigdy nic nie wie, co się z nim ma stać; musi czekać rozkazu – to jego mądrość. Gdyśmy wracali po superrewizji do transenu, towarzyszący nam z Dziedzic chorąży Legionów odwołał mnie z szeregu i spytał, czy wolę wracać do Kamieńska, czy też do Dziedzic do kancelarii. Jeszcze wczoraj przed naszym odjazdem z Dziedzic zapytywano nas, czy nie ma w transporcie ochotników, którzy by zechcieli pozostać na służbie w garnizonie dziedzickiej stacji zbornej. Poszukiwano głównie rzemieślników – krawców albo szewców – lub w ogóle ludzi względnie zdrowych i dzielnych, zdatnych do warty i rozmaitych posług. Tacy po superrewizji pozostaliby już w garnizonie dziedzickim na stałe i po ewentualnym urlopie wróciliby do Dziedzic. Zgłosiło się dwóch takich ochotników z naszego transportu. Otóż dziś chorąży i mnie to zaproponował, angażując mnie do kancelarii. Oczywiście, że mu odmówiłem. Wolę wrócić do Kamieńska i czekać na urlop, a po urlopie, jeżeli znów powołany będę, to najprawdopodobniej udam się nie gdzie indziej, niż tylko znowu na linię. Co bym robił w jakiejś kancelarii w Dziedzicach. Byłbym szeregowym bezmyślnym gryzipiórkiem-kancelistą; to nie dla mnie zaiste. Nie po to bym był w Legionach, nie po to rzucił wszystko na szalę, aby się po kancelariach za szeregowca-kancelistę poniewierać. Wszystkich sił dobędę, aby dotrzeć na urlop do Wilna, a jeżeli znów wrócę do Legionów, to za rycerza.

28 stycznia, rok 1916, piątek
Rano wymaszerowaliśmy z transenem na dworzec kolejowy. Wracamy z Krakowa do Kamieńska. Do szeregu przykrości i upokorzeń, których tyle doświadczam w tym życiu żołnierskim na tyłach poza linią bojową, przybyło jeszcze jedno: oto transport nasz szedł z transenem pod eskortą żołnierzy austriackich pod bronią; szliśmy tak przez Kraków, mając z przodu i z tyłu żołnierzy eskorty pod karabinami, sami zaś bezbronni, jeno z plecakami, prowadzeni jak banda pochwytanych dezerterów, gnanych do aresztu lub na linię. Dobrze, że się maszerowało przez Kraków bardzo wczesnym rankiem, jeszcze o zmroku, gdy miasto spało. Dlaczego nam taką eskortę pod karabinami dodano – nie wiem. Uzasadnia się to niby tym, że często się zdarzają wypadki ucieczki poszczególnych żołnierzy z transportu. Ale poprzednio, choć się zawsze takie wypadki zdarzały i zdarzać mogły, nie było takiego maszerowania pod karabinami. Gdym przed 10 dniami wyjeżdżał po raz pierwszy z Krakowa do Kamieńska, nie było tego; prowadził nas na własną odpowiedzialność komendant transportu, sierżant Legionów. Teraz komendanta mieliśmy także, ale to już nie wystarcza. Zdaje się, że to nowy rodzaj szykany na legionistów, wymyślony przez transen, a bodajże przez „Zugsführera” w transenie, który musiał widocznie mieć jakąś awanturę i przykrość ze strony legionistów i jest teraz na nich zły i traktuje wszystkich brutalnie i bezwzględnie. Nasz transport nic mu nie zawinił, ale jest on na wszystkich legionistów zły i zemstę swą na wszystkich ryczałtem wywiera. Ha, cóż robić – jest się żołnierzem i szeregowcem, toteż znosić trzeba wszystko bez szemrania, a zapomnieć na razie o swych ludzkich, pojęciach godności, które się w cywilu miało, gdy się było człowiekiem, równym innym. Ha, jestem na „Hinterlandzie”, tam gdzie żołnierz przestaje być szlachetnym rycerzem, a jest znikomą cząstką umundurowanej masy ludzkiej jako siły ślepej, nie

należącej do siebie, jeno do odpowiednich władz państwa. Nic dziwnego, że prawowity gospodarz strzeże swój dobytek i odpowiednio konserwuje swoją siłą, chroniąc ją od rozproszenia się i od strat. Podróż minęła bez żadnych osobliwych wydarzeń. Eskorta towarzyszyła nam do samego Kamieńska. O godz. 4 przyjechaliśmy. Zgłosiłem się zaraz na salę chorych, gdzie zastałem moje dawne miejsce wolne, toteż je zaraz zająłem. Znowu, jak za pierwszym przyjazdem, trzeba się było meldować w kancelarii. Przy meldunku mówiono nam w kancelarii, że jeżeli tylko nasze papiery z komisji superrewizyjnej przyszły, to doktor może dziś jeszcze nas załatwi i ewentualnie jutro albo w dniach najbliższych otrzymamy już marszruty i odjedziemy na urlopy. Dawniej superarbitrowani legioniści czekali w Kamieńsku po kilka, aż do pięciu miesięcy na papiery; później procedurę znacznie skrócono: czekano już tylko po miesiącu i nawet tylko po trzy tygodnie; tak oto w styczniu bieżącym odjechali już na urlopy nieograniczone wszyscy, którzy stawali do superrewizji w grudniu, a już nawet odjechało kilku z pierwszej superrewizji styczniowej. Pewna nieunikniona zwłoka pochodzi stąd, że papiery po superrewizji odsyłane są do Kozienic do Komendy Grupy i tam się wypisują urlopy, które następnie stamtąd tutaj przychodzą. Tymczasem teraz powiadają, że procedura ma być jeszcze bardziej skrócona, bo w ogóle za zasadę przyjęto, że nie powinno się żadnego urlopowanego ani przez jeden dzień zatrzymywać i pozostawiać bez potrzeby na koszcie utrzymania skarbowego, jeno go natychmiast odsyłać; podobno, jak tylko orzeczenia komisji tu nadejdą, mają być zaraz wszystkim tym, którzy na podstawie orzeczenia mają otrzymać urlop nieograniczony, wystawiane marszruty i wydane kartki tymczasowe, a sami oni mają natychmiast odjechać, właściwe zaś urlopy, gdy nadejdą dla nich od Komendy Grupy, mają być im wysłane podług ich miejsca pobytu na urlopie. Byłoby to „klawo”, jak mówią legioniści. Może bym już wreszcie w tych dniach mógł odjechać pozbywając się przymusowego kilkutygodniowego wysiadywania w Kamieńsku. Dziś wszakże do doktora nas już nie wzywano, jeno na jutro wyznaczono stawienie się do kancelarii lekarskiej. Niepokoi mnie jeszcze to, czy mnie do Wilna dadzą marszrutę. Liczyłem dotąd na to, że bylebym tylko dostał urlop, to już pojadę zaraz do Piotrkowa i stamtąd przez stosunki Departamentu Wojskowego wyrobię sobie wyjazd do Wilna. Tymczasem teraz zaczynam wątpić, czy mnie tak puszczą swobodnie po świecie, abym mógł sobie do Piotrkowa jechać. W Dziedzicach spisywano szczegółowe adresy domowe wszystkich z naszego transportu superrewizyjnego. Otóż u nas wszystkich – poddanych rosyjskich – notowano nie adresy domowe (to znaczy nie ulicę i numer domu w naszym odpowiednim mieście), ale jakiś wszystkich wspólny adres w Krakowie na imię jakiegoś p. Turskiego[25] (Łobzowska 7, gdzie podobno mieści się coś w rodzaju jakiegoś schroniska dla superarbitrowanych). Boję się, aby tam nas wszystkich nie odwieziono, a potem nie chciano tam trzymać tych, którzy by na przykład nie mogli otrzymać marszruty do swego miasta, jak ewentualnie ja do Wilna. Zaiste dość mi tego życia koszarowego, abym miał jeszcze po urlopie po schroniskach się tułać.

29 stycznia, rok 1916, sobota
Stałem się w ostatnich dniach nerwowy, niespokojny, niecierpliwy. Zawsze w życiu odznaczałem się cierpliwością i raczej skłonnością do abnegacji, niż do gorączki czynu. Zastosowywałem się łatwo do różnych warunków życiowych, nie zrażałem okolicznościami i znosiłem dość pogodnie, z poddaniem się losowi, ciosy, które na mnie spadały. Jeżeli nawet, jako z natury człowiek wrażliwy, doznawałem z łatwością przygnębienia i odczuwałem boleśnie burze i ciężary życia, to jednak miałem w sobie

[25] Inż. Władysław Turski, prezes „Sokoła” krakowskiego do końca 1919 r.

jakiś duży zapas żywotności, zapas jakiegoś balsamu pogody, który rychło zalewał rany i goił moje cierpienia; podnosiłem się prędko po doznanych ciosach i odzyskiwałem równowagę ducha i ten spokój wewnętrzny, tak cenny w życiu. Nie dręczyłem się w kółko bez końca bólem własnym. Ciosy i zawody życiowe umiałem znosić mężnie i odpornie. Żłobiły one głębokie rysy na duchu moim, ale ducha tego ujarzmić i obezwładnić nie zdołały nigdy. Nawet taka strata, jak śmierć Aninki, która złamała na zawsze moje życie osobiste i odebrała mi wszelkie perspektywy szczęścia, nie zdołała ducha mego zgnieść. Przeciwnie – wyciągnąłem z tej przeciętej przez śmierć miłości naszej wszystkie nieśmiertelne szlachetne pierwiastki naszego ducha i na nie ślubowałem wierność i służbę ideałom ludzkim. Nie upadłem, lecz się podnieść usiłowałem przez ten ból i przez to nowe, najcięższe ze wszystkich, doświadczenie życiowe. A już zgoła nie było nigdy, abym się gryzł z góry tym, co mnie ewentualnie spotkać może. Tę beztroskę, to poddanie się losowi odziedziczyłem po Papie. W rodzinie naszej w największym stopniu ma to Marynia, o której można powiedzieć słowami porównania rosyjskiego, że ciosy życiowe spływają po niej „какъ съ гуся вода"; woda może całą gęś skąpać w sobie, a przecież wyjdzie ona z wody sucha; tak samo ciosy życiowe mogą spadać zewsząd na Marynię, a nie zdołają nigdy duchowo jej wypaczyć, złamać i natury jej zmienić; ze wszystkich ciosów dźwignie się ona, ta sama i zdrowa w sobie. Otóż teraz zaszła we mnie pod tym względem zmiana; nie mam równowagi wewnętrznej, nie mam spokoju i pogodnego poddania się losowi. To warunki życia wojskowego tak na moje nerwy wpłynęły. Przywykłem zawsze sam kierować moim życiem, sam dążyć do tego lub innego celu, sam sobie warunki określać; wiedziałem zawsze, czego chcę i do czego dążę; jeżeli czegoś osiągnąć nie byłem w stanie, jeżeli okoliczności zewnętrzne stawały na przeszkodzie realizacji moich planów, godziłem się na to bez szemrania: będzie, co będzie i co być musi. Wiedziałem, że ja jestem współczynnikiem własnego życia, a co przekraczało możność moją i było silniejsze od woli mojej, to brałem jako konieczność, z którą się filozoficznie i mądrze godzić należy. W wojsku natomiast przestałem być panem siebie i stałem się ślepą igraszką li tylko woli wyższej, woli maszynowej, która pojedynczych żołnierzy ujmuje w karby pewnych formuł przepisowych i miota nimi, nie licząc się zgoła z ich osobistą wolą, z ich żywymi tendencjami zamiarów i dążeń. Żołnierz jest ślepym i biernym, jest martwym jako jednostka woli. Sprzeciwia się to całemu memu dotychczasowemu życiu, sprzeciwia się wszystkim nawyknieniom i usposobieniom natury mojej. Wstąpiłem do wojska własną wolą moją, dotarłem z Wilna na linię czynu Legionów osobistym wysiłkiem moim. W linii, w czynie wojskowym miałem rozkaz jako kryterium i zasadę działania. To mnie nie nerwowało, bo przecie przyjechałem i temu się świadomie poddałem; było to więc elementem mojej woli, która się w poddaniu rozkazowi wyraziła, inną jej, niż dotąd, formą, ale nie czymś obcym i przeciwnym jej z natury. Inaczej wszakże się stało, odkąd z linii odjechałem. Postanowiłem dotrzeć do Wilna, uzyskać w tym celu urlop, spełnić to zadanie, które powstało przede mną z chwilą ustąpienia ze względów zdrowia z linii. I tutaj dopiero poczułem się zupełnie bezradnym, miotanym ruchami i formułami wielkiej maszyny, w której ja, pospolity żołnierz, jestem niczym. Wysiadywałem w Rzeszowie, czekając na dojazd do Krakowa i licząc na pomoc moich wpływowych znajomych. W Krakowie rzecz poszła niespodziewanie w pożądanym kierunku torami przepisów wojskowych. Drogi prywatne, drogi siły pozawojskowej zawiodły, a zresztą przestały być dla mnie niezbędne. Włócząc się po Kamieńskach, transenach krakowskich i Dziedzicach dotarłem wreszcie, nie przestając być igraszką machiny, do superrewizji. I oto teraz grozi mi znów to, że może na zasadzie orzeczenia komisji do szpitala znów skierowany będę, zamiast urlop dostać. Dostanie urlopu nie gwarantuje mi jeszcze dojazdu do

Wilna, ale bądź co bądź otwiera drogi starań w tym kierunku. Jeżeli wszakże do szpitala mnie znów zapchać mają, to cała dotychczasowa ładna droga, która zdawała się mnie prowadzić mechanicznie do pożądanego celu, w łeb weźmie, i znów zmuszony będę odwoływać się do wątpliwej pomocy przyjaciół. A niektórzy tu twierdzą, że właśnie do szpitala skierowany będę, bo tak należy rozumieć orzeczenie komisji.

30 stycznia, rok 1916, niedziela
Papiery nasze z orzeczeniami komisji superrewizyjnej jeszcze nie nadeszły, toteż nie wiemy, co nas czeka. Ta niepewność jest dla mnie nieznośna. Możliwość zapchania mię do szpitala zamiast udzielenia mi urlopu nerwuje mię niesłychanie. Tyle się czekało, tyle się liczyło na tę perspektywę urlopu, tyle się znosiło z tą myślą zawsze, że przecież w rezultacie się urlop uzyszcze, że aż złość bierze na myśl, że nic z tego nie będzie. Bezmyślne było to obijanie się po szpitalach, to włóczenie się po Kamieńskach etc., nie odpowiadające zgoła tym zamierzeniom, które mnie z Wilna do Legionów sprowadziły, i trwające już miesiącami, ale wszystko się akceptowało jako konieczność dla dopięcia tego celu – urlopu i przyjazdu do Wilna. I oto może to wszystko na darmo, może po prostu w rezultacie nowe zamknięcie w szpitalu z perspektywą nowych włóczęg i przeznaczenie mnie do lekkiej służby. Perłą moją był ten półtoramiesięczny pobyt w linii – moja chlubna karta rycerska. Wałęsanie się późniejsze było samo w sobie bezmyślnym i bezwartościowym, usprawiedliwionym tylko przez perspektywę urlopu. Jeżeli perspektywa ta odpadnie, będzie pustka jałowa zmarnowanego czasu i nie tylko czasu, ale energii moralnej. Chcę tylko jednego z dwojga – albo pobytu w Wilnie, albo udziału w linii. Przez czas pobytu w szpitalach i wałęsanie się na tyłach nie polepszyłem bynajmniej zdrowia mego: przeciwnie – czuję się teraz fizycznie osłabiony i nerwowo zdewastowany, nie przez linię, ale przez te szpitale i włóczęgę na tyłach. Jeżeli nie dostanę urlopu, to cały ten czas trzech miesięcy, spędzony na tyłach, który mnie kosztował zdrowia i nerwów – zmarnowany. Nieznośne jest to czekanie i niepewność. Ale nie dam za wygraną i jeżeli mnie ten zawód spotka, uderzę energicznie w stosunki Departamentu Wojskowego i tą drogą z pomocą Boską dopnę mego celu, aby być w Wilnie i jeżeli z Wilna wrócić, to wrócić na linię, byle zdrowszy fizycznie i nerwowo, niż teraz.
Wczoraj i dziś obchodzono w Kamieńsku rocznicę Powstania Styczniowego. Komendant domu rekonwalescentów, kapitan Łuczyński[26], przeniósł ten obchód z zeszłego tygodnia na obecny. Obchód odbył się podług następującego programu. Wczoraj wieczorem odczyt niejakiego p. E. Grabowskiego[27] z Piotrkowa o Powstaniu Styczniowym, dziś rano msza święta uroczysta za poległych w Powstaniu Styczniowym z udziałem chóru i po niej odczyt tegoż p. Grabowskiego; wreszcie wieczorem przedstawienie w teatrze, złożone głównie z programu muzyczno-wokalnego – śpiew, deklamacja, orkiestra, kwartet, chór – oraz małej jednoaktówki. Odczyt i msza odbyły się w sali nr VI, specjalnie uporządzonej i udekorowanej na ten cel. Na mszę kazano dziś iść wszystkim przymusowo, prócz dyżurnych i ciężko chorych. Nasza sala chorych, jak zresztą zawsze i we wszystkim, była od tego przymusu wolna. Na ogół w Legionach przymusu kościelnego nie ma. Na nabożeństwa idą ci, którzy chcą sami. Nie wiem, jak jest w polu w stosunku do mszy polowej. Przy mnie, gdym był w linii, ani razu mszy polowej nie było. Być może, że na mszę polową muszą iść plutony i kompanie w zbiórce, to znaczy że iść muszą wszyscy bez względu na swoje

[26] Jan Łuczyński (1869-1920), od 1914 r. w 2 pułku piechoty II Brygady Legionów, kapitan, w l. 1915-1916 kierował Stacją Zbiorczą Legionów Polskich w Budapeszcie, następnie w Pradze oraz Królestwie Polskim, od 1918 r. w WP, od 1919 r. w sztabie 10 Dywizji Piechoty, w 1920 r. major.
[27] E. Grabowski – bliższych danych brak.

przekonania religijne i na usposobienie do modlitwy. Ale na tyłach, po szpitalach i w domu rekonwalescentów w Kamieńsku, obowiązku uczęszczania na nabożeństwa nie ma. Msza taka jak dzisiejsza była nie tyle aktem religijnym, ile narodowym, jako element obchodu styczniowego. Toteż, jako na taką, zobowiązano przymusowo wszystkich do pójścia na mszę. W Legionach, które są kontynuacją wszystkich polskich walk narodowych z w. XIX i XVIII – od Konfederacji Barskiej do 1914 – obchody powstań muszą być szczególnie uroczyście święcone. To nie tylko pamiątka i akt czci dla dawnych bohaterów, ale też rodzaj komunii między następcami i dziećmi a poprzednikami, ojcami i dziadami. Z całego obchodu byłem tylko na wczorajszym odczycie Grabowskiego. Na mszy i odczycie dzisiejszym nie byłem, a do teatru chciałem pójść, ale już biletów zabrakło. Odczyt Grabowskiego był marny, o wiele słabszy od odczytów, wygłaszanych przez legionistów w herbaciarni. Po co to sprowadzać importowanych prelegentów, gdy nie przedstawiają nic osobliwego.

31 stycznia, rok 1916, poniedziałek
Nic nowego. Żadnej jeszcze wiadomości o losie moim. Czułem się niezdrów: ziębiło mnie i miałem bóle reumatyczne w nogach. Po obiedzie większą część dnia przeleżałem w łóżku. Zewsząd stale słychać skargi na złe zachowanie się legionistów, na swawole i wybryki, na upadek ducha i idealizmu w środowisku legionowym, na demoralizację po prostu. Na tyłach w miastach, gdzie gromadzą się większe ilości legionistów po szpitalach – ciągłe są jakieś zajścia z nimi, ciągłe awantury i burdy, których smutnymi bohaterami są legioniści. Opinia legionistów jest, niestety, mocno nadszargana tymi ciągłymi awanturami. O ile wspaniała jest opinia legionistów w linii, zasilana i odradzana wciąż świetnymi czynami waleczności i bohaterstwa, stawiającymi ich w pierwszym rzędzie rycerzy obecnej wojny, o tyle poza linią bojową, na tyłach czyli na „hinterlandzie", jak tu z niemiecka mówią, jest ona splamiona ciągłymi burdami, niesubordynacją, wyuzdaniem, swawolą wszelkich namiętności i złych nałogów. Prasa niemiecka milczy o tym i ci, którzy kiedyś ze starych roczników pism informować się będą o stosunku społeczeństwa do legionistów i o zachowaniu się takowych, nie znajdą śladów tego zła i nie dowiedzą się o głębokim zachwianiu moralnej powagi legionistów w opinii tych kół społeczeństwa, które się z nimi stykają bliżej. Prasa podnosi tylko czyny bojowe legionistów, notuje wszelkie objawy dodatnie, o ujemnych zaś milczy. Kronika niepisana życia legionistów na tyłach różni się wielce, niestety, od kroniki pisanej. Pijaństwa, burdy, rozpusta, nawet wypadki kradzieży – to są rzeczy, niestety, częste i niemalże zwykłe. Wprawdzie to mniejszość tylko tak się zachowuje, ale mniejszość ta jest najhałaśliwsza, najbardziej się manifestująca, toteż podług niej urabia się opinia o legionistach. Ślicznie się spotykają wśród legionistów charaktery, szlachetne typy duchowe, ale te nie rozbijają się z hałasem i hukiem jak puste beczki po bruku ulicznym, toteż nie rzucają się tłumom w oczy i, jak perły, pozostają na dnie morza ukryte, świecąc przeczystymi blaskami jeno dla tych, którzy zdołali głębiej wejrzeć w masę legionową i nie sądzić ziarna podług plew. Już to wielokrotnie stwierdziłem, że na hinterlandzie za frontem śmiecia się więcej spotyka niż w linii. Najszlachetniejszy element zostaje w linii, na polu czynu i tylko z konieczności, gdy jest ranny albo istotnie chory lub też zbyt znużony i wyczerpany wojną, znajduje się na tyłach. Hinterland jest królestwem tzw. obijaczy, to znaczy wszelkiego śmiecia ludzkiego, które wstąpiło do Legionów z pobudek najmniej idealistycznych, a w warunkach życia wojskowego wchłonęło w siebie wszystko najgorsze i jest pełne demoralizacji i rozwiązłości wszelakiej. Ten element w linii mało się zaznacza, co najwyżej znajduje pole w plądrowaniu dobytku i mienia ludności cywilnej; zresztą ulega on tam pewnej moralnej dyscyplinie środowiska i żelaznym karbom karności

wojskowej; jest on tam przytłumiony i w szary kąt zagnany; nie imponuje nikomu, przeciwnie – jest przez większość w rygorze trzymany; dopiero gdy się na tyły dostanie, może broić do syta; nie ma tu już tej najskuteczniejszej dyscypliny moralnej – dyscypliny środowiska, kontrolującego swych członków i umiejącego go w trybie swoim utrzymać; kary przeróżne, jak areszt, szpangi, słupek itp., nie działają na tych ludzi; przyjmują oni i znoszą te kary bez żadnego wstydu i znów swoje robią. Gdy się dostaną na tyły, to już za wszelką cenę, symulując choroby, czepiając się rozmaitych organizacji tyłowych, starają się wykręcić od powrotu na linię. To zło, które się, niestety, tak obficie spotyka wśród legionistów na hinterlandzie, głównie się panoszy wśród młodszych elementów i tych, które zostały zarekrutowane w późniejszych okresach. Do Legionów, niestety, werbuje się z konieczności coraz gorszy materiał ludzki, coraz surowszy, który nie przeszedł przez żadną szkołę organizacyjną i do Legionów wstąpił często tylko dla chleba. Dawniej do organizacji strzeleckich, do związków i drużyn przyjmowano młodzież tylko wyborową; trzeba było polecenia kilku członków rzeczywistych, aby być przyjętym; członków obowiązywała pewna etyka, nie wolno im było łazić po szynkach, brać udział w burdach i awanturach, słowem – plamić strzeleckiego munduru życiem niezgodnym z wysokimi ideałami ruchu wolnościowego; karciarzy, rozpustników, pijaków, szubrawców wykluczano ze swego grona. Toteż dzięki tej selekcji był w niej sam kwiat młodzieży i kwiat ten zasilił pierwsze szeregi Legionów. Natomiast werbunek do Legionów w czasie wojny nie może się opierać na tych idealistycznych czynnikach. Tu rozstrzygającą kwalifikacją jest nie idealizm i moralność jednostki, jeno zdrowie i cechy fizyczne przyszłego żołnierza.

1 lutego, rok 1916, wtorek
Nie tylko coraz lichszy materiał dalszego werbunku wpływa na upadek ducha i rozprzężenie moralne w Legionach. Składa się na to cały szereg innych czynników i wpływów. Do takich należą: przede wszystkim sam wpływ wojny jako takiej na charaktery młode i nieustalone, dalej wrodzone braki charakteru narodowego polskiego, w szczególności brak wytrwałości i systematyczności czy wewnętrznej dyscypliny ducha, wreszcie ciężkie przejścia i doświadczenia półtorarocznej kampanii wojennej w warunkach politycznych nieraz, zdawało się, diametralnie sprzecznych z ideą Legionów i w konstelacjach, nie wróżących na pozór żadnych perspektyw spełnienia wielkiej Sprawy, w imię której Legiony czyn swój ofiarny wydają. To są główne czynniki ujemnych objawów moralnych w środowisku legionowym. Wojna na młode nieustalone charaktery działa fatalnie; ta młodzież, która idzie do walki uzbrojona w ideę, z wybitną świadomością czynu rycerskiego dla świętej Sprawy, ma w sobie moc, która ją strzeże od zdemoralizowania wojennego; ale takim jest tylko sam kwiat wyborowy, nie zaś przeciętny ogół. Większość nie posiada w sobie tak wybitnego hartu ideowego. Na wojnie wszystko zdaje się być możliwym i dopuszczalnym, co w życiu dotychczasowym było surowo nie tylko przez prawo, ale też przez zwyczaje, przez kulturę środowiska domowego młodzieży, przez cały świat jej ducha zakazane. Mordy, nieposzanowanie świętych dotąd praw nietykalności życia i mienia ludzkiego – to są na wojnie rzeczy normalne i nawet konieczne. W młodej psychice następuje przewrót. Wojna przyzwyczaja człowieka do rzeczy, które w poprzednim życiu uważał za zgoła niedopuszczalne. Wyprzęga go ona ze wszelkich karbów moralności zwyczajowej współżycia ludzkiego, silniej wiążących umysły ludzkie od ustaw pisanych. Żołnierz przywyka do tego, że wolno mu wszystko, czego chce i co mu jest potrzebne; uczy się brać i działać przemocą na linii, a raz nauczony, raz wyjarzmiony z karbów, stawia już odtąd samowolę ponad wszelkie zasady i formuły przepisów. Później stosuje te nabyte

metody samowoli i wyuzdania wszędzie, w całym postępowaniu swoim, nie tylko w linii, ale też poza frontem, tam, gdzie współżycie ludzkie nie przestało się normować zwyczajami kultury. Szczególnie zaś młode charaktery ulegają łatwo wykolejeniu w tym kierunku, a ponieważ w Legionach przeważa młodzież, więc objaw ten występuje tu na tyłach masowo. Nie wywczasy wojenne, wyczerpanie fizyczne, przewrót w całym trybie i układzie życia, kalectwo i śmierć, czyhające zewsząd na młode życie żołnierza i osłabiające wartość jakichś trwałych zasad i nakazów, bo cóż warte wszelka dyscyplina moralna i cnota, gdy oto lada chwila śmierć utnie lada kulką lub granatem życie i będzie koniec wszystkiemu – wreszcie przygodne towarzystwo różnych kolegów, wśród których nie brak już zepsutych, złe przykłady itd. – wszystko to wykoleja bardzo wielu z młodych i zwłaszcza najmłodszych. Wykolejenie to następuje jeszcze w linii, ale dopiero za frontem, na tyłach się w pełni objawia. A na tyłach potęguje się ono przez działanie złego towarzystwa zepsutych chłopców, liczniejszych tu niż gdzie indziej. Niestety, mnożenie się tej demoralizacji młodzieży jest nieuniknioną koniecznością wojny, jej owocem zatrutym i fatalnym, jak dziką jest ona sama – Wojna. Nie o samą wszakże tylko demoralizację w Legionach chodzi. Bądź co bądź, pomimo wszystko, tylko mniejszość jest w tym znaczeniu zdemoralizowana. Łażenie po szynkach, pijaństwo, rozpusta, awantury i zgorszenie publiczne, wypadki kradzieży itd. – są to fakty częste wprawdzie, ale bądź co bądź fakty postępowania jednostek. Z faktów takich pada cień na cały ogół legionistów, ale wina ogólną nie jest. Oto w przejeździe przez Kielce (wiem to od Guca) transport legionistów wstępuje do lokalu Ligi Kobiet na wypoczynek i herbatkę; panie podejmują ich gościnnie, bawią, karmią; w toku tego z mufki jednej z pań, rozmawiających z gronem legionistów, ginie portmonetka z pięciu koronami, a z biblioteki ginie dużo książek. Oto dziś w Kamieńsku sprzedającemu pocztówki i rozmaite pamiątki w herbaciarni ginie ze stołu kilka pamiątkowych pierścionków wojennych i łańcuszków za cenę 24 koron. Oto w Krakowie legioniści tak się z burd ulicznych i szynkowych dali we znaki władzom, że zakazano im tam pobytu, prócz tych, co mają urlopy, są w szpitalach lub przyjechali w sprawach służbowych. To samo jest w Kamieńsku: ciągłe zajścia na mieście, awantury w szynkach, w publicznych domach rozpusty itd. Składają się na to fakty pojedyncze, przez jednostki z mniejszości popełnione, ale cień, niestety, pada na ogół. I trudna jest na to rada, bo to wojsko, a nie stowarzyszenie, które może samo oddziaływać dyscyplinarnie na swoich członków. Tu jest tylko kara, a ta zawsze jest niewystarczająca, bo działa na skutki, a nie może oddziaływać na przyczyny.

2 lutego, rok 1916, środa
Powiadam, że nie o samą tylko demoralizację w Legionach chodzi. Chodzi też o upadek ducha, o depresję, o obniżenie wiary w Sprawę samą. To jest powszechniejsze w szeregach legionowych od demoralizacji, o której pisałem wczoraj i która na wojnie jest nieuniknioną koniecznością w masie różnolitego materiału ludzkiego, złożonego w ogromnej masie z niedojrzałej młodzieży. Depresja i zwątpienie jest ciężką formą choroby w takim dziele, jak Legiony. Spotyka się ona – i to w stopniu wielkim – nie tylko na tyłach w masie tzw. obijaczy, którzy ewentualnie zwątpieniem chcą pozorować uchylanie się od bezpośredniego czynu wojskowego, ale też na linii, wśród czynnych i najdzielniejszych rycerzy, wśród tych nawet, którzy są na najwyższych szczeblach ideowości. Nie u wszystkich depresja ta jest w tym samym stopniu rozwinięta, nie wszyscy, którzy wątpią, ulegają jej przez to samo. Wielu, tracąc swoją pierwotną żywą wiarę, nie wpada jeszcze zaraz w depresję: jedni nie chcą się wcale polityką zaprzątać i uważają po prostu czyn wojskowy za celowy sam w sobie, za wyczerpujący ich zadanie, toteż w tym czynie się po prostu zamykają i są tylko żołnierzami, tylko

rycerzami walki narodowej – bez względu na jej ostateczne wyniki; inni, tracąc wiarę w spełnienie Sprawy, której Legiony w założeniu swym służą – Sprawy zdobycia krwią Niepodległości – znajdują nowy cel i zadanie Legionów w utrzymaniu samej ciągłości walk zbrojnych o Wolność i w odrodzeniu wojskowej tradycji polskiej; ci są dalecy od depresji i mają żywą wciąż pobudkę do świetnych czynów rycerskich, które w żadnym razie zmarnowane dla Sprawy narodowej nie będą. Ten ostatni typ nastrojów legionowych jest dość szeroko rozpowszechniony w linii, tak wśród żołnierzy, jak wśród oficerów. Ale zawsze brak tu tej potężnej pierwotnej wiary w bezpośrednie spełnienie przez Legiony – Niepodległości. Ci, którzy tę wiarę zachowali w całej mocy pierwotnej, należą dziś w szeregach legionowych do wyjątków. Ogół tej wiary nie żywi. W kołach N.K.N.-u i środowisk, ogarniętych bezpośrednio jego wpływami, w kołach Ligi Kobiet, w czynnikach kierowniczych Departamentu Wojskowego, we wszystkich politycznych ekspozyturach ruchu legionowego wiary tej, o ile dostrzec zdołałem, jest więcej, niż w samych Legionach; a przynajmniej tam wiara ta jest niezachwianie głoszona i wyznawana w akcji, choćby w świadomości wewnętrznej znaczyły się pewne nieujawniane rysy zwątpień; zresztą w tej robocie politycznej, która jest zasadniczo różną od czynu wojskowego, jakim jest bezpośrednie Legionów zbrojnych w polu dzieło, wiara ta znajduje ujście w rozmaitych kombinacjach czy to ewentualnej unii z Austrią, czy oparciu się na państwowych koniecznościach Niemiec, zmuszających je do stania się rzecznikiem państwowości polskiej, czy jeszcze innych wniosków i spekulacji kryzysu wojennego, podczas gdy żołnierze, z natury rzeczy dalecy od skomplikowanych kombinacji politycznych, umiejący dostrzec tylko rzeczy pospolite i nimi tylko w swych umysłach operować, nie mogą się zadowolić tym, co dla polityków wystarcza i co wiarę ich zachowuje. A ci żołnierze w Legionach przeszli przez próby i doświadczenia ciężkie, które mogły niejednokrotnie ich pierwotną prostą wielką wiarę i ich zapał wielki, ofiarą stwierdzony, złamać. Pierwszym ciosem i załamaniem ich wiary była już w najwcześniejszym okresie wojny postawa Królestwa Polskiego, które na ich czyn zbrojny odpowiedziało moskalofilstwem. Szli oni na wojnę, na świętą walkę z Moskalem o wyzwolenie Polski, z wiarą, że Naród cały, i tam za kordonem, za rycerzy ich uzna, zapałem powita, wiarą i czynem odpowie. Z Królestwa powiał na nich chłód i gorsza od obojętności niechęć. Ujrzeli się wobec Królestwa samotni, niemal obcy. Krwią znaczyli pobojowiska, walczyli jak lwy, rwali się do każdej bitwy jak do uczty. Wierzyli, że wejdą do Polski jako zwycięscy, że będą stroną współwalczącą wobec Austrii i Niemiec, że staną w Warszawie, że ogłoszoną będzie uroczyście Niepodległość Polski. Tymczasem pozostali tylko tym, czym w założeniu uznała ich Austria – to znaczy Legionem Polskim w wojsku austriackim, nie zaś odrębnym wojskiem polskim; krew przelewali sowicie i czynami świetnymi się wsławili, na Węgrzech i Karpatach na obczyźnie bronili piersią Monarchię Austriacką, a tymczasem tu, na własnej galicyjskiej ziemi, fala inwazji rosyjskiej rosła i zalewała ostatki ziemi polskiej i już się zdawało, że z powodzi tej nie ocaleje nic polskiego, prócz chyba Poznańskiego, jęczącego pod pruskim jarzmem nie lepiej, a może gorzej niż pod moskiewskim. A gdy wiosną r. 1915 przyszła wielka ofensywa niemiecko-austriacka, która wyparła Moskali z Galicji i zlikwidowała panowanie rosyjskie w Polsce, sforsowała linię Wisły, Narwi, Bugu i zdobyła Warszawę, to znów nie one, nie Legiony w Warszawie stanęły; stolica Polski znalazła się pod okupacyjną stopą pruską. Mocarstwa Centralne, w których szeregach Legiony bohatersko walczyły, nic prócz okupacji Polsce nie dały, do niczego się w sprawie polskiej nie zobowiązały, żadnej deklaracji uroczystej nie złożyły, zostawiając kwestię otwartą dowolnie, a Legiony, przeszedłszy przez Ziemię Lubelską, poszły dalej walczyć i krew swą przelewać na daleki Wołyń za Bug, na kresy, obce już im z ducha. Jakże daleką była ta rzeczywistość

od ich pierwotnych marzeń i snów! To wszystko wycierpiał, przebolał, przetrawił legionista, bohaterski młody żołnierz polski. Czyż mu się dziwić możemy, że w swym prostym umyśle żołnierskim, dalekim od subtelności politycznych poczuł zawód! A przecież nie ustał w bohaterstwie.

3 lutego, rok 1916, czwartek
Chciałem się w tych dniach wybrać do Piotrkowa dla zobaczenia się z pułkownikiem Sikorskim i omówienia z nim konkretnie planu mego dostania się do Wilna. Przekonałem się w prawdzie kilkakrotnie z doświadczenia, że Sikorski dużo obiecuje i jest pełny najgorętszej uczynności i najlepszych chęci, dopóki się z nim rozmawia, a potem, mając dużo przeróżnych pilnych spraw na głowie, nie spełnia tego, co obiecał, bo po prostu zapomina, chyba że go się przyciskać będzie stale, ale zdecydowałem się nastawać na niego stanowczo i aż do skutku, aby wreszcie pożądany rezultat uzyskać i tym razem nie zaspać na samej tylko obietnicy. A na Sikorskim i Departamencie Wojskowym funduję bardzo wiele w tej materii. Jeżeli nawet nie da mi się uzyskać wyjazdu do Wilna w drodze normalnego urlopu nieograniczonego po superrewizji lub jeżeli mnie orzeczeniem komisji superrewizyjnej, którego treści wciąż jeszcze nie znam, zechcą zapchać do szpitala, to spodziewam się otrzymać przydzielenie mnie do Departamentu Wojskowego, aby następnie stamtąd, przez Sikorskiego, do Wilna się dostać. O ile przydzielenie legionistów liniowych do Departamentu Wojskowego jest bardzo trudne, podobno niemal niewykonalne, o tyle, zdaje się, przydzielenie superarbitrowanych jest łatwe. Superarbitrowani, uznani za zdatnych li tylko do lekkiej służby, mogą być przydzielani do rozmaitych organizacji tyłowych, a więc w ich liczbie chyba i do Departamentu Wojskowego N.K.N.; mogą się nawet sami starać o takie lub inne przydzielenie; w ogóle mają dość szerokie pole do usadowienia się w tej lub innej czynności pozaliniowej. Chciałem więc już zawczasu omówić z Sikorskim i ułożyć plan dalszych usiłowań, skierowanych wciąż do Wilna. Dla otrzymania przepustki z Kamieńska do Piotrkowa trzeba stawać do raportu, wpierw kompanijnego wobec porucznika i następnie batalionowego wobec kapitana – komendanta Domu Rekonwalescentów. Raporty te zajęły mi dziś cały czas od rana do obiadu, od godz. 8 ½ do 12 ½; trzeba godzinami wystawać w oczekiwaniu odnośnego raportu, a następnie same raporty trwają nieznośnie długo. Szczególnie zaś marudny i nieznośny jest raport batalionowy. Komendant kapitan Łuczyński, który jak powiadają, jest w cywilu handlarzem obrazków czy obrazów świętych, parweniusz w karierze wojskowej w Legionach, człowiek małej inteligencji, zdaje się być zupełnie nieodpowiednim na tym stanowisku. Powiadają o nim, że w linii brak mu wszelkich zdolności wojskowych i że się parokrotnie skompromitował tchórzostwem, choć oczywiście za ścisłość tych wersji nie ręczę, albowiem mogą to być plotki złych języków; zresztą nie był nigdy oficerem bojowym; był w II Brygadzie, gdzie, zdaje się, zajmował stanowisko adiutanta Zielińskiego[28], komendanta III pułku; powiadają także, że swą karierę wojskową i swoją wysoką względnie szarżę zawdzięcza nie kwalifikacjom i zasłudze, ale względom ubocznym tego nawet rodzaju, że syn Zielińskiego kochał się w córce Łuczyńskiego; podobno wyniosła go protekcja Zielińskiego, który jednak następnie stwierdził sam jego niezdarność i odtąd go nie lubi. Jakkolwiek bądź, chociaż wersje te mogą być tylko plotkami i złośliwą obmową, nie zasługującą na wiarę, to jednak faktem jest, że kapitan

[28] Zygmunt Zieliński (1858-1925), oficer armii austriackiej, d-ca 2 pułku piechoty Legionów, w l. 1915-1918 dowódca II Brygady Legionów, szef Grupy Legionów w Piotrkowie, komendant Legionów Polskich, a następnie Polskiego Korpusu Posiłkowego. W Polsce niepodległej gen. broni, obrońca Lwowa, w l. 1919-1920 d-ca dywizji i armii w wojnie polsko-sowieckiej, w l. 1921-1923 d-ca Okręgu Generalnego Poznań i Pomorze.

Łuczyński niczym wybitnym się nie zaznaczył, wielkością żadną w Legionach nie jest i tylko przygodnie się do stopnia kapitana dopiął (a w Legionach stopień ten jest wysokim; większość oficerów legionowych na swej zasłudze li tylko w tej wojnie doszło do stopni, a iluż jest najdzielniejszych, mogących się wykazać całym łańcuchem czynów wspaniałych w linii, co dotąd są tylko porucznikami). Łuczyński zdaje się być człowiekiem w gruncie dobrym, takim sobie poczciwym, przywiązanym szczerze do legionowej sprawy, ale ani inteligencji, ani taktu i powagi nie ma odpowiednich do zajmowanego stanowiska. Złośliwie nazywają go legioniści w Kamieńsku „potęgą hinterlandu". Stara się on dostroić do stylu starego wiarusa, być po żołniersku surowym i po żołniersku rubasznie dobrodusznym. Ale nie udaje mu się to, bo styl się nie urabia sztucznie, jeno sam się wyłania z indywidualnego typu jako naturalny konsekwentny jego wyraz stały. Łuczyński sili się na koncepty, na dowcip, który mu się nie udaje zgoła, krzyczy, ale jest przy tym pełny nieposkromionego gadulstwa, błaźni się wobec żołnierzy, nie umie w swym prostactwie, umyślnie do maniery podkreślanym, zachować powagi i autorytetu. To nie jest człowiek na komendanta Kamieńska, mimo że jest poczciwy. Raport u niego – to ciąg jakiegoś gadulsko-łająco-dowcipkowego błazeństwa. I nic z moich projektów nie wyszło. Dowiedziałem się bowiem od kapitana Łuczyńskiego przy raporcie, że Sikorskiego w Piotrkowie nie ma. Wobec tego sam się zrzekłem na razie mej prośby o przepustkę, wolałbym Sikorskiego osobiście zastać. Napisałem więc list do dr Kota, prosząc go o poinformowanie mnie, kiedy Sikorski wraca. List do dr Kota prześlę nie przez pocztę, lecz osobiście przez kuriera-legionistę, który stąd co dzień do Piotrkowa w tym charakterze jeździ. Tysiączne tu kursują pogłoski o losie superarbitrowanych. Powiadają, że rzekomo odtąd urlopy nieograniczone nie będą wydawane i wszyscy superarbitrowani, uznani za zdolnych do lekkiej służby, będą wprost i natychmiast przydzielani przez Komendę do grupy odpowiedniej służby. Co dzień, zdaje się, inna wersja jest w obiegu. Gdyby wszystkim tym pogłoskom wierzyć, to by się w głowie przewróciło. W tych dniach jestem znowu spokojny i zrównoważony zupełnie. Ani się niecierpliwię, ani niepokoję. Pełny jestem pogody i ze spokojem oczekuję decyzji w mojej sprawie. Będzie, co Bóg da i co być musi. Tyle doświadczyłem opieki i kierunku Bożego na sobie w ostatnich czasach, więcej i głębiej, niżbym to opisać zdołał, że byłoby niewdzięcznością z mej strony, gdybym przestał ufać pogodnie w dalszy kierunek losu mego. Jeżeli nie wszystko natychmiast pójdzie po myśli mojej, to znów inną drogą do tegoż celu zmierzać zacznę, a Bóg mi pomoże. W mojej naturze jest jakaś pasja dopięcia celu, który sobie nakreślam. Celem tym teraz – Wilno.

4 lutego, rok 1916, piątek
Prosiłem wczoraj medyka z naszej sali, aby postarał się dowiedzieć w kancelarii sanitarnej, jakie jest orzeczenie komisji superrewizyjnej w stosunku do mnie i co takowe konkretnie znaczy, to znaczy jakie są jego efekty. Dziś medyk mi przyniósł odpowiedź: przeznaczony jestem „*zum Landsturm ohne Waffe*", to znaczy że mam otrzymać, jak inni, przede wszystkim urlop nieograniczony; powiedziano dalej w kancelarii tak, że tacy urlopowani, o ile są poddanymi austriackimi, zostają po jakichś 2 ½ miesiącach powołani z urlopu już wprost do austriackiego wojska, co zaś do poddanych rosyjskich, jak ja, to oczywiście powołaniu do austriackiego wojska nie podlegają; co więc z takimi ma być dalej, czy mają oni przebywać na urlopie *ad infinitum* do woli, czy też mogą być z powrotem do Legionów powołani – tego nie wiem. W każdym razie, oby się tylko sprawdziła pierwsza część tej informacji, to znaczy oby tylko urlop otrzymać. Wiadomość ta mnie ucieszyła. Byle tylko nie zrobiono ze mną tak, że gdy się okaże, iż do Wilna marszruta na urlop, jak się podałem,

wystawiona być nie może, nie pozbawiono mnie całkiem urlopu i nie zabrano gdzieś wprost stąd do Kozienic dla wyznaczenia mi natychmiast jakiejś lekkiej służby. Z tego względu muszę koniecznie pojechać jeszcze stąd do Piotrkowa i ewentualnie na wypadek powyższej możliwości zapewnić sobie wyjście w postaci przydzielenia mnie do Departamentu, skąd bym już do Wilna mógł dotrzeć. Życie w Domu Rekonwalescentów w Kamieńsku toczy mi się równo. Dzień do dnia bliźniaczo podobny. W teatrze nie byłem dotąd ani razu. Odbyło się tu przy mnie dwa razy przedstawienie jakiejś komedii Bałuckiego, i dwa razy przedstawienie obchodowe rocznicy styczniowej. Zwykle przedstawienia są tu powtarzane: raz po cenach normalnych z prawem wstępu także dla cywilnej publiczności z Kamieńska, i drugi – po cenach zaniżonych i wyłącznie dla legionistów. Czasem bywam na odczytach, zaglądam parę razy na dzień do herbaciarni, przeglądam gazety, czytam mało, czas, poza pisaniem dziennika i rzadkich listów, spędzam przeważnie na odwiedzaniu i gawędkach ze znajomymi legionistami, rozproszonymi po różnych salach. Po obiedzie zaś co dzień, między godz. 2 a 6, kiedy wolno wychodzić poza obręb Domu Rekonwalescentów, wychodzę „na miasto". Właściwe „miasto", raczej miasteczko Kamieńsk, jest odległe stąd o parę kilometrów. Nie byłem w nim ani razu. Tu dokoła fabryki „Wojciechów", w której mieści się nasz Dom Rekonwalescentów, i w kierunku stacji kolejowej – są zabudowania osady fabrycznej, tworzącej drugie miasteczko. Tu oraz w otaczających osadę dokoła pięknych lasach sosnowych i jodłowych zamyka się teren mojej wycieczki codziennej. W osadzie w każdym domu jest herbaciarnia i sklepik. Zdaje się, że od czasu założenia tu Domu Rekonwalescentów Legionów wszyscy mieszkańcy dawnej osady fabrycznej, pozbawieni teraz całkowicie zwykłych swoich źródeł zarobku, żyją wyłącznie z tego drobnego handlu spożywczego, którego głównymi artykułami są: herbata, piwo, ciastka, tytoń i papierosy, poza tym chleb, kiełbasa, masło, jajka, często wódka itp. Wstępuję gdzieś co dzień na podwieczorek, złożony zwykle z jaj i mleka lub wędliny, którym uzupełniam braki pożywienia „kompanijnego". Ponieważ zwolniony jestem od zajęć i nie biorę udziału w żadnych ćwiczeniach, wartach, pogotowiach itp., więc pozostaję tu w Domu Rekonwalescentów odosobniony, mało mam obowiązków z bieżącym życiem tutejszym i nie daję się szerzej poznać poza gronem moich dawnych znajomych, bawiących tutaj. Zapraszano mnie także do wygłoszenia jakiegoś odczytu w naszej herbaciarni, ale się tego nie podjąłem, bo w warunkach życia koszarowego nie umiem się skupić na jakiejś pracy myślowej i przygotować do takiego odczytu. Zresztą nie jestem w tej chwili zgoła usposobiony do takiej działalności. Ze wszystkich sił chcę wrócić teraz do Wilna i wszystkie zamiary czynu, wszystkie władze psychiczne moje są do Wilna skierowane: tam dopiero czynny się stanę. Zaczynać jakąś działalność tutaj, gdzie myślę tylko o wyrwaniu się stąd prędszym, nie mogę. Być może, że po pewnym czasie pobytu w Wilnie wrócę do Legionów, bądź na linię, bądź dla innej jakiejś czynności. Ale ja mam w ogóle taką naturę, że lubię i umiem robić coś tylko w pewnej ciągłości, jeżeli jakiś poszczególny czyn jest elementem jakiejś całej akcji mojej, natomiast nie pociąga mnie nigdy czyn przygodny, oderwany od związku z całością zajmującej mnie działalności. A właściwie tutaj żadnej działalności nie mam i mieć nie mogę. Cała ta moja włóczęga ostatnich czasów jest dla mnie tylko rodzajem jakiejś czasowej kwarantanny po drodze do Wilna. Nie jestem w stanie z tej kwarantanny zrobić mego domu pracy i zapełnić go cząstką mojej energii, mojej twórczej myśli. Toteż nudzę się tu, nie znajdując ujścia dla energii. Dom Rekonwalescentów w Kamieńsku nazywają legioniści „domem wariatów". Dawniej nazwa ta raziła mnie i parę razy obruszyłem się na takie gadanie. Tymczasem dostrzegam, że jest w tym „*vox populi*" pewna prawda. Mnóstwo energii ludzkiej, skupionej i zamkniętej bezużytecznie w jednym zbiorowisku, przetwarza się w

ferment nerwowy. Wszyscy są tu znerwowani i skapcanieli, nie tylko przez wojnę, choroby i rany, ale też przez samą naturę tego koszarowego zamknięcia. Wiem, że to nie jest wina Kamieńska, jeno konieczność wojskowości samej.

5 lutego, rok 1916, sobota
Legiony polskie! Te dawne, pierwsze Dąbrowskiego[29], pierwsze widome w czynie stwierdzenie nieustającego życia Polski, pogrzebanej formalnie ostatnim aktem rozbioru Rzeczypospolitej, i te dzisiejsze, drugie, Legiony Piłsudskiego i młodzieży polskiej, odradzające rycerski wojskowy czyn polski, manifestujący się po raz pierwszy od r. 1830 w kształtach regularnej broni, mniej samodzielny od powstania r. 1863, ale górujący nad nim ścisłością wojskowości jako takiej! Dwie daty, roku 1797 i roku 1914, dzielą przeszło wiekiem te dwa czyny polskie, analogiczne w swej formie zewnętrznej, w swym kształcie architektonicznym. Czyn Dąbrowskiego i czyn zjednoczonych w dniu 6 sierpnia polskich stronnictw w Galicji, ujmujący w kształt realny dzieło Piłsudskiego, choć są różne w momentach dziejowych i w konkretnym zadaniu walki, są jednakie w swoim wyrazie. Smutnie się skończyły Legiony Dąbrowskiego, a przecież nieśmiertelnym i niewyczerpanym w błogosławionych dla Narodu skutkach był ich czyn wskrzeszający ciąg walk o Wolność. Stwierdzamy dziś w naszych Legionach depresję i upadek pierwotnej wiary w rozpoczęte dzieło, ale o ileż głębszą musiała być depresja i rozprzężenie duchowe w męczeńskim Legionie Dąbrowskiego, walczącym wyłącznie na ziemi obcej i za obcą sprawę, acz w imię Polski i Wolności Ludów, dziesiątkowanym przez choroby, nędzę i ciężary wojny, widzącym na własne oczy całkowite chybienie bezpośrednich celów swoich w pokojach zawieranych przez rewolucyjną Francję, gasnącym wreszcie w zmarnieniu zupełnym na dalekiej wyspie San-Domingo. Legiony dzisiejsze uczestniczą dziś bądź co bądź w wojnie z Rosją, walczą bezpośrednio i wyłącznie z Moskalami, walczą przeważnie na ziemi polskiej i widzą jej odrywanie szmat za szmatem z rąk moskiewskich. Mają za sobą poparcie organizacji i instytucji wytworzonych przez społeczeństwo swoje w Galicji, mają w Narodzie poniekąd zapał i gorącą miłość dla siebie, poniekąd zaś sympatię i uznanie tych nawet, którzy całkowicie akceptować ich metody się nie decydują, a nawet mają szacunek tych, którzy świadomymi i stanowczymi są ich wrogami w narodzie własnym. Stanowisko Legionów dzisiejszych jest o wiele lepsze od stanowiska męczeńskich Legionów Dąbrowskiego i depresja ich też nie jest taką, jaka musiała się szerzyć w szeregach legionistów polskich z końca w XVIII. Ich waleczność rycerska w linii nie jest tylko aktem rozpaczy i ślepego męstwa, lecz wciąż także celowym elementem świadomego ideału. Ciężkie były zawody naszych legionistów dzisiejszych, ale nie tak jeszcze fatalne, aby ich ducha złamały i w oślepłą masę rycerzy rozpaczy ich zamieniły. Przed paru dniami streściłem główne momenty zawodów, doświadczonych przez legionistów. Zwrócę tu jeszcze uwagę na kilka, które do najgłówniejszych i najbardziej zasadniczych należą. Kapitalnym bodźcem całego ruchu strzeleckiego była idea walki z Rosją o wolność. Strzelcy po wybuchu wojny szli z Piłsudskim do Królestwa z myślą powstańczą wzniecenia czynu polskiego, zbrojnego narodowego wielkiego czynu. Sprawa tymczasem, na skutek opornej postawy Królestwa, musiała się z pierwotnie zamierzonego zbrojnego i samodzielnego powstania polskiego przeobrazić w kształt Legionu Polskiego w obrębie armii austriackiej. To zmieniło naturę ruchu, ale było jedynym wyjściem, które mogło uratować sam ruch. Tylko żywiołowy odruch Królestwa, jednoczący się z pierwotnym ruchem strzeleckim, mógł uratować samodzielność polskiego czynu zbrojnego. Skoro to nie nastąpiło, pozostała tylko

[29] Mowa o Legionach Polskich we Włoszech utworzonych w 1797 r. przez gen. Jana Henryka Dąbrowskiego u boku armii Napoleona Bonaparte.

jedyna forma – Legionu. Zrozumieli to twórcy ruchu, zrozumiał sam Piłsudski, który zaakceptował formę Legionu i przysięgę wykonał. Przysięga ta była aktem zwrotnym w naturze ruchu. Akt to był bolesny, na którym grać i spekulować zaczęły czynniki wrogie Sprawie samej czynniki endeckie, sprowadzając tragiczną katastrofę w Mszanie Dolnej z rozwiązaniem Legionu Wschodniego[30]. Ci, co wytrwali, wykonali przysięgę i nadal wykonywały ją nowe szeregi legionistów zaciężnych. Ale w Legionach idea wojska polskiego i samodzielnego czynu narodowego nie umarła wraz ze złożeniem przysięgi. W I Brygadzie dotąd idea ta się utrzymuje nie tylko w sferze czysto oderwanego ideału, ale też w usiłowaniach praktycznych. Tym nie mniej Legiony są tylko Legionami Polskimi w wojsku austriackim, nie zaś, ściśle rzec biorąc, wojskiem polskim. Wśród legionistów prawda ta, bolesna dla nich, musiała torować sobie drogę siłą obserwowanych faktów, a była to dla nich tragedia, był to kryzys duchowy, który musiał głębokie przemiany w ich nastrojach sprawić. Jednym z takich jaskrawych uwidocznień tej przemiany w nastroju ruchu było brutalne rzucenie II i III pułku (II Brygady) z Krakowa wprost na Węgry, na obronę obcej ziemi, w interesie monarchii, nie zaś tylko sprawy polskiej, co znalazło dosadne określenie w słowach popularnej piosenki: „Bo my żołnierze – tak jak psy. Bezdomni, my włóczędzy, tropi nas Moskal, gryzą wszy – za Austrii skrawek nędzy”[31].

6 lutego, rok 1916, niedziela
Jeszcze słówko chciałem dodać do wczorajszego, a mianowicie zanotować jeden charakterystyczny szczegół w elementach wiary legionistów. Wśród szeregowych legionistów I Brygady rozpowszechnione jest przekonanie, że Piłsudski otrzymał od władz austriackich jakieś solidne zobowiązanie co do Polski i że on, wódz, posiada te gwarancje, których dotąd publicznie w sprawie polskiej nie ogłoszono. Rzeczywistość nie potwierdziła dotąd pierwotnej wiary legionistów, nie wydała żadnych rozwiązań w sprawie polskiej, przeciwnie – coraz widoczniej wprzęgła Legiony Polskie w służbę Austrii, bez zastrzeżeń. I oto brak oparcia dla swej wiary w faktach zastępuje legionista I Brygady wiarą, mistyczną niemal, w osobę swego wodza, Piłsudskiego, który staje się w ten sposób źródłem wszelkich pewności, rozpraszających wątpienie, i ukojenie tęsknot. Nie wszystkim żołnierzom wystarcza ta naiwna wiara, ale bądź co bądź w mniejszym lub większym stopniu wiara w Piłsudskiego wpływa ciągle dodatnio na utrzymanie ducha w szeregach I Brygady, a są tacy żołnierze-piłsudczycy, którzy literalnie tak, jak wyżej powiedziałem, w Piłsudskim całą swą wiarę pokładają i są spokojni, bo to im wystarcza. Zresztą w szeregach I Brygady, tak w postępowaniu oficerów, jak w świadomości żołnierzy, żywe jest wciąż i czynne przeciwstawienie Legionów Polskich jako wojska narodowego wojsku austriackiemu, wobec czego prawne wcielenie Legionów do armii austriackiej jako jej części składowej i organicznej bez zastrzeżeń nie jest tu tak wyczuwane, pomimo złożonej przysięgi. Toteż słowa popularnej pieśni: „Bo my żołnierze – to jak psy, Bezdomni my włóczędzy, Tropi nas Moskal, gryzą wszy, Za Austrii skrawek nędzy”, charakteryzujące tak dosadnie brak samodzielności Legionów, powstały nie w I, lecz w II Brygadzie, rzuconej na Węgry dla obrony interesów monarchii.

[30] Utworzony 17 VIII 1914 r. we Lwowie przez Sekcję Wschodnią NKN w oparciu o Drużyny Bartoszowe, Polowe Drużyny Sokole i Polskie Drużyny Strzeleckie. Pod koniec sierpnia dotarł do Mszany Dolnej. Tam pod wpływem klęsk austriackich a zwłaszcza agitacji działaczy endeckich, ochotnicy odmówili złożenia przysięgi, co spowodowało jego rozwiązanie 26 IX 1914 r. Z niewielkiej części ochotników Legionu Wschodniego, która złożyła przysięgę sformowano 3 pułk piechoty Legionów Polskich.
[31] Popularna w II Brygadzie Legionów piosenka anonimowego autora. Powstała na przełomie października i listopada 1914 r., po krwawej bitwie pod Mołotkowem.

Przechodzę do powszednich spraw Kamieńska. Oto parę przykładów skrępowania, jakim ulegać musi żołnierz i które obowiązują także mnie. Zaiste, wojskowość tak ujmuje człowieka w koszarowe przepisy, tak odbiera mu samodzielność i władzę nad samym sobą, tak zeń robi manekina, którego najwyższą mądrością posłuszeństwo bez szemrania i krytyki i bez, broń Boże, jakiejkolwiek próby przeciwdziałania, że dla człowieka wolnego, człowieka, który ideały swoje urobił na tęsknocie do potężnego indywidualizmu, jest ona po prostu wstrętna. Cnotą jest społeczną i ludzką, jeżeli człowiek nie daje się przez innego człowieka w żadnej postaci, jak bydlę, ujarzmić, jeżeli nie daje deptać swej godności ludzkiej i podnosi bunt przeciwko wszelkiemu gwałtu. Wielbimy bohaterów i męczenników Wolności, którzy mieli moc i hart czynnego i samotnego nieraz protestu przeciwko przemocy, choćby takowa występowała w najpotężniejszej organizacji, czcimy pamięć mężów walk narodowych i rewolucji, uznajemy prawo robotników do ciągłej walki z przemożną siłą jarzmiącego ich kapitalizmu. Iluż to oficerów w Legionach naszych wyszło z szeregów rewolucyjnych i socjalistycznych, gdzie zasada buntu i oporu przemocy za pierwiastek cnoty, prawa i obowiązku wyznawana była. W wojsku wszystko jest diametralnie przeciwne. Tam jest subordynacja, posłuszeństwo i uległość, a dla tych, kto nie słucha, są kary aż do sądu polowego i śmierci włącznie. I każdy w wojsku, choćby był z przekonań rewolucjonistą, uznaje i uznawać musi tę inną, wojskową, zasadę. W linii rozkaz jest koniecznością spełniania bezpośredniej funkcji wojennej, ale w systematyce wojskowej jest on tak samo bezwzględnym wszędzie, gdziekolwiek istnieje, tak w koszarach, jak w szpitalu, jak w Domu Rekonwalescentów, jak nawet na sali sypialnej, gdzie ten, który został mianowany komendantem sali, ma moc rozkazywania i prawo do posłuszeństwa. I dla tego rozkazu, dla tego przymusu, który w wojsku jest zasadą i któremu posłuszeństwo jest cnotą, nie ma właściwie granicy, nie ma ścisłej ramy. Przymus ten wykracza daleko poza ramy właściwych funkcji wojennych żołnierza i zabiera go w swe szpony całego z ciałem, zdrowiem, życiem, poniekąd mieniem, wolą i duszą, o ile w jej wyrazach zewnętrznych daje się ona ujarzmić i ująć w jakieś nakazowe formy. Jeżeli żołnierza oficer wyłaje, znieważy słowem czy czynem, spoliczkuje nawet, żołnierzowi nie wolno tym samym odpowiedzieć; co najwyżej, zniósłszy zniewagę pokornie, wolno mu wnieść zażalenie przy raporcie, ale jakże mu trudno dojść tą drogą sprawiedliwości i zadośćuczynienia, gdy w hierarchicznej systematyce wojskowej przełożony w zasadzie ma zawsze rację, a ileż jest form zniewagi w samym tonie, w obejściu się, których ustalić niepodobna. Nasz sierżant kompanijny w linii, Szarski, wzorowy żołnierz, klasyczny wyznawca doskonałej formy wojskowej, powiada, że gdyby mu komendant kazał nawet pocałować go w dupę, on by to wykonał, a dopiero potem by do raportu stanął i wniósł zażalenie. Nie ma kresu posłuszeństwa i karności żołnierza. Od oficerów, od ich kultury osobistej, od poziomu humanizmu w danej armii zależy tylko taka lub inna granica osobistej władzy i rozkazowej przemocy nad żołnierzami. Drobne są fakty, którymi oto w tych dniach związały nas rozkazy dzienne kapitana, ale wskazują, jak daleko sięga przymus w sferę pozawojskowej osobowości żołnierza. Zabroniono mieć przy sobie więcej nad 20 koron pieniędzy: co ponadto, trzeba składać w komendzie domu, skąd dopiero będą one stopniowo wydawane, oczywiście kontrolując stopę wydatkowania żołnierza. Nie wolno dawać mundurów ani żadnych części umundurowania, choćby były one własne, do przeróbki lub naprawy krawcom cywilnym, co właśnie przed kilku dniami zrobiłem, nic nie wiedząc o takim zakazie. Wreszcie ujawnił się przymus kościelny, najgorszy ze wszystkich. Dziś odbyła się msza, a ponieważ wielu nie poszło na nią, kapitan pozbawił wszystkich, z wyjątkiem tych, co byli, prawa wyjścia dziś w godzinach od drugiej do piątej na miasteczko.

7 lutego, rok 1916, poniedziałek
Charakterystyczne jest, że niektórzy oficerowie Legionów, którzy wyszli z szeregów bojówki PPS, to znaczy z kadrów rewolucyjnych, dziś w Legionach zdradzają jakąś szczególną pasję do czynności żandarmskich, do wszelkiego tropienia przestępstw, choćby drobnych, z pewnym lubieżnym zacięciem do znęcania się nad pochwyconymi do rąk ofiarami. Ich dawna działalność bojowa, pełna dzikiej brawury, w której największym ich wrogiem był żandarm i w której oni byli tropieni jak zwierzęta leśne przez myśliwych, wykoleiła ich i zaprawiła jednocześnie fermentem jakichś instynktów drapieżnych. Od wroga swego, żandarma, przejęli metody tropienia i szczucia i dziś, gdy poczują władzę w ręku, z lubością się nurzają w pełnieniu żandarmskich funkcji „*par amour de l'art*". Mają w tym widocznie jakąś rozkosz odwetu, jakąś psychiczną satysfakcję, stając się z ofiary oprawcą. Nie wszyscy bojowcy stali się takimi; są wśród nich rycerze czyści i dzielni, ofiarni i pełni twórczego czynu w zawodzie wojskowym, ale wielu z nich jest właśnie w żandarmerii Legionów i tam ci właśnie ex-bojowcy, ex-rewolucjoniści są najokrutniejszym elementem, najdalej posuwającym sztukę pastwienia się nad ofiarą. Ciekawe jest to organiczne przeobrażenie się u niektórych ludzi natury rewolucjonisty-bojowca w naturę żandarma. Bywały zaś wypadki, jak ze sławnym szefem żandarmerii polowej w I Brygadzie Kostkiem[32], że były rewolucjonista przekształcał się naraz już nie tylko w żandarma, ale w oprawcę i kata, lubującego się jak sadysta w zamęczaniu i zadawaniu śmieci ofiarom. Wieszanie – to była pasja Kostka, którą szafował obficie, mając straszną władzę polowego żandarma w ręku. Do żandarmerii jest w Legionach, jak zresztą wszędzie, niechęć i rodzaj pogardy. Bo też, choć jest ona konieczną, nie jest w żadnym razie szlachetną. Czynność żandarma jest zawsze w oczach ludzi i społeczeństw wolnych nikczemną i godną pewnej pogardy. A żandarm polski nie jest organicznie lepszym od innego żandarma. Niestety – wyzwalająca się wolnościowa Polska nie była w stanie uniknąć instytucji żandarmerii i obejść się bez niej. Legioniści nazywają żandarmów „kanarkami" od żółtej barwy wyłogów na mundurach, a ta nazwa kanarka stała się nazwą pogardliwą w języku legionowym. Jest i tutaj w Kamieńsku jeden taki oficer, podporucznik, który wprawdzie nie należy do żandarmerii i nie jest oprawcą w znaczeniu bezpośrednim, ale na własną rękę uprawia z zamiłowaniem sport węszenia wszelkich wykroczeń, łapania żołnierzy na gorących uczynkach, w ogóle tropienia jak wyżeł czy żandarm. Robi to na ochotnika i ma w tym szczególną przyjemność. Cały dzień węszy i lata; wszędzie go pełno, a szczególnie tam, gdzie w danej chwili może coś i kogoś przyłapać. Wpada niespodziewanie do sal i przebiega je: tu pochwyci grupkę grających w karty, co jest zakazane, tam zobaczy kogoś leżącego w ubraniu i butach na łóżku, tam znów zwymyśla kogoś, kto go nie zasalutuje; kiedy któregoś dnia zabroniono wychodzić na miasteczko, to już podporucznik Wojciechowski z pewnością jest na miasteczku, aby przyłapać tych, co się w jakiś sposób wykradli; to znów wpada do herbaciarni i podnosi krzyk i rwetes o to, że nie wszyscy są bez czapek. Największą zaś przyjemność sprawia mu, gdy potrafi wpaść i przyłapać kogoś znienacka na gorącym uczynku. Jest ruchliwy, zawsze zadowolony z siebie, gotów do krzyku, wesoły i żwawy jak sportsmen, ale dla podwładnych – a podwładnymi są dlań wszyscy żołnierze – przykry, bo jest dla nich jak pies myśliwski dla zwierzyny: łaje, stawia do raportu, karze, rzuca się i krzyczy. O ile

[32] Wacław Biernacki ps. Kostek (1884-1957), pułkownik; szef żandarmerii polowej w 1 pułku piechoty Legionów Pol., następnie w POW. W Polsce niepodległej w wojsku ze stopniem pułkownika. W r. 1930 komendant twierdzy brzeskiej, 1931 r. wojewoda nowogródzki, w l. 1932-1939 wojewoda poleski. Po kampanii wrześniowej internowany w Rumunii. W 1945 r. wydany komunistycznym władzom polskim, uwięziony i skazany na karę śmierci, zamienioną na 10 lat więzienia.

wiem, pochodzi on z Warszawy i miał coś z bojówką wspólnego. Sam lubi wypić, pohulać, dogodzić i pofolgować sobie, a dla żołnierzy jest psem i ze sportu żandarmem; jest w nim coś z rosyjskiej „szerokiej" natury. Jest to ten sam podporucznik, którego, gdym dopiero ruszał do brygady, poznałem w Serebryszczu pod Chełmem pod pseudonimem Pierwotnego. Zdaje się, że w linii nie bierze udziału wcale, a jeżeli tam bywa, to tylko przygodnie, raczej jako widz i gość sportów. Tłucze się on po batalionach uzupełniających, przyprowadza do linii kompanie rekruckie, teraz zaś obija się po Kamieńsku i na wolontariusza uprawia sport żandarma. Tacy najczęściej obijają się poza linią. Skądinąd tacy sportowcy, jak Wojciechowski, nie są zazwyczaj złymi ludźmi; w każdym razie nie robią oni żadnego interesy na Legionach ani żadnej kariery osobistej, jak wielu innych obijaczy spośród oficerów; jak byli biedni, tak biedni wyjdą z Legionów, ale krwi legionistom-żołnierzom napsują wiele; są to typy włóczęgów-cyganów i sportowców, typy nieprodukcyjne, ale nie złe; geszeftów robić nie umieją nawet. Stawałem dziś do raportu o przepustkę do Piotrkowa. Raport kompanijny, a także batalionowy w zastępstwie kapitana przyjmował porucznik Szwarc[33]. Z takim to przyjemnie mieć do czynienia i takiemu zaiste, nie zaś Łuczyńskiemu, być kapitanem, komendantem Domu Rekonwalescentów. Co za różnica między raportem u niego a Łuczyńskiego. Przyjmuje on raport samemu, rozumie, każdego wysłucha, rzecz rozważy rozsądnie i z taktem. A u Łuczyńskiego same błazeństwa. Oto wczoraj stawał u Łuczyńskiego do raportu legionista-Żyd, który prosił o stałą przepustkę w rannych godzinach do miasteczka dla brania udziału we wspólnych modłach żydowskich. Łuczyński zaczął drwić, przedrzeźniać jego, imitując szwargot modlitwy żydowskiej, mówił do niego załamując język do akcentu żydowskiego. Co za błazeństwa!

8 lutego, rok 1916, wtorek
Nie mogę się doczekać mego urlopu czy w ogóle tego, co ma mi być wyznaczone na skutek orzeczenia komisji superrewizyjnej. Nasz transport stawał do superrewizji 27 stycznia. Upływa więc drugi tydzień od tego dnia. Ponieważ w ostatnich czasach papiery dla superarbitrowanych przychodziły mniej więcej we trzy tygodnie po superrewizji, więc nie byłoby jeszcze racji do zbyt gwałtownego oczekiwania urlopu po dwóch niespełna tygodniach. Ale chodzi o to, że przed naszym transportem są jeszcze dwa inne, wcześniejsze od nas, czekające również na papiery: są to transporty z 17/I i 24/I. Oczywiście, że one muszą być załatwione przed nami, a tymczasem dzień za dniem mija, a nic dla nich nie przychodzi. Tydzień już ubiega, jak otrzymali urlopy i odjechali ostatni z transportu z 7 stycznia, ostatniego załatwionego dotychczas. Co dzień czekam w rozkazie wieczornym urlopów dla następnego z kolei transportu, z dnia 17 stycznia, ale na próżno. Przez to samo rozwiązanie naszego losu odwleka się. A tymczasem krążą niepokojące pogłoski o tym, że rzekomo urlopy już przestaną być udzielane. Wprawdzie trudno wierzyć każdej pogłosce, ale bądź co bądź to denerwuje. Jest jeszcze także inny powód obawy. Oto, jak było już w gazetach ogłoszone, bataliony uzupełniające oraz wszelkie instytucje legionowe w Kozienicach, a więc i Komenda Grupy, mają być stamtąd przeniesione na prawy brzeg Wisły, podobno do Zamościa czy Nałęczowa. Otóż gdyby przenosiny te miały się w tych czasach odbywać, mogłoby to naturalnie przeszkodzić kanceleryjnej działalności Komendy Grupy i odwlec załatwienie naszych urlopów, które przez tę Komendę właśnie są udzielane. Ha, trzeba czekać; nic się na to nie poradzi. Czekam jeszcze i na inną rzecz – na przepustkę do Piotrkowa, którą za 3-4 dni powinienem otrzymać; jest to tylko formalność, załatwiana

[33] Szwarc – brak bliższych danych.

przez Austriacką Komendę Obwodową w Piotrkowie, która na przedstawienie Komendy Domu Rekonwalescentów zawsze tych przepustek udziela.
Znajomych mi tu wśród legionistów nie brak. Z moich bezpośrednich liniowych kolegów z naszego dawnego plutonu został tylko jeden Maniecki. Inni, których tu po przyjeździe moim zastałem, już się rozjechali. Eminowicz i Tobjasz, obaj superarbitrowani, otrzymali już urlopy i wyjechali. *A propos*, dowiedziałem się, że Eminowicz to pseudonim, a właściwe nazwisko jego Targosz, to znaczy wręcz odwrotnie, niż pisałem kiedyś o nim w moim dzienniku. I jeszcze jedno o nim: jest on uczniem gimnazjalnym i ma lat dopiero 19, choć wygląda na znacznie więcej, zwłaszcza ze względu na sporą brodę, którą nosi; nie należy też on do kategorii Borysławiaków, jak sądziłem, ale pochodzi on z Galicji Zachodniej, bodajże z samego Krakowa, i do Legionów wstąpił od samego początku, to znaczy, że należy do najstarszej wiary, jak w naszym plutonie nieboszczyk Kosa-Morbitzer, Knapczyk, Kruszyna, Papiz. Guc już także od tygodnia wyjechał z Kamieńska do Kozienic do batalionu uzupełniającego. Są tu pogłoski, które podobno pochodzą od eskorty, odprowadzającej transporty kozienickie, że cały transport, do którego należał Guc, został w Kozienicach z punktu przydzielony do batalionu uzupełniającego formującej się IV Brygady. Nie ręczę za to, że to prawda. Dawniej, przynajmniej za czasów, gdy się formował pułk IV i później pułk VI i gdy na czele Komendy Grupy stał Grzesicki, rzeczywiście kradziono ciągle ludzi z I Brygady i wbrew ich woli wcielano do formujących się pułków III Brygady. Za rządów wszakże Zielińskiego jako Komendanta Grupy nie słychać było o takich praktykach; przeciwnie – mówiono zawsze, że najrzetelniej wszystkich przybywających do Kozienic przydzielano do batalionów uzupełniających tych brygad, do których oni poprzednio należeli. Być może, że rozpoczynając formację nowej, IV Brygady, jeżeli istotnie ma to już miejsce, znowu się te praktyki rozpoczną. Wyobrażam sobie, jak musi być zasmucony Guc, jeżeli to prawda. Guc, jak większość naszych piłsudczyków, jest szczerze i serdecznie przywiązany do Brygady i tylko w niej uważa służbę za właściwą i odpowiadającą swoim ideałom. Jest to tak, jakby wiarusów ze starej gwardii Napoleona miano wcielać do jakichś pułków rekruckich, obcych im z ducha i z tradycji. Wiarusów to boli.
Słychać też z wieści z Kozienic, że liczba rekrutów w batalionach uzupełniających jest wielka. Podobno werbunek w Królestwie robi teraz wielkie postępy; wielu się zaciąga do Legionów z guberni radomskiej i szczególnie z ludu, z chłopów nawet. Podobno przybywa rekrut fizycznie tęgi, chłop w chłopa. Sądzę, że ideowo będzie to materiał lichszy, bo do Legionów goni go nade wszystko nędza i ruina gospodarcza kraju, ale pod względem bojowym, jeżeli to istotnie rekrut chłopski, może to być materiał dzielny.
Są jeszcze tutaj byli moi koledzy z kompanii, choć nie z mego plutonu: kapral Kram, legionista Jarema, superarbitrowany wraz ze mną, i sanitariusz Jachnicki[34]. Większość wszakże znajomych moich w Kamieńsku rekrutuje się ze znajomości pozaliniowych, ze stosunków zawiązanych po szpitalach itp.

9 lutego, rok 1916, środa
Ze znajomych legionistów, z którymi obcuję tutaj, najściślejszy jest mój stosunek z artylerzystą Gołygowskim[35]. Poznałem się z nim w szpitalu krakowskim na „czternastce", gdzieśmy przez czas jakiś razem przebywali. Jednak dopiero tu w Kamieńsku w ostatnich dwóch tygodniach nasz stosunek wszedł na tory ściślejszej zażyłości. Z Gołygowskim chodzimy co dzień na miasteczko na podwieczorek i na spacer do lasu, poza tym często się spotykamy w obrębie Domu Rekonwalescentów i

[34] Jachnicki – brak bliższych danych.
[35] Gołygowski – brak bliższych danych.

spędzamy czas na rozmowie. Jest to człowiek inteligentny i zgoła nie banalny; królewiakiem jest z pochodzenia, z rodziny ziemiańskiej z Rawskiego (gub. warszawska), zrujnowanej po roku 1863. Młodość spędził Gołygowski w Petersburgu, potem był w Królestwie, po roku zaś 1905 musiał uchodzić do Galicji jako skompromitowany politycznie w rewolucji. Był w dziedzinie ruchu politycznego działaczem raczej narodowym, niż społecznym, należał do obozu NZR (Narodowego Związku Robotniczego). Zawodowo pracował Gołygowski w przemyśle przędzalniczym i następnie w Galicji też zajmował posadę w jakiejś przędzalni krajowej. Jest to typ duchowo bardzo szlachetny i wrażliwy, a zarazem głęboki, wolny od wszelkiej blagi i maniery, subtelny i artystyczny. Nie mogę go nazwać dzielnym, bo jest bardzo nerwowym i zbyt wszystko i zawsze nicującym. Gołygowski jest człowiekiem starszym, ma lat przeszło 30, jest żonaty. Cenię w nim bardzo jego kulturę humanitarną, wrażliwą na wszystko, co ludzkie, na krzywdę i niesprawiedliwość, na pierwiastki etyczne w dziedzinie polityki i spraw społecznych, na wieczyste prawdy kultury, pojętej w szlachetnym znaczeniu postępu w tym, co dobre, co wzniosłe, co sprawiedliwe i oparte na miłości i spotęgowaniu ducha. Choć należał on zawsze do obozu narodowego, daleki jest jednak od ideałów właściwego nacjonalizmu. Jest on zdaje się, pierwszym człowiekiem z obozu NZR, z którym się osobiście bliżej poznałem i zaprzyjaźniłem. Boję się z osobistych cech duchowych Gołygowskiego ciągnąć jakieś wnioski o ideologii tego obozu, do którego on należał. Że NZR, który ongi wyrósł w ramach endecji, a który później zerwał z nią i stał się wespół z PPS jednym z ojców duchowych obecnego ruchu niepodległościowego w Polsce, to wiem i wiem także, że nie hołdował on nigdy czystemu tzw. egoizmowi narodowemu w pojęciu ideałów N-D i nie zaniedbał nigdy idealizmu wolnościowego w związku z pewnymi aspiracjami sprawiedliwości społecznej. Ale czy ideały ludzkie, ideały kultury wieczystych szlachetnych pierwiastków ducha były w nim tak rozwinięte i na tym poziomie utrzymane wobec ideałów narodowych, co u Gołygowskiego – tego nie wiem. Jest w Gołygowskim to, co było dziełem płodnego siewu przedrewolucyjnych tęsknot wśród całej młodzieży tak polskiej, jak rosyjskiej sprzed roku 1905 i co zapłonęło ogniem Wolności w gorących nieśmiertelnych hasłach tegoż roku. Gołygowski jest trochę, niestety, zrażony do Legionów i do faktycznych kształtów tego ruchu, to znaczy nie do ich idei samej, ale do ich kierownictwa politycznego, do całej tej gry intryg, ambicji i prywaty oraz często niedołęstwa, które się ujawnia w akcji NKN-u, Komendy Legionów i wszystkich organizacyjnych ekspozytur ruchu. Za mało uwzględnia niezmiernie trudne warunki polityczne i międzynarodowe akcji i powoduje się za dużo uprzedzeniem do Galicji, a natomiast idealizacją Królestwa, tak częstymi u przymusowych politycznych wychodźców-królewiaków. Jest on natomiast gorącym wielbicielem i bodajże wyznawcą Piłsudskiego. Z Gołygowskim mam częste i ciekawe rozmowy i dużo korzystam z tego obcowania. Szkoda, że już jutro wyjeżdża do kadry do Kozienic. Wyjazd jego sprawi wielką lukę w moim życiu w Kamieńsku. Prócz Gołygowskiego, są tu jeszcze z moich towarzyszy z „czternastki" krakowskiej: młody Rozdębski[36], Warszawiak, superarbitrowany obecnie ze mną, uczeń gimnazjalny, chłopak cichy, ale niegłupi i ideowy, szczery piłsudczyk; sierżant z I Brygady Marian Bielecki[37], młody 18-letni chłopiec z Galicji Wschodniej, stary wiarus liniowy, mający już wyrobienie i powagę wiarusa mimo dziecinnego niemal wieku; wreszcie aspirant oficerski Murdziński[38], z którym się zresztą mało stykam, bo jako aspirant jest on zalokowany na sali oficerskiej i na równi z oficerami traktowany. Był tu jeszcze z

---

[36] Rozdębski – brak bliższych danych.
[37] Marian Bielecki, legionista 3 kompanii V batalionu I Brygady, ranny w lipcu 1915 r.
[38] Murdziński – brak bliższych danych.

„czternastki” ułan Tadeusz Wojciechowski[39], z II szwadronu ułanów Wąsowicza, uczestnik szarży pod Rokitną, młody i sympatyczny przystojny chłopiec, jak wzorek ułana polskiego, jak go siostry-pielęgniarki w szpitalu krakowskim określały. Jest tutaj także młodociany, dziecinny szóstak Tadeusz Mieszkowski[40], mój towarzysz ze szpitala rzeszowskiego. Jest również Widuch, z którym poznałem się kiedyś w Serebryszczu pod Chełmem w drodze do Brygady, a z którym się teraz nieco zbliżyłem, sympatyczny chłopiec, Wiedeńczyk. Poza tym, są jeszcze inni, bardziej przygodni i dalecy znajomi. Wszyscy oni lokują się na innych salach. Na naszej salce chorych znam się ze wszystkimi, ale zbyt bliskich stosunków nie posiadam. Do takich, z którymi się nieco ściślej zżyłem lub którzy są tu bardziej sympatyczni, należą: szóstak Druksberg[41], zdaje się, że Żydek, Lwowianin, sanitariusz Pająk[42], Kędzierski[43], medyk Milner[44], komendant kapral Tokarczyk[45] i kilku innych. Są tu najróżniejsze typy: jest dwóch starych, brodatych, siwych „dziadziów”, był sympatyczny Żydek Szaja Weissblat[46], egzotyczny legionista z Rafałówki znad Styru, był Węgier, który się dopiero w Legionach po polsku nauczył, jest jakiś emigrant z drobnej szlachty wołyńskiej, bardzo charakterystyczny typ, są galicjanie i królewiacy, Warszawianie, Łodzianie, Piotrowianie itd. Jest także niestety dwóch chorych, histeryków, dziecinnych, głupich i awanturujących się, mających codziennie ataki i jeden epileptyk, mój sąsiad, który na szczęście jakoś ataków nie miewa.

10 lutego, rok 1916, czwartek
Otrzymałem przepustkę na 24 godzin do Piotrkowa. Dowiedziałem się o tym z wczorajszego wieczornego rozkazu dziennego, dziś rano wziąłem w adiutanturze marszrutę i o godz. 10 z minutami wyjechałem. Niefortunnie wszakże trafiłem, o tyle niefortunnie, że Sikorskiego nie zastałem. A chodziło mi właśnie głównie o osobiste rozmówienie się z Sikorskim. Bawi on od dłuższego czasu w Warszawie. Ma niby wrócić dziś w nocy albo jutro rano, tak że nadzieja zobaczenia się z nim nie jest jeszcze całkowicie stracona (wyjeżdżam bowiem jutro dopiero koło godz. 3 po południu), ale wiem, co znaczy termin jakiegoś powrotu u Sikorskiego: znaczy to, że zamierzał mniej więcej w tym czasie wrócić, o ile coś nie przeszkodzi, a że u takiego człowieka, zajętego gorączkowo polityką legionową, ciągle jest to lub owo, co go zatrzymuje jeszcze, zwłaszcza w Warszawie, więc można być prawie pewnym, że na pierwotny termin nie wróci. W braku więc Sikorskiego oraz dr Kota, który jest także w Warszawie, załatwiłem moją sprawę za pośrednictwem p. Zenona Wierzchowskiego. Obiecał mi, że wszystko powtórzy wiernie Sikorskiemu i upewniał, że wszystko da się z łatwością zrobić. Oprócz tego, napisałem list do Sikorskiego, który złożyłem także na ręce Wierzchowskiego. Istota mojej prośby do Sikorskiego polega na tym, żeby mnie obronił od niespodzianego zapchania mnie do jakiegoś schroniska dla superarbitrowanych w Galicji albo wysłania mnie stąd przez Kozienice gdzieś do jakiejś „lekkiej służby”: czy to do komendy placu, czy też do jakiejś kompanii etapowej, gdyby się okazało niedopuszczalnym udzielenie w drodze normalnej przez Komendę Grupy urlopu do Wilna. Otóż chodzi mi o to, aby wówczas na wypadek takiej ewentualności, otrzymać przydzielenie do Piotrkowa do Departamentu, skąd z pomocą Sikorskiego, jak

[39] Tadeusz Wojciechowski, ułan 2 pułku ułanów II Brygady.
[40] Tadeusz Mieszkowski, legionista 1 kompanii 6 pp. III Brygady, ranny w październiku 1915 r.
[41] Druksberg – brak bliższych danych.
[42] Pająk – brak bliższych danych.
[43] Kędzierski – brak bliższych danych.
[44] Milner – brak bliższych danych.
[45] Tokarczyk – brak bliższych danych.
[46] Szaja Weissblat – brak bliższych danych.

mi to sam obiecał, mógłbym znaleźć inny sposób dostania się do Wilna. Niebezpieczeństwo zaś zachodzi to, że mogę być zupełnie nieoczekiwanie i niespodziewanie przydzielony i wysłany gdzieś indziej, skąd już trudniej będzie wyrwać się do Piotrkowa, niż teraz, kiedy jeszcze nigdzie przydzielony nie jestem. Przychodzi mi więc na myśl obronić się od tego w ten sposób, żeby Sikorski sprowadził mnie już teraz z Kamieńska do Piotrkowa, abym już tam, przy Departamencie, czekał na decyzję Komendy Grupy w sprawie mego urlopu czy czegoś innego. Wówczas byłbym względnie bezpieczny; o ile bym nie dostał z Komendy urlopu, byłbym już pod opieką Sikorskiego, który by się w każdej chwili mógł postarać o przydzielenie mnie do Departamentu na stałe. Tylko i wyłącznie z tego stanowiska, to znaczy ze względu na umożliwienie sobie dróg do Wilna, reflektuję ewentualnie na przydzielenie mnie do Departamentu. Być bowiem na stałe agentem czy współpracownikiem Departamentu nie bardzo sobie życzę. Wolałbym wszelką inną formę udziału w Legionach albo, jeżeli już w polityce legionowej, to w postaci samodzielnego współczynnika, nie zaś podległego wykonawcy; ale o to z wielu względów trudno; gdyby kierownictwo Sprawy było w Warszawie, byłoby mi o wiele łatwiej wziąć w nim polityczny udział. W Departamencie Wojskowym, będąc przydzielonym do niego, mógłbym być tylko wykonawcą. Akcja Departamentu w całym swym zakresie, nie wyłączając samego werbunku, jest wybitnie polityczna; co zaś do jej konkretnego kierunku, to się na takowy pod wielu względami nie godzę, tak w stosunku do samej sprawy polskiej jako takiej, jak zwłaszcza w stosunku do tendencji względem Litwy. Sama sprawa werbunku, jedna z kapitalnych w tej chwili i to taka, która dziś może najjaskrawiej dzieli NKN od obozu niepodległościowego Warszawy, nie jest dla mnie zupełnie jasna i bynajmniej nie budzi kategorycznego przekonania na rzecz stanowiska, zajętego przez NKN i Departament Wojskowy. Szczególnie zaś mało mam zaufania do polityki dr Kota, kierującego tak odpowiedzialnym i ważnym działem jak prasa. Spotkała mnie w Piotrkowie przykrość, która podziałała źle na moje nerwy i zatruła mi cały pobyt. Mianowicie przechodząc ulicą Kaliską, której na ogół unikam, aby jak najmniej spotykać oficerów i w ogóle wszelkich szarż, ominąłem jakiegoś młodego legionistę, prawdopodobnie jakiegoś sierżanta, bo miał pas i szablę; kołnierza widać nie było, bo płaszcz go zakrywał, spojrzałem na niego i nie salutowałem mu. My bowiem na ogół podoficerów nie salutujemy; jest w tej mierze pewna nieokreśloność; niby w armii austriackiej jest zasada, która formalnie i nas obowiązuje, salutowania wszelkiej szarży; skądinąd jest zwyczaj, przynajmniej w I Brygadzie, podobno oparty na jakichś zaleceniach dawniejszych, pochodzących od naszych władz własnych, o nieobowiązkowości takiego salutowania; bywały wypadki, że podoficerowie austriaccy upominali się o to salutowanie, ale zwykle nie zwracają na to uwagi; co zaś do podoficerów naszych, legionistów, to właściwie zachodzi między nami równość ogólnego koleżeństwa legionowego; słucha się ich rozkazów służbowych, ale poza tym w stosunkach jest się na stopie równości. Tymczasem gdym go minął, usłyszałem okrzyk „Obywatelu!”. Zawróciłem i podszedłem do niego, salutując go oczywiście wówczas. Był to smyk lat do 18. Nie zdarzyło mi się nigdy, aby mnie na ulicy nawet oficer zaczepił, a tu smyk – mnie starszego znacznie, poważnego, spytał, dlaczego go nie salutowałem, skąd jestem i jak się nazywam. Nazwisko moje zapisał sobie w notesiku. Mówił głosem równym, ale jak przełożony do podwładnego. Musiałem go słuchać w postawie na baczność. Po zapisaniu mego nazwiska powiedział mi, abym się zgłosił jutro do komendy placu. Powiedziałem, że będę tam dla wymeldowania się przed odjazdem. Na zakończenie tak mi powiedział: „Tam Was nauczą, jak trzeba salutować szarże, zwłaszcza gdy są w służbie” (widocznie był w służbie, o czym miał świadczyć pas).

11 lutego, rok 1916, piątek
Jeszcze słówko o tym przykrym zajściu wczorajszym z sierżantem Legionów. Już samo zatrzymanie mnie na ulicy i notowanie nazwiska mego było mi przykrym. Dotąd nigdy mi się to nie zdarzyło, choć nieraz nie spostrzegłem lub nie poznałem nawet jakiegoś oficera, a podoficerów, w myśl zwyczaju I Brygady i w ogóle większości, nie salutowałem na ulicy nigdy. A tu jakiś młokos, gołowąs 17- lub 18-letni, i nawet nie Austriak, ale nasz, legionista, zatrzymuje mnie, starszego wiekiem, sędziwego wobec niego i opierając się na formalizmie wojskowym, upokarza mnie i ma nawet moc sprowadzenia na mnie kary. Bo taka jest wojskowość; bo ja, Michał Römer, jestem w Legionach prostym szeregowcem, gdy on jest szarżą, jest podoficerem. „Zgłosicie się jutro w komendzie placu, tam was nauczą, jak trzeba salutować szarże, zwłaszcza w służbie". Te słowa paliły mnie bólem upokorzenia; bunt rósł we mnie, ale świadomością mego charakteru wojskowego musiałem się poskromić i wysłuchać posłusznie. Wiedziałem też, jakie są w perspektywie tego konsekwencje. Ów sierżant opowie o zajściu w komendzie placu; gdy się tam dziś zgłoszę dla wymeldowania mej marszruty przed wyjazdem z Piotrkowa, będę musiał wysłuchać wymówki, a prawdopodobnie polecenia, abym się w Kamieńsku zgłosił do raportu po wymierzenie mi kary. Nigdy nie stawałem dotąd do raportu, toteż na samą myśl o tym palił mnie wstyd. Ta kwestia salutowania jest dla mnie jedną z najprzykrzejszych w wojskowości. Przez cały wieczór wczorajszy i ranek dzisiejszy byłem pod przykrym wrażeniem tego zajścia. Żebym to przynajmniej zawinił wobec jakiegoś wyższego oficera, to czułbym wagę sprawy, ale tu podoficer, sierżancik kilkunastoletni, który w Legionach naszych jest zgoła równy ogółowi legionistów poza sferą rozkazywania służbowego. I taki na tyłach stawia się, domaga salutowania, zatrzymuje mnie jak byle błazna i wykazuje swą moc wykonywania nade mną represji. I po tym mogę być przez to stawiany w gromadzie rozmaitych awanturników do raportu karnego, karany, publikowany w rozkazie dziennym. Z przykrym uczuciem szedłem dziś do komendy placu dla wymeldowania się. Tymczasem nic mi o tym zajściu nie wspomniano. Chyba że ów sierżant nie zaskarżył mnie wcale. Obawiam się wszakże, że zrobi to później i że komenda placu gotowa się z tym zwrócić do komendy Domu Rekonwalescentów dla ukarania mnie. Wprawdzie to drobiazg, o który nie warto się komendom fatygować, ale przychodzi mi na myśl, że może to ja sam musiałem zaskarżyć siebie przy zgłoszeniu się do komendy placu, a że tego nie uczyniłem, to może mi być poczytane za chęć wykręcenia się i zatajenia rzeczy, co by „winę" moją zwiększało. Cała ta rzecz to wielkie głupstwo, ale dla mnie przykre, bo upokarzające bezcelowo. Dość o tym. Pułkownik Sikorski ani nawet dr Kot nie wrócili jeszcze z Warszawy. Pociągiem o godz. 3 po południu wyjechałem z Piotrkowa. W Kamieńsku doszła mnie przyjemna wiadomość, że ten transport superarbitrowanych, który stawał do superrewizji 17 stycznia, otrzymał już urlopy i dziś wyjeżdża do domu. Każdy taki odchodzący urlopowany transport zbliża dzień rozstrzygnięcia mego losu i ewentualnie mego wyzwolenia. Teraz już przed nami zostaje tylko jeden transport, z dnia 24 stycznia, a za nim z kolei następuje już nasz. Może już za tydzień, za dni 10, najwyżej za dwa tygodnie – przyjdzie rozwiązanie dla nas. Oby było one dobre dla mnie! Oby przyniosło mi bez nowych przejść i zwłok urlop do Wilna!
Teraz wrócę jeszcze nieco do mojego pobytu w Piotrkowie. Nocowałem tam i większość czasu spędziłem u staruszków Skwierczyńskich, moich gościnnych gospodarzy kwatery z czasów mego letniego pobytu w Piotrkowie. W Departamencie Wojskowym byłem tylko dwa razy w biurze prasowym u p. Zenona Wierzchowskiego. Mało tam znajomych widziałem. Oprócz Wierzchowskiego, spotkałem się tam ze

znajomych moich z Marianem Dąbrowskim[47], korespondentem z placu boju Legionów, przydzielonym w tym charakterze do sztabu I Brygady, i z posłem socjalistycznym Rygierem[48] ze Śląska austriackiego. Od Wierzchowskiego dowiedziałem się z wielką przykrością, że listu tego, który był dla mnie przywieziony z Wilna przez Šaulysa do Feldmana, jaki mi on sam później pisał, przesłany na ręce dr Kota, dr Kot nie otrzymał wcale. Przypuszczam, że był to list od Maryni, dla mnie niezmiernie ważny jako jedyna wiadomość od rodziny, jedyne źródło zaspokojenia męczącej mnie niepewności o tym, co się stało z Papą, z Marynią i jej dziećmi, z Komorowskimi, z Bohdaniszkami, ze wszystkim, co mi jest tam drogie. Zresztą same słówko od Maryni jako takie, niezależnie od wiadomości, jest mi niezmiernie drogie. Niepowetowana szkoda, że list ten, jedyny, kochany, zaginął.
Od Wierzchowskiego słyszałem potwierdzenie tego, co mi już Kulczycki w Krakowie mówił o Wilnie, że Niemcy, o ile tylko linia na froncie rosyjskim nie zostanie dalej na wschód przesunięta, przeznaczają Wilno i całą okupowaną część Litwy, poza litewskim terytorium etnograficznym, do zwrotu Rosji, rezerwując natomiast dla siebie na rzecz aneksji Kurlandię i całą Litwę etnograficzną włącznie z Suwalszczyzną. Wniosek ten opiera się tak na wyrażanych stale opiniach i dezyderatach niemieckich w Berlinie, jak na całej metodzie okupacyjnych rządów niemieckich w tych częściach kraju. W Kurlandii i Litwie etnograficznej sprawują Niemcy stały system zarządu i rzekomo „faworyzują" element litewski, w Wilnie i wileńskiej części Litwy wszystko jest prowizoryczne.

12 lutego, rok 1916, sobota
Pozawczoraj w Departamencie Wojskowym w rozmowie z Wierzchowskim i posłem Rygierem znowu natknąłem się na temat kwestii werbunku do Legionów. Oczywiście, kwestia ta staje się coraz aktualniejsza i coraz bardziej zaznacza rozdział między Galicją a Królestwem Polskim. Galicja, reprezentowana w sferze sprawy niepodległościowej przez N.K.N., stoi kategorycznie na gruncie Legionów. Konsolidacja, świeżo dokonana w Galicji przez zgłoszenie wstąpienia socjalistów do Koła Polskiego i konserwatystów wschodnio-galicyjskich Podolaków do N.K.N., opiera się na haśle samodzielnego Królestwa Polskiego w związku z monarchią habsburską[49]. Forma tego związku nie jest z góry określona, natomiast w pojęciu tego hasła zastrzeżona jest niepodzielność obecnego Królestwa oraz Galicji, mających tworzyć razem owe przyszłe Królestwo Polskie. N.K.N. określił się więc całkowicie na gruncie realizacji niepodległości (samodzielności państwowej) Polski w ramach mocarstwowej państwowości habsburskiej. Legiony są hasła tego wyrazem i czynem. Wszystko się tu opiera na wierności Franciszkowi Józefowi i zaufaniu do Austrii. Dzieło Legionów jest rozwijane do największych rozmiarów. Obecnie tworzona jest IV Brygada i werbunek jest forsowany. Inne są natomiast prądy niepodległościowej sprawy w Królestwie. Tam

[47] Marian Dąbrowski (1882-1925), od 1905 r. w Organizacji Bojowej PPS, od września 1914 r. w oddziale Piłsudskiego, redaktor wydawnictw w komisariacie PON w Jędrzejowie i Kielcach, następnie w NKN jako komisarz werbunkowy i członek biura prasowego. W kampanii 1915 r. oficer ordynansowy i korespondent wojenny przy sztabie I Brygady Legionów. Od lipca 1916 r. korespondent wojenny 5 pułku piechoty I Brygady. Po kryzysie przysięgowym 1917 r. referent prasowy w Komisji Wojskowej Tymczasowej Rady Stanu. W Polsce niepodległej, 1 czerwca 1919 r., zweryfikowany do stopnia majora.
[48] Pomyłka Römera: posłem tym był Tadeusz Reger (1872-1938), działacz socjalistyczny na terenie Śląska Cieszyńskiego, poseł do parlamentu wiedeńskiego, żołnierz Legionów. W Polsce niepodległej poseł na Sejm, członek Rady Naczelnej PPS.
[49] W marcu 1916 r. zlikwidowano spór kompetencyjny między NKN a Kołem Polskim. NKN miał pozostać przy działalności związanej z Legionami i werbunkiem do nich w Królestwie, wszystkie inne zagadnienia polityczne zastrzeżono dla Koła.

coraz bardziej zaznacza się front antyniemiecki. Legiony są czynem zwróconym przeciwko Rosji, ale tylko przeciwko niej. Ich formacja w łonie organizacyjnym armii austriackiej, ich przysięga stanowczo wykluczają możność użycia ich przez naród do czegoś innego, niż do walki z Rosją. Są one nie wojskiem narodowym, które naród dowolnie użytkuje na poparcie swej polityki i na swoją obronę, ale właśnie Legionem Polskim w wojnie Austrii z Rosją. Otóż w Polsce, w miarę jak niebezpieczeństwo rosyjskie, po klęskach Rosji i wyparciu jej z ziem polskich na wschód, maleje, wyrasta coraz groźniej w opinii publicznej sfer niepodległościowych niebezpieczeństwo inne, mianowicie niebezpieczeństwo nowego podziału ziem polskich w Królestwie między Austrią i Niemcami; walka germanizmu ze światem słowiańskim i polskim jest znana, niemieckie hasło „Drang nach Osten!" jest najrealniejszą konkretną rzeczywistością, eksterminacyjne metody germanizacyjne są aż nadto na przykładzie Poznańskiego znane i zawsze groźne, a tymczasem zamiary Niemiec co do Królestwa pozostają wciąż utajnione i niewyraźne; polityka okupacyjna rządów niemieckich nie budzi zaufania do ich intencji, niszczenie przemysłu polskiego, ogałacanie kraju, przemycanie swoich prądów wewnątrz społeczeństwa, gra na Żydach, działalność Cleinowa itd. nie wróżą nic dobrego i budzą niepokój w narodzie, szerzą obawy, że Niemcy mogą pożądać choćby części Królestwa. Niebezpieczeństwo to jest zupełnie realne, a brak jakichkolwiek urzędowych oświadczeń i zobowiązań ze strony mocarstw centralnych w sprawie prawno-państwowej przyszłości Polski, brak naturalny wprawdzie w stosunku do ziem okupowanych na wojnie podczas jej trwania, ale nie mniej nie przesądzający żadnych możliwości, nie wyłączając możliwości prostej aneksji, nie może zachęcać narodu do jakichś ofiar na rzecz niewiadomego, zwłaszcza gdy w tym niewiadomym tkwią pewne elementy jawnie niebezpieczne i budzące obawę. Legiony zaś nie mogą w żadnym razie być użyte przeciwko temu niebezpieczeństwu, gdyby ono kiedyś miało się w kształty rzeczywistości oblec. Ofiara ta mogłaby się opierać tylko na wierze i zaufaniu, a wiary tej Niemcy ani swym postępowaniem obecnym, ani całą swoją poprzednią polityką polską w narodzie polskim nie budzą. N.K.N. zastępuje to wiarą do Austrii i do Habsburgów, ale Królestwo wiary tej nie ma. Dopóki na pierwszym planie stało niebezpieczeństwo rosyjskie, dopóty Legiony były przez cały niepodległościowy obóz, przynajmniej przez jego część radykalną (formacje Unii i Konfederacji z roku zeszłego) uznawane za czyn jedyny i popierane bezwzględnie. O ile niebezpieczeństwo to (rosyjskie) trwa jeszcze, o tyle Legiony są wciąż za taką broń niepodległościową uznawane. Że niebezpieczeństwo to nie ustało zupełnie, o tym się w Królestwie wie w obozie niepodległościowym, toteż bynajmniej się Legionów nie odrzuca jak cytrynę, która już swój sok wydała i stała się śmieciem. Są one nadal cenione i są ukochane w aureoli swego bohaterstwa i męczeństwa. Ale w stosunku do nowego narastającego niebezpieczeństwa, które w pewnej chwili może przerosnąć niebezpieczeństwo rosyjskie, po jego zwalczeniu ostatecznym – Legiony obecne skutecznymi nie są. Są one bronią narodową i czynem tylko wobec Rosji. Gdyby można było Legiony przez werbunek zwiększyć do takiej liczby, żeby się stały potęgą, z którą by się musiały państwa centralne liczyć lub gdyby były one w stanie pozyskać charakter armii narodowej polskiej, niezależnej faktycznie, służącej polityce zorganizowanego narodu i uznanej formalnie za taką przez Austrię i Niemcy, wówczas cały obóz niepodległościowy w Królestwie stanąłby na gruncie werbunku, a nawet dążeń do zasady rekrutacji przymusowej. Wówczas bowiem naród miałby w ich sile najpewniejszą gwarancję swych praw i dążeń. Tak jednak nie jest. Co zaś do ich zadania w obecnej postaci, to oczywista, że od zwiększenia ich o jakichś kilka tysięcy nie będzie zależało ustanie niebezpieczeństwa rosyjskiego. Niebezpieczeństwo rosyjskie wyrośnie lub ustanie bez względu na ilość wojska legionowego, a Legiony,

bez względu na swą ilość, zadanie swe czynem przeciwko Rosji spełniają i spełniać będą. Dlatego Królestwo stanęło przeciwko werbunkowi.

13 lutego, rok 1916, niedziela
Na punkcie werbunku do Legionów rysuje się i stopniowo pogłębia konflikt między N.K.N-em i polityką galicyjską, polityką urzędowej reprezentacji Legionów z jednej strony a niepodległościową opinią Królestwa z drugiej. N.K.N. forsuje sprawę legionową do ostatka, do najdalszych konsekwencji, podczas gdy niepodległościowe koła Królestwa wraz z P.O.W. (Polską Organizacją Wojskową) i Piłsudskim, żywiąc cześć i uznanie dla Legionów, uważają je za jedno, ale nie jedyne narzędzie czynu niepodległościowego. Uznając Legiony za skuteczny czyn w stosunku do frontu rosyjskiego, dostrzegają zarysowujące się groźnie inne niebezpieczeństwo, płynące z frontu pruskiego, do walki z którymi naród winien się gotować, natomiast Legiony skutecznymi być nie mogą. Wobec tego niepodległościowcy Królestwa nie uważają za potrzebne wyczerpywać wszystkich sił do Legionów i chcą je rezerwować do innych zadań obrony narodowej. Nie widzą potrzeby dawać wszystko bezwzględnie do współakcji z państwami centralnymi, gdy te nic ze swej strony sprawie polskiej nie dają. I charakterystyczne jest to, że w samych Legionach, w ich masie żołnierskiej szerzą się coraz bardziej poglądy zbliżone do stanowiska niepodległościowych kół Królestwa. Legioniści w koncepcjach swoich nie idą za kierunkiem swej urzędowej reprezentacji politycznej (N.K.N.), ale raczej oddalają się od niego, wiedzeni instynktem za myślą przewodnią swego istotnego wodza ideowego, Piłsudskiego. Wyrasta rozdźwięk w kierunkach niepodległościowej sprawy między Galicją i Królestwem, a to, co służy tutaj przedmiotem rozdźwięku, staje się jednocześnie elementem łączącym wewnątrz Królestwa różne, rozbieżne dotąd, kierunki czy też orientacje niepodległościowego sztandaru. Te bowiem grupy w Królestwie, które stały za czasów sukcesów rosyjskich, za czasów panowania moskiewskiego na ziemiach polskich, w pierwszym okresie wojny r. 1914-1915, całkowicie na stanowisku czynu legionowego, obecnie zawieszając werbunek do Legionów i uznając w nich tylko jedną z form czynu, służącą jednemu, ale nie wszystkim wyłącznie, zadaniom sprawy niepodległościowej, zbliżyły się do tych grup z byłego tzw. Bloku Niepodległościowego, które, wyrażając dla Legionów uznanie i nie odmawiając im pewnego praktycznego znaczenia, nie zdecydowały się nigdy na uznanie w nich jedynego i całkowitego czynu niepodległościowego (państwowotwórczego). Zawieszenie więc werbunku przez radykalnych niepodległościowców Królestwa wraz z tymi założeniami ideowymi, na których się to zawieszenie opiera, wpływa konsolidująco na całą opinię niepodległościową w Królestwie. Zawieszenie to zostało ogłoszone przez zjednoczone stronnictwa niepodległościowe w Królestwie[50], zostało też proklamowane i w czyn wprowadzone przez P.O.W. za sankcją Piłsudskiego i zostało też potwierdzone w uchwale tajnego zjazdu PPS, jak się o tym dowiaduję z partyjnego pisemka „Łodzianin"[51], wydawanego oczywiście nielegalnie, które mi tu wpadło do rąk. Oczywiście, że umiarkowane grupy niepodległościowe z takim np. „Dziennikiem Polskim" (obecnie „Kurierem Polskim") Straszewicza w Warszawie, muszą jeno witać przyjaźnie ten kierunek w stanowisku grup radykalnych. Jeszcze raz podkreślam z naciskiem, że zawieszenie werbunku nie jest ze strony niepodległościowców Królestwa opuszczaniem sztandaru legionowego, a tym mniej

[50] Chodzi o decyzje podjęte przez powołany 18 XII 1915 r. Centralny Komitet Narodowy, powstały z przekształconego Komitetu Naczelnego Zjednoczonych Stronnictw Niepodległościowych.
[51] „Łodzianin", czasopismo Polskiej Partii Socjalistycznej – Frakcji Rewolucyjnej wydawane w Łodzi w l.1915 -1918.

zaparciem się ich. Legiony pozostają dla nich nadal ukochanym serdecznie dziełem, jedynym czynem konkretnym, który zapłonął błyskawicą woli, wznowił tradycję bohaterstwa, stworzył realną wspaniałą formę ruchu, unieśmiertelnił ducha żywego Wolności i dał w narodzie podstawę jego odrodzenia jak wielki wstrząs życia w letargu, płodny nieskończenie w skutki. Legiony – to wspaniały epos żywego czynu, ukochany, krwią serdeczną kwiatu narodowego uświęcony. Sprawa dalszego do nich werbunku w dzisiejszych okolicznościach politycznych wojny nie przesądza stosunku do dokonanego przez nie dzieła i jest jeno metodą polityki narodowej na dziś, a poniekąd tylko kwestią manewru politycznego. Dla mnie kwestia ta nie jest jeszcze zupełnie wyraźna, bo choć uznaję w dużym stopniu motywy zawieszenia, to jednak, po pierwsze, tworzenie kadrów rezerw militarnych, próbowane, zdaje się, przez P.O.W., wydaje mi się w warunkach wojny i okupacji konkretnie niewykonalne, o ile rzekomo z tego ma wyróść jakaś siła realna rzeczywistej kadry i rezerwy, a po wtóre, gdyby zawieszenie werbunku miało być w całej rozciągłości wykonane, Legiony, pozbawione wszelkiego do nich dopływu, musiałyby uschnąć i zamrzeć, a wtedy żadne ich uznanie i ukochanie nie uratowałoby ich dzieła od zaniku w pół drogi, co by się równało ich bankructwu. Tu więc rzecz wymaga wielkiej ostrożności i rozwagi. Trzeba tu się bardzo liczyć z mądrą maksymą: „*est modus in rebus*". Oby tylko ten „modus" był tu zachowany. Zawieszenie werbunku przez organizacje wewnętrzne Królestwa nie oznacza zawieszenia go faktycznego. Ci, którzy mają werbunek ten w ręku – to znaczny N.K.N. i zwłaszcza Departament Wojskowy – werbunku nie zawieszają bynajmniej. Przeciwnie – forsują go całym, pełnym wysiłkiem, zamykając całą sprawę niepodległościową w tym czynie – czynie Legionów. Stoją oni niewzruszenie na legionowym stanowisku, jak wierna do ostatka gwardia Idei. Departament Wojskowy, którego głównym zadaniem werbunek, jest oczywiście w samym środku, w samej osi werbunkowego konfliktu. Sikorski i wszyscy współpracownicy jego wraz z prasą Departamentu forsują werbunek i walczą z polityką antywerbunkową. Zresztą prasa Departamentu zamilcza fakt zawieszenia werbunku przez organizacje Królestwa. Sikorski na zebraniu oficerów werbunkowych, odbytym niedawno, przedstawił następujące cyfry ruchu ubytkowego i przybytkowego w Legionach: ubytek superarbitrowanych wynosi przeciętnie miesięcznie 200 ludzi (zdaje się, że to liczba przesadzona, a zresztą nie wszyscy superarbitrowani są straceni bezwzględnie) i w drodze dezercji z szeregów legionowych (głównie przechodzenia do c.k. armii) – 150 ludzi, czyli razem z tych dwóch rubryk 350 ludzi miesięcznie (nie licząc zabitych, wziętych do niewoli i zmarłych z ran), werbunek zaś daje miesięcznie 320 ludzi. Nie wydają mi się te straszne cyfry ubytku.

14 lutego, rok 1916, poniedziałek
Skład osobisty moich znajomości w Domu Rekonwalescentów się zmienia. Jedni wyjechali, za to przyjechali inni. Straciłem sympatycznego Gołygowskiego, wyjechali moi bezpośredni towarzysze z plutonu – Guc, Tobjasz, Eminowicz. Przyjechali za to inni. Przede wszystkim przyjechał sympatyczny Mars-Fijałkiewicz, najsympatyczniejszy i najbliższy mi po Grzmocie ze wszystkich moich kolegów plutonowych. Ucieszyłem się szczerze z jego przyjazdu, choć w pierwszej chwili nie mogłem go poznać: sam nie wiem dlaczego, bo pamiętałem go przecie dobrze i na twarzy się Mars nie zmienił; ubrany jest tylko teraz porządniej, niż był w linii, sprawił sobie mundur i wszystko nowe. Przyjechał z Nowego Targu, ze szpitala, gdzie dłuższy czas spędził. Tutaj lekarz uznał go za zdolnego do lekkiej służby bez broni i wyznaczył mu pobyt w Kamieńsku do 29 II. Zdaje się, że teraz lekarze nasi w Kamieńsku starają się jak najbardziej ograniczać przeznaczanie legionistów do superrewizji i sami bez superrewizji kwalifikują wielu do lekkiej służby bez broni, a robią to w tym celu, aby

przeszkodzić poborowi legionistów do c.k. armii austriackiej; superarbitrowani bowiem, uznani za zdolnych do lekkiej służby bez broni, dostają urlop, a później są z urlopu zabierani do austriackiego wojska; teraz więc lekarze nasi wprost sami kwalifikują do lekkiej służby, nie posyłając do superrewizji, a potem ci zakwalifikowani wysyłani są stąd bezpośrednio, nie dostając urlopu, do Kozienic do rozporządzenia Komendy Grupy, która ich przydziela do różnych etapówek i garnizonów przy komendach placów. Mars jest wciąż chory na płuca, ale gruźlicy, na szczęście, nie ma. Zalokowano go na sali chorych, to znaczy, że jesteśmy razem. Bardzo się cieszę, że go mam przy sobie. Lubimy się obaj wzajemnie. Ucieszyło mnie to, że Mars także nie wierzy w rzekomą dezercję Grzmota. Opowiedziałem mu o Grzmocie to, co mi Kram mówił. Mars jest stanowczo przekonany, że tu zaszedł jakiś inny, niewyjaśniony wypadek, ale w żadnym razie nie dezercja. Znał on i lubił Grzmota; oceniał w nim doskonały materiał na żołnierza, jego bystrość, spostrzegawczość, inteligencję, żywość umysłu i wybitne poczucie honoru, toteż uważa dezercję z jego strony za wykluczoną, a nawet samo podejrzenie za uwłaczające jego czci i pamięci. Mars sam jest tak szlachetny, że się po prostu brzydzi kalać posądzeniem człowieka, którego cenił, lubił i szanował. Jest to dla mnie pocieszające w tej przykrej i skalanej brzydkimi domysłami nieszczęsnej tajemnicy biednego Grzmota.
Przyjechał tu także do Kamieńska Sidorowicz[52], Wilnianin, mój dawny znajomy, jeden z nielicznych Wilnian w Legionach; jest teraz ułanem-beliniakiem; przyjechał w końcu lata drogą na Szwecję i we wrześniu do Legionów wstąpił. W linii był krótko, bo się głównie ćwiczył jeszcze i tylko przez parę tygodni pełnił służbę meldunkową konną w linii („Meldenreiter"); od grudnia był w szpitalu w Lublinie. Jest to zresztą człowiek płytki, niewielkiej wagi, doskonały wzór kawiarniany, który, zdaje się, więcej dla sensacji i wrażeń, niż dla czego innego do Legionów stąpił i który, zdaje się, w Legionach specjalizować się będzie w typie obijacza. Sidorowicz przed kilku laty skończył szkołę średnią w Wilnie, należał do młodzieży narodowej, został endekiem zdaje się nawet partyjnym; w ostatnich latach był studentem, ale zawsze próżniaczył, do niczego się systematycznie nie zabierał, na niczym się nie skupiał, tłukł się po kawiarniach, a w Wilnie to już stale przesiadywał u Sztrala[53]. Sidorowicz zalokował się także na sali chorych. Choć to Wilnianin, ale mała z niego dla mnie pociecha; zresztą choć wyjechał z Wilna znacznie później ode mnie, w sierpniu, nic nowego nie był w stanie mi o Wilnie opowiedzieć. Nie jest to osobnik poważny, choć nadaje sobie pozory sensata. Bawi się w sceptyka kawiarnianego, który niby to wszystko zgłębił i do wszystkiego jest usposobiony krytycznie. Był tak samo sceptykiem moskalofilstwa endeckiego, jak Legionów. Przyjechało tu też przed dwoma dniami kilku z sali czternastej ze szpitala krakowskiego moich krakowskich towarzyszy szpitalnych, a więc ułani Bończa[54], Beliniak z Królestwa, dalej Sondej[55] z III szwadronu (II Brygady) i Prus-Mitkiewicz[56] ze szwadronu przy pułku IV rodem z Kowieńszczyzny. Sympatyczni to, mili ludzie, a Prus-Mitkiewicz poza tym inteligentny i robiący wrażenie człowieka dość subtelnej kultury. Zresztą, jak zwykle, ułani są elementem inteligenckim przeważnie i trochę paniczykowato-arystokratycznym w naszej rodzinie legionowej, w której piechociarze, sól i jądro wojska, stanowią masę demokracji strzeleckiej. Sondej, a

[52] Prawdopodobnie Edward Sidorowicz z 1 pułku ułanów I Brygady.
[53] Kazimierz Karol (zm. 3 III 1927) i Bolesław (1864-1923) Sztralowie, właściciele najbardziej modnych w 1 poł. XX w. kawiarni w centrum Wilna: „Białego", „Czerwonego" i „Zielonego Sztrala".
[54] Zygmunt Karwacki-Bończa, z 1 pułku ułanów I Brygady, uczestnik legendarnego pierwszego patrolu ułańskiego Beliny-Prażmowskiego w sierpniu 1914 r., poległ 4 lipca 1916 r. pod Kostiuchnówką.
[55] Sondej, z 2 pułku ułanów II Brygady.
[56] Prus-Mitkiewicz, ze szwadronu przy 4 pp. III Brygady.

zwłaszcza Bończa, Prus-Mitkiewicz i czwarty ich towarzysz ułan Tylicki[57], którego ja już nie znałem, są wielce przygnębieni zamianą sympatycznego, zacisznego szpitala krakowskiego z jego wygodami, z uprzywilejowaną atmosferą „czternastki”, z poczciwą opieką zacnego dr Czaplickiego – na koszarowy nudny Kamieńsk, po którym się błąkają jak cienie, znudzeni, zniechęceni, źli. Bo też szpital krakowski na oddziale dr Czaplickiego (choroby wewnętrzne) i zwłaszcza sala „czternasta” – to był raj rzadki w warunkach życia żołnierskiego. Była to sala szarż podoficerskich i inteligentów, przesycona atmosferą kultury i wygodnego zacisza, a stosunki się tam utrwalały serdeczne i zażyłe.

15 lutego, rok 1916, wtorek
W Kamieńsku nic nowego. Nie mieliśmy dziś zwykłego wyjścia na miasto w godzinach popołudniowych z racji, zdaje się, wymarszu transportu do Kozienic oraz zarządzonego wieczorem apelu po wszystkich salach. Jak zwykle co dni 4-5, odszedł dziś nowy duży transport do Kozienic. Pomimo to liczba przebywających w Domu Rekonwalescentów nie zmniejsza się. Na miejsce odjeżdżających transportów przybywają wciąż liczne partie z różnych szpitalów. Na naszej sali dziś jakieś swary i niesnaski: zmienił się komendant sali; dawny komendant, kapral Tokarczyk, odjechał wczoraj do Opoczna; na jego miejsce wyznaczono jakiegoś sierżanta, który poprzednio na tej sali nie był i który, nie znając jej zwyczajów i rutyny, nie bardzo sobie daje radę i usiłuje rządzić się po swojemu. Są pogłoski, że pojechał stąd wysłaniec do Komendy Grupy do Kozienic po nasze papiery urlopowe. Powiadają, że w tych dniach przyjdą urlopy tak dla nas, jak dla poprzedzającego nas transportu z d. 24 stycznia i że już przed 20 lutego wyjedziemy. Daj Boże!
Z gazet dzisiejszych dowiedzieliśmy się o smutnym fakcie rozwiązania przez władze niemieckie Wydziału Oświecenia w Warszawie, który zasłużył sobie na chlubną kartę w organizacji szkolnictwa narodowego w tej ciężkiej dobie ogólnego przesilenia w Polsce. Dowiedzieliśmy się też z gazet, o czym już mówiono poprzednio, o dokonanym ustąpieniu Durskiego ze stanowiska naczelnego szefa Legionów i objęciu tego stanowiska przez generała Puchalskiego[58]. Puchalski jest generałem austriackim, do Legionów nie należał dotąd. Jego powaga w polskim ruchu niepodległościowym nie posiada żadnych tytułów narodowych. Królestwo jak nie uznawało za wodza Sprawy Durskiego, tak z pewnością nie uzna jakiegoś Puchalskiego. Nie wiem jeszcze, co to za osobistość, ale sądzę, że zmiana ta wypadnie na niekorzyść Legionów, bo do Durskiego bądź co bądź się już przyzwyczajono, a Puchalski przychodzi znowu jako ktoś obcy Sprawie i ruchowi, nowy, narzucony z ramienia Austrii. Jedyny istotny wódz czynu niepodległościowego, uznany w Polsce i zwłaszcza w Królestwie, uznawany też za takiego przez same Legiony – to Józef Piłsudski. Inni, którzy są nad nim, nie są za takowych przez Naród akceptowani. W rozkazie dziennym Puchalskiego, w którym

[57] Tylicki – bliższych danych brak.
[58] Stanisław Puchalski (1867-1931), oficer austriacki od 1887 r., w listopadzie 1914 r. generał-major; od 1 II-18 X 1916 r. komendant Legionów Polskich, następnie dowódca Wojskowego Okręgu Wojskowego w Przemyślu; po rozpadzie Austro-Węgier w listopadzie 1918 r. przechodzi w szeregi WP i zostaje mianowany komendantem Wojsk Polskich Galicji i Śląska. 4 XI 1918 r. wobec ataku Ukraińców na Przemyśl zostaje internowany i podpisuje rozkaz do oddziałów polskich nakazujący im opuszczenie miasta i pow. przemyskiego oraz oddanie ich Narodowej Radzie Ukraińskiej. Oddziały rozkazu nie wykonały, a Puchalski po zwolnieniu z internowania przez Ukraińców postawił się do dyspozycji władz wojskowych. Mianowany komendantem Szkoły Sztabu Generalnego (VI 1919), następnie kierował dywizyjnym Centrum Wyszkolenia w Lidzie (IX 1919), szef Departamentu I Broni Głównych i Wojsk Taborowych Min. Spraw Wojskowych (II 1920 - III 1921). Od III 1920 r. członek Rady Wojskowej. W XI 1921 r. na własną prośbę przechodzi w stan spoczynku. Dalsze losy nie są znane.

obejmuje on swoje stanowisko, mowa jest tylko o waleczności i bohaterstwie Legionów, o ich czynach wojskowych, o potrzebie coraz większego wydoskonalenia ich kultury militarnej, o przestrzeganiu karności, ale ani słowa nie wspomniano o Sprawie Polskiej i ideałach, którym Legiony służą. Nazwane są tam Legiony raz „oddziałami", drugi raz „hufcami polskimi", ale nie zaznaczone kategorycznie ich samodzielne odrębne stanowisko w formacji wojskowej. A przecie, choć nie są one właściwie narodowym wojskiem polskim, jednak nie są też organiczną pospolitą częścią austriackiej formacji wojskowej, jeno formacją specjalną i specyficzną – właśnie Legionem Polskim w austriackiej armii dla celów walki zbrojnej z Rosją.
Od czasu do czasu, o ile mi miejsce w dzienniku pozwala, wracam do notatek lub wspomnień ściśle legionowych. Dziś chcę nadmienić o organizacji żołdu w I Brygadzie. Jest to wprawdzie rzecz znana, która poza moim dziennikiem uwieczniona i z pewnością daleko dokładniej przedstawiona będzie. Pomimo to chcę o niej wspomnieć. Jest ona bowiem tak piękna i tak charakterystyczna dla obywatelskich tendencji I Brygady, dla „czerwonych" egalitarnych i zgoła nie militarystycznych zasad Piłsudskiego, że w dzienniku legionisty-piłsudczyka, żołnierza I Brygady, jest dla niej miejsce wskazane. Jak wiadomo, żołd legionistom wypłaca się przez Austrię z ogólnych funduszów budżetu wojennego. Oficerowie pobierają gażę, której wysokość zależy od posiadanej szarży (stopnia wojskowego). Podoficerowie i szeregowcy pobierają żołd, wypłacany dekadami na 10 dni z góry, którego wysokość również od szarży zależy. Organizacja szarż w I Brygadzie, jak też ich odznaki są nieco inne, niż w wojsku austriackim. Tak w I Brygadzie stopnie zaczynają się od podporucznika (odznaki od podporucznika do kapitana włącznie – paski zygzakowate czerwone na kołnierzu z gwiazdkami oficerskimi odpowiednio do stopnia). Stopnie podoficerskie są w I Brygadzie trzy: starszy żołnierz (austriacki freiter), kapral czyli sekcyjny i sierżant. Starszy żołnierz ma jeden pasek czerwony na kołnierzu, naszyty poziomo, kapral – dwa, sierżant liniowy – trzy, sierżant zaś prowiantowy i rachunkowy – jeden pasek dokoła całego kołnierza wzdłuż jego rantu. Szarżę sierżanta ma zarówno tzw. w I Brygadzie podoficer zafrontowy (w innych brygadach jest to plutonowy jako osobna szarża, niższa od sierżanta, odpowiadająca ściśle austriackiemu „Zugsführerowi"), jak też sierżant kompanijny (w austriackim wojsku feldfebel). Szarż pośrednich między podoficerskimi a właściwymi oficerskimi, istniejących w wojsku austriackim i w innych brygadach Legionów, mianowicie kadeta, aspiranta oficerskiego i chorążego – w I Brygadzie nie ma. Szarże oficerskie nadawane są w Legionach przez władze wojskowe austriackie (Naczelną Komendę Armii) na wniosek Komendy Legionów. Nie wszystkie faktyczne szarże w I Brygadzie odpowiadają szarżom i nominacjom urzędowym. Są u nas oficerowie, podporucznicy, którzy urzędowo oficerami nie są, a przynajmniej odpowiednich szarż urzędowo z tytułu nominacji austriackiej nie posiadają, są zaś inni, którzy urzędowo mają nominacje na szarże wyższe, niż posiadane przez nich w Brygadzie. Tak na przykład nasz komendant kompanijny Dąb-Biernacki, mający od dawna urzędową nominację na kapitana, jest w Brygadzie tylko podporucznikiem, a jest tak wiernym piłsudczykiem, że więcej ceni porucznikowstwo w Brygadzie, niż kapitaństwo urzędowe i sam się nie inaczej, jak podporucznikiem, mianuje i pisze. Dokończę jutro.

16 lutego, rok 1916, środa
Powiadam więc, że sama organizacja szarż w I Brygadzie nie odpowiadała ściśle ich organizacji austriackiej i szarże, faktycznie piastowane przez poszczególnych oficerów i podoficerów Brygady, nie zawsze odpowiadały nominacjom urzędowym. I Brygada stanowiła wewnątrz odrębny światek organizacyjny, różniący się nie tylko od wojska

austriackiego, ale też od innych brygad legionowych, całkowicie podległych Komendzie Legionów i w organizacji szarż upodobnionych organizacji wojska austriackiego (z tą tylko różnicą, że w Legionach nie są noszone odznaki tzw. jednoroczniackie). Gaża zaś i żołd wypłacane są z kasy austriackiej do kasy I Brygady podług urzędowego wykazu szarż, opartego na nominacjach i etacie urzędowych. Otóż w I Brygadzie mocą uchwały grona oficerskiego, jako korporacyjnej poniekąd reprezentacji Brygady, ustanowiona została zasada równej gaży oficerskiej bez różnicy szarż i równego żołdu szeregowców i podoficerów, także bez różnicy szarż. Utworzona została w ten sposób kasa oficerska i kasa podoficerska. Wszyscy oficerowie, od podporucznika do samego bodaj brygadiera, pobierali równą gażę w kwocie 100 koron miesięcznie, co zaś było ponadto, zostawało w charakterze funduszów oficerskiej kasy. Zdaje się, że później, bodaj że w jesieni r. 1915, kwota gaży oficerskiej podniesiona została, o ile wiem do 150 koron miesięcznie. Wszyscy zaś podoficerowie, tak sierżanci, jak kaprale i starsi żołnierze, pobierali żołd równy z szeregowcami w kwocie 9,60 na dekadę, tj. na dni 10. Zaoszczędzona nadwyżka żołdu podoficerskiego zasilała fundusze kasy podoficerskiej. Kiedy właściwie i jak zapadła ta uchwała, jak ta organizacja powstała, kto zarządzał kasami oficerską i podoficerską i na co używane były ich fundusze itd. – tego dokładnie nie wiem. Nie o to mi zresztą chodzi. Organizacja ta będzie z pewnością w swoim czasie opisana i dokładnie znana w dziejach I Brygady; nie potrzebuje ona niekompetentnego kreślenia jej ścisłych kształtów w moim dzienniku legionisty-szeregowca. Chodzi mi tylko o naszkicowanie samej zasady, samej metody ideowej w tej ciekawej organizacji. Wiem tylko tyle, że z funduszów kasy podoficerskiej, utworzonych przeto z niewypłaconej nadwyżki żołdu podoficerskiego, wypłacano w I Brygadzie po 30 koron gotówką każdemu szeregowcowi czy podoficerowi rannemu, odjeżdżającemu z linii do szpitala. Jeżeli zastanowimy się nad zestawieniem tylko tych dwóch faktów – wstrzymania nadwyżki żołdu podoficerów i użycia takowej na wypłatę premium dla rannych – to już widzimy sprawiedliwość i praktyczną mądrość tej zasady; za co bowiem pobiera podoficer – sierżant, kapral – wyższy żołd od szeregowca? Za szarżę swoją; potrzeby jego nie są koniecznie i zasadniczo większe od potrzeb szeregowca, zwłaszcza w Legionach, w wojsku ochotniczym i ideowym, którego żołnierze w znacznej ilości rekrutują się z inteligentów, z ludzi nieraz przywykłych do materialnego dostatku i w których zwykłym zjawiskiem jest, że szeregowcem jest adwokat, literat, dr filozofii, profesor, a kapralem czy sierżantem, jego bezpośrednim zwierzchnikiem jakiś uczeń gimnazjum z klasy VII lub VI, jakiś majster rzemieślniczy, jakiś wyrobnik nawet; wyższość żołdu – to premium za szarżę, ale skoro szarża stanowi, w myśl pierwotnych intencji Piłsudskiego w zbrojnym ruchu strzeleckim, różnicę funkcji, nie zaś zasługi i godności, która jest równą w obywatelskich szrankach rycerzy Wolności, to nie ma racji utrwalania tych różnic w zapłacie. O wiele większa jest racja premiowania męki żołnierza, bądź to szeregowca, bądź podoficera rannego. Poza tym, jest jeszcze wzgląd praktyczny i humanitarny. W linii wydatków się prawie nie ma, pieniądz ma małą wartość i użyteczność tak dla szeregowca, jak podoficera; wojna się toczy w kraju zniszczonym, gdzie się niewiele co znajdzie do kupienia i gdzie z samej natury warunków wojennych niepodobna sobie większą wyrobić wygodę pieniędzmi; tam podoficer jest w warunkach tych samych, co szeregowiec i nadwyżka żołdu mało dlań będzie bezpośrednio użyteczną; natomiast żołnierz ranny odjeżdżający do szpitala na tyły, będzie tam miał potrzeby, które się pieniędzmi opłacają, na tyłach bowiem pieniądze mają większą wartość użytkową; ogromna ilość legionistów nie ma prócz żołdu ani grosza; prawdziwym dobrodziejstwem i aktem rzetelnego humanizmu jest zaopatrzenie rannego żołnierza, odjeżdżającego z linii do szpitala, tą kwotą 30 koron,

która mu wiele ulży i osłodzi tam pobyt nieraz w bólu i męce. Co do kasy oficerskiej, to nie znam dobrze przeznaczenia jej funduszu. Wprawdzie stopa tej gaży, równa dla wszystkich szarż oficerskich, wynosi znacznie więcej od sumy trzech dekad miesięcznych żołdu żołnierskiego, co się tłumaczy tym, że jednak oficerowie mają przeciętnie wyższe potrzeby od masy żołnierzy i z konieczności, choćby ze względów reprezentacyjnych, muszą wydatkować więcej, to jednak i tu, w ramach ciała oficerskiego, jest ta sama obywatelska i egalitarna zasada Piłsudskiego, głosząca o różnicy funkcji, nie zaś zasługi obywatelskiej i wartości ludzkiej, nie podlegającej taksacji przez różnice zapłaty. W każdym razie, stopa tej egalitarnej gaży oficerskiej bez względu na szarżę w I Brygadzie, wynosząca 100 albo 150 koron, jest bardzo niewysoka. Zasada ta, tak w stosunku do oficerów, jak podoficerów, stosuje się tylko w linii, tam gdzie gaża i żołd przechodzą przez ręce urzędów Brygady. Zresztą zasada ta jest głównie w linii najwłaściwszą. Poza linią na tyłach, po szpitalach itp., dokąd już nie sięga władza Brygady i jej zasady, żołd wypłacany jest na ogół na zasadach austriackich. Ale w linii do końca r. 1915 w I Brygadzie przechowywała się ta zasada święcie. O jej rozkładzie, który niestety nadszedł – nie z winy I Brygady – dokończę jutro. Wyraził się w niej, jak w wielu innych rzeczach i stosunkach I Brygady „duch idealistyczny" i obywatelski „czerwonych" z Piłsudskim na czele.

17 lutego, rok 1916, czwartek
Powyższa, skreślona w dzienniku moim pod datą wczorajszą, organizacja poboru żołdu i gaży w I Brygadzie, piękna w swoich zasadach obywatelskich, o ile nie została wprowadzona jako norma ogólna w całym wojsku legionowym, mogła się utrzymać tylko na wysokiej moralności i duchu obywatelskim piłsudczyków, żołnierzy i oficerów Brygady. Brygada II i następnie III zasady tej u siebie nie przyjęły. Jak we wszystkim innym, tak i w tym względzie, Brygady II i III, tworzone pod egidą c.k. Komendy Legionów, przepojone duchem ścisłego lojalizmu austriackiego, wolne od tego powiewu powstańczego i obywatelskiego, który żywym tchnieniem Piłsudskiego przenikał szeregi I Brygady, zresztą zgodnie z klasyczną formalną strukturą Legionów jako hufców ochotniczych w łonie armii austriackiej, nie poszły bynajmniej po linii wzorów, kreślonych przez I Brygadę i zadowoliły się prostym zastosowaniem ogólnych norm austriackich. A ponieważ w ogóle elementy kierownicze Komendy Legionów i Brygad II i III traktowały dość nieufnie i zazdrośnie I Brygadę Piłsudskiego i nieraz wykradały jej ludzi do formujących się nowych pułków, premiując poniekąd dezercję z jej szeregów do szeregów innych Brygad, więc wszystkim malkontentom, którym stosowanie tej zasady o żołdzie i gaży w I Brygadzie nie dogadzało ich interesom osobistym, otwierała się łatwa względnie droga do ucieczki i zdobycia dla siebie lepszych warunków zapłaty osobistej. Dezercja ta, na prywacie oparta i z niej płynąca, musiała podkopywać stopniowo samą zasadę w I Brygadzie. Jeżeli zważymy jeszcze, że przy przejściu z I Brygady do innych, zwłaszcza zaś do III, stary doświadczony żołnierz-piłsudczyk o wiele prędzej mógł się dorobić awansu, niż w swej Brygadzie macierzystej, a miał tam zawsze żołd pełny, odpowiadający swej szarży, co dla ogromnej masy legionistów ma duże znaczenie, bo olbrzymia większość nic poza żołdem nie ma, a jeżeli otrzymuje jakieś zasiłki od rodziny, to tylko rzadko, dorywczo i skąpo – to zrozumiemy, jakie sidła prywaty były zastawione na obywatelską i humanitarną zasadę, ustanowioną w I Brygadzie i jakiego hartu moralnego, jakiego idealizmu szlachetnego i przywiązania do Brygady trzeba było w żołnierzach-piłsudczykach, zwłaszcza podoficerach i oficerach, aby wytrwać i oprzeć się pokusom prywaty. A jednak większość się oparła i wytrwała. Wypadki dezercji i ucieczki z Brygady, tak dla kariery, jak dla gaży i żołdu, zdarzały się ciągle, ale główna masa

gwardii Piłsudskiego zostawała niewzruszenie wierna. Dumą było i chlubą nie tylko wiernych oficerów Brygady, ale też sierżantów i skromnych kapralów, a nawet pospolitych wiarusów-szeregowców, że są piłsudczykami, żołnierzami I Brygady. Klejnotu tego nie oddaliby za szarżę i zapłatę; odchodząc z linii, ranni lub chorzy byli gryzieni troską, aby ich po wyjściu ze szpitala nie zabrano do pułków którejś innej Brygady. I w ten sposób, pomimo pokus, siłą samego tylko hartu moralnego, ta piękna zasada organizacji egalitarnego żołdu i gaży utrzymała się w I Brygadzie aż do końca 1915 roku, a więc przez długie szeregi miesięcy znoszonych trudów i ofiar na wojnie. Ale czynniki szkodliwe podkopywały zasadę i wreszcie ją podkopały. Musiała runąć. Nie tyle przez fakt dezercji z szeregów dla prywaty, ile przez narastające poczucie niesprawiedliwości, że tą drogą dezercja zostaje premiowana i że elementy karierowiczowskie i słabe, uchodząc z I Brygady do innych, zyskują na tym, podczas gdy wierni hartowni wiarusi muszą sami znosić konsekwencje idealizmu, ciężkie dla ich interesów prywatnych. Nie byłaby to jeszcze wystarczająca racja do skasowania pięknej instytucji, która już się stała tradycją Brygady, tradycją chlubną. Ale że już w tym czasie sam pierwotny urok Sprawy Legionów nieco się w świadomości legionistów rozluźnił i słabł, że w ogóle wiara w ich dzieło się zmniejszyła w porównaniu do siły wiary pierwotnej i że wreszcie skład osobisty Legionów, nie wyłączając I Brygady, zmienił się znacznie przez napływ masy surowego rekruta z werbunku roku 1915, więc ostatecznie instytucja powyższa przestała być tak drogą i szacowną żołnierzom. Stara wiara dziś już przeważnie składa się z szarż, z sierżantów, kapralów, ewentualnie starszych żołnierzy (frajtrów), masa zaś szeregowców w ogromnej ilości składa się już nie z tych pierwszych idealistycznych zastępów strzeleckich, ale z surowego rekruta różnych Lubliniaków itp. Dawniej idea Piłsudskiego o różnicy funkcji, nie zaś właściwych szarż, była żywą w poczuciu strzelców, bo wszyscy, od komendanta do szeregowców, tworzyli poniekąd jedną wielką rodzinę, jedno środowisko i zespół. Ale tego nowego rekruta z r. 1915 ogół starej wiary strzeleckiej za równego sobie nie uznaje. Wytworzył się więc większy przedział między starymi a masą rekrucką, przedział, który się też wyraża w zaakcentowaniu się różnicy szarż. Wskutek tego pryskać zaczęły egalitarne, obywatelskie konsekwencje z dawnych założeń, opartych na pierwotnych strzeleckich stosunkach. Te oto czynniki doprowadziły do upadku powyższej pięknej instytucji. O ile wiem, bodajże już w grudniu zniesiona została kasa podoficerska i że odtąd w I Brygadzie na linii żołd jest czy ma być wypłacany podług szarż, na modłę austriacką. Czy utrzymała się ta instytucja w stosunku do gaży oficerskiej, czy też także obalona została, tego z pewnością nie wiem.
Obszernie się o tym rozpisałem, ale nie żałuję tego. Jutro, jeżeli mi nic innego nie przeszkodzi, przejdę do kończenia charakterystyki poszczególnych moich kolegów z naszego plutonu, aby to już zakończyć.

18 lutego, rok 1916, piątek
Ongi był to dzień imienin Mamuśki naszej kochanej. Dziś Ona w grobie, ja daleko od swoich, wojna szaleje na ziemiach naszych, świat się przewrócił i wszystkie stosunki ludzkie wyrwane z posad katastrofą. Rozeszła się wczoraj pogłoska, że odtąd superarbitrowanych, tak całkiem zwolnionych od wojska, jak wyjeżdżających na urlop nieograniczony, będą tutaj na miejscu przebierać w strój cywilny, odbierając im całe umundurowanie i że niby teraz oczekują właśnie na sprowadzenie tego ubrania. Potem wieczorem mówiono już, że przybyło odzienie i nawet że widziano je w magazynie Domu Rekonwalescentów. Nie bardzo chcę w to wierzyć. Gdyby się to okazało prawdą, będę prosił, aby mi pozwolono odjechać w mundurze do Piotrkowa, gdzie mam moje własne odzienie cywilne i tam złożyć mundur. Dotąd superarbitrowani przyjeżdżali w

mundurze, a dopiero po przyjeździe na miejsce swego stałego pobytu musieli się przebrać. Jeżeli ktoś z nich chodził tam nadal w mundurze, to mu dopiero takowy odbierano i jeżeli własnego odzienia cywilnego nie miał, ubierano go w jakieś łachmany cywilne i tak puszczano. Pogłoska twierdzi, że teraz przebieranie to ma się odbywać tu na miejscu, w tym celu, aby mundurów nie wywożono i nie przechowywano prywatnie w celu przywłaszczenia. Jest to tylko pogłoska, a że wśród superarbitrowanych, zdenerwowanych długim oczekiwaniem na papiery, rodzą się coraz nowe domysły na wytłumaczenie zwłoki w nadejściu papierów, więc też i tę pogłoskę na karb tych domysłów kładę i wielkiej wagi do niej nie przywiązuję. Pragnąłbym zachować mój mundur legionowy na pamiątkę, a zresztą nie chciałbym się poddać maskaradzie przebierania się w jakieś stare niezgrabne łachmany, które tu nam dać mogą. Tymczasem siedzimy tu i czekamy bez końca na te papiery. Jest jeszcze przed nami cały jeden transport superarbitrowanych, który stawał do superrewizji wcześniej od nas, bo 24 stycznia, i który musi być wcześniej od nas załatwiony, a który wciąż jeszcze na papiery czeka. Powiadają, choć to jest też tylko pogłoska, że kapitan Łuczyński ma ustąpić ze stanowiska komendanta Domu Rekonwalescentów i że stanowisko to ma objąć kapitan Wyrostek[59], znany i wybitny, wielce ceniony działacz społeczny ze Lwowa, człowiek światły, kulturalny i rozumny, posiadający najlepszą opinię w Legionach. Legioniści cieszą się z góry na tę zmianę, jeżeli takowa istotnie ma nastąpić i wróżą po niej jak najlepsze skutki dla stosunków w Domu Rekonwalescentów. Łuczyńskiego tu na ogół nie lubią i nie cenią. Już go kiedyś charakteryzowałem, toteż powtarzać się nie będę. Nie jest to zły człowiek, ale bez taktu i bez wielkiej inteligencji, potrzebnej dla takiego stanowiska.
Przyjechał tu dziś obywatel Bohun, kapral z I sekcji naszego dawnego plutonu. Nie byłem z nim nigdy w szczególnie bliskich stosunkach na linii i teraz też jest on dla mnie względnie bardziej obcy, niż inni z moich kolegów plutonowych. Jest w nim coś, co mi stosunek z nim utrudnia. Jest zarozumiałość i pewna pycha, pewna miłość własna zbyt wygórowana, które sprawiają, że w obcowaniu z nim może się z nim zbliżyć i zaprzyjaźnić tylko ktoś taki, kto mu będzie dogadzał i kadził. Kiedyś w Gorodku, po cofnięciu się naszym z Kostiuchnówki, coś mu na poły żartem dopiłem; odtąd ma on do mnie coś niby urazę, a że jest mściwy i zapamiętały, więc, zdaje się, nie bardzo mnie lubi i w sercu bodajże nawet jakąś złośliwą niechęć żywi. Takim mi się przynajmniej zdaje. A zresztą nie umiem być z takimi ludźmi szczerym i w stosunkach serdecznym. Pomimo to uważam Bohuna za człowieka o wielu cechach dodatnich: cenię w nim temperament żywy i wierzę w jego zdolności. Bohun porzucił już piechotę i przeniósł się do artylerii. Już w październiku, gdyśmy jeszcze w Trojanówce stali, Bohun jeździł do Kowla, czyniąc starania o przeniesienie się do artylerii i już stamtąd do piechoty do pułku nie wrócił.
Zabiorę się teraz do dokończenia charakterystyki ostatnich moich kolegów z plutonu, o których jeszcze dotąd nie napisałem. Jeżeli nic mi nie przeszkodzi, to zrobię to już jednym ciągiem aż do ostatniego kolegi. Zacznę od obywatela Manieckiego, który w ataku na Jabłonkę został ranny w rękę i obecnie jako rekonwalescent w Kamieńsku

[59] Michał Wyrostek (ur. 1876), doktor praw, adwokat. Od września 1914 r. w Legionach; szef kancelarii sztabowej w Komendzie Legionów (1914-1916). Zastępca szefa Departamentu Wojskowego NKN (1916-1917). Następnie szef sztabu Krajowego Inspektoratu Zaciągu do Wojska Polskiego (1917-1918). W WP od XI 1918 r. jako szef sekcji poborowej Ministerstwa Spraw Wojskowych, dalej szef sztabu Inspektoratu Armii Ochotniczej. W 1921 r. w randze ppłka przeszedł w stan spoczynku i podjął praktykę adwokacką w Warszawie. Równocześnie dyrektor Towarzystwa Ubezpieczeniowego „Zjednoczenie". W l. 1928-1930 we władzach ZG Ligi Morskiej i Rzecznej. Członek Senatu z listy BBWR w l. 1930-1935. Po zrzeczeniu się mandatu do II wojny światowej prowadził kancelarię adwokacką w Warszawie. Dalsze losy nieznane.

przebywa. Jest to żołnierz, który, jak Kruszyna, jak Papiz, jak nieboszczyk Kosa, jak Eminowicz-Targosz, od samego początku wojny wstąpił do szeregu i był w linii. Prosty chłopak, bez wykształcenia, rzemieślnik z małego miasteczka galicyjskiego, liczący dziś dopiero lat 18, stanął ochotniczo na wezwanie do świętej walki o wolność i wytrwał w linii, stał się dobrym żołnierzem, odważnym, sprawnym, zmyślnym w służbie i zarazem pełnym szczerego prostego zapału, piłsudczykiem wiernym i gorąco przywiązanym do swego sztandaru. Tu w Kamieńsku Maniecki wygląda szaro, biednie, pospolicie, zgoła znikomo wobec przeróżnych szarż inteligentów i porządnie ubranych tyłowców. Jest to pionek liniowy, pełny trudów i ciężkiej prostej a ofiarnej pracy tam w okopach – „tam, gdzie kule świszczą i bagnety błyszczą". Biedny, mały i znikomy żołnierzyk polski z ludu, z głębokiej masy narodowej, gdzieś het z pokładów bezimiennego pospólstwa. Nie marzył i nie marzy nigdy o żadnej szarży i wyższości, o ładnej karierze, której drzwi są dla niego zamknięte. Ale tam w linii żołnierz z niego dzielny – „morowy", godny imienia żołnierza polskiego. Wszelką służbę zna, rozumie i spełnia sprytnie, bez zarzutu, a zawsze celowo. W bitwie nie traci przytomności, jest pełny tegoż sprytu, odwagi, zacięcia walecznego, temperamentu bitnego. Prawdziwie dzielny żołnierzyk, a zarazem jakże rozumny, jakże daleki od wynoszenia siebie! Charakter ma miły i łatwy, usposobienie wesołe i temperament żywy i naturalny. Dzielne, dobre dziecko ludu. I ma honor piłsudczyka, który czci i kocha.

19 lutego, rok 1916, sobota
Otrzymałem dziś wieczorem bilecik od Wierzchowskiego z Departamentu Wojskowego jako odpowiedź na moje starania w czasie zeszłotygodniowego mego pobytu w Piotrkowie. Oto treść kartki: „Szanowny i kochany Panie! Wczoraj zaraz po powrocie pułkownika z Warszawy rozmawiałem z nim o Waszej sprawie i wręczyłem mu list. Był bardzo zdziwiony, że Was jeszcze w Piotrkowie nie ma, albowiem Komenda Grupy Was przydzieliła do Departamentu Wojskowego (akt mi pokazywał). Zrobiliśmy więc piekło w kancelarii wojskowej i sprawa ta ma być w najkrótszym czasie załatwiona. Cześć! Z.W.". Jestem więc przydzielony do Departamentu Wojskowego i lada dzień ogłoszone to będzie w rozkazie, a zaraz po tym wyjadę do Piotrkowa. Sam nie wiem, czy się z tego cieszyć, czy smucić. Z jednej strony, jest to dobre pod tym względem, że już nie będę teraz zależał od tej okoliczności przypadkowej, czy urlop superarbitrowanemu może być udzielony do Wilna, czy nie i że w razie niemożności udzielenia takiego urlopu przez Komendę Grupy nie będę już nigdzie indziej przeznaczony, nie będę igraszką wypadku. Zaś z Departamentu Wojskowego będę się kierował prosto do Wilna, jak to już było ułożone w mojej rozmowie z Sikorskim; cały ten mój przydział do Departamentu Wojskowego jest obliczony właśnie na wysłanie mnie do Wilna. Z drugiej jednak strony ma to także ujemne skutki. Nie jest bowiem wykluczone, że mógłbym otrzymać urlop do Wilna z Komendy Grupy, po prostu jako superarbitrowany, a wtedy pojechałbym sobie do Wilna zupełnie wolny i niezależny, niczym nie skrępowany, mając zupełnie wolną rękę do działania takiego, jakie by mi podyktowało zorientowanie się w warunkach i potrzebach Sprawy w jej obecnym stadium. Tymczasem po przydzieleniu do Departamentu pojadę do Wilna mniej więcej z jego ramienia, poniekąd jako jego agent. To mi się nie bardzo uśmiecha. Przydział do Departamentu daje mi większą gwarancję dostania się do Wilna, ale nadaje mojej jeździe charakter bardziej zależny. Wolałem czekać na urlop nieograniczony wprost z Komendy Grupy, a dopiero gdyby się takowy okazał rzeczywiście nieziszczalny, zostać przydzielonym do Departamentu i w tej postaci, z ramienia Dapartamentu, skoro nie można inaczej, do Wilna dotrzeć. Tymczasem teraz, zyskując na pewności, tracę na wartości jazdy do Wilna. To, co chciałem rezerwować tylko na ostateczność, stało się

dla mnie teraz drogą normalną. Nie o to też chciałem prosić Sikorskiego, gdym do niego jechał przed tygodniem. Chodziło mi tylko o to, aby zamiast w Kamieńsku, czekać w Piotrkowie na spodziewany urlop i dopiero na wypadek odmowy urlopu uzyskać przydział do Departamentu. Stało się inaczej. Widocznie Sikorski już poprzednio sam zajął się moją sprawą i poczynił starania w Komendzie Grupy o przydzielenie mnie. Nie mogę mu nawet nie być wdzięczny za to, pomimo że to niezupełnie odpowiada moim życzeniom. Przywykłem w ogóle do wielkiej zawsze niezależności, zwłaszcza w działaniu politycznym i na tej niezależności mojej opiera się w dużym stopniu moja powaga, mój wpływ moralny jako działacza społecznego w Wilnie. Ludzie wiedzą, że w działaniu moim kieruję się li tylko własnym przekonaniem i sumieniem i czystość ta, niezależność jest podstawą mego stanowiska. Tymczasem teraz będę się musiał liczyć z Departamentem, który mnie wyśle, będę jego poniekąd funkcjonariuszem. Najgorzej jest, że z polityką Departamentu niezupełnie się solidaryzuję. Pocieszam się tylko tym, że nic mi zarzucić nie zdołają, bo, po pierwsze, nie przyjąłbym zleceń, na które bym się zasadniczo nie godził, a po wtóre, ja znam Wilno i Litwę lepiej, niż ludzie z Departamentu i ściślejszą mam orientację w stosunkach i potrzebach krajowych, toteż im będę potrzebny i w akcji na Litwie nie ja od nich, ale oni ode mnie będą raczej zależni i przez to współpracownictwo nie oni przeze mnie będą wpływ na stosunki na Litwie mieli, ale ja raczej będę mógł wpływ na nich w sprawach litewskich wywierać. Zresztą zobaczymy i nie uprzedzajmy faktów. Będę usiłował jechać do Wilna przez Warszawę i po drodze z działaczami warszawskimi się porozumieć, o co mi bardzo chodzi i do czego większą nawet przywiązuję wagę, niż do porozumienia z Departamentem i N.K.N-em, który jest bądź co bądź galicyjskim. A w pewnej mierze mój charakter półurzędowy w Wilnie może mi nawet ułatwić i rozszerzyć sferę działania. W dużym stopniu ode mnie samego będzie zależało, żebym w tym współpracownictwie z Departamentem i w działaniu w Wilnie zdołał wziąć górę i przesączyć do Sprawy elementy mojego pojmowania Sprawy, opartego na znajomości społeczeństwa tamecznego, kraju i na tych wieczystych ideałach wolności i ludu, które Sprawę Polską robią pięknym narzędziem wyzwolenia tak Polski, jak wszystkich krajów i ludów z zachodnich dzielnic dotychczasowego państwa rosyjskiego. A ja, nie przesądzając, mam atuty po temu, mam w mojej Litwie możność spełnienia odpowiedniej misji w obecnym ruchu. Moi przyjaciele na Litwie znają mnie i wiedzą, co o mnie sądzić. W kołach wolnościowych, choćby się pewne elementy nie godziły się całkowicie na moją koncepcję ruchu w obecnej katastrofie międzynarodowej, zbyt ugruntowana jest wiara do mnie, aby mnie współpracownictwo z Departamentem mogło kompromitować. Departament czy też N.K.N. mógł popełniać błędy w stosunku do Litwy, ale w działaniu konkretnym na litewskim gruncie ja w tym współpracownictwie mogę jeżeli nie kierować nim, to nań wpływać i wiele przeforsować. A zresztą, może to jest rzeczywiście jedyna droga dotarcia do Wilna. Krążą tu znów takie pogłoski o gotującym się dla superarbitrowanych losie, że może istotnie byłoby niebezpiecznym czekanie tu na domniemany urlop. Zresztą Bóg tak cudownie układa wszystko od kilku miesięcy, prowadząc mnie do Wilna, że nie ufać nie mogę.

20 lutego, rok 1916, niedziela
Obiega tu od wczoraj pogłoska, że z Komendy Grupy nadeszło wezwanie wszystkich superarbitrowanych z transportu z dnia 24 stycznia przez władze do asenterunku austriackiego. Znaczyłoby to, że obecnie superarbitowanym legionistom czy tylko uznanym za zdatnych do landszturmu bez broni, czy także inwalidom nie będą udzielane urlopy względnie zwolnienie, jeno będą oni zaraz powoływani do wojska

austriackiego i dopiero po zbadaniu odpowiednim (asenterunku) albo zwalniani, albo zaliczani wprost do c.k. armii. Czy to jest prawda – nie wiem. Pogłoska ta jest powtarzana zupełnie poważnie. Rozeszła się ona u nas przez aspiranta oficerskiego Murdzińskiego, znajomego mego z „czternastki” w szpitalu krakowskim, który sam właśnie stawał do superrewizji z transportem z 24 stycznia i który jest tym wielce zaniepokojony. Słyszał on od oficerów, że wezwanie takie już przyszło, a więc że jest już faktem. Przypuszczam, że może się to stosować tylko do poddanych austriackich, choć niektórzy straszą, że wbrew zasadom prawno-państwowym i międzynarodowym będzie to zastosowane również do legionistów poddanych rosyjskich. Czy pogłoska ta w rzeczywistości się sprawdzi, czy też okaże się jednym z licznych bałamutnych domysłów, zrodzonym tylko w nerwowej imaginacji superarbitrowanych – to w każdym razie mnie już ona dotyczyć nie może z chwilą, gdy zostałem formalnie przydzielony do Departamentu Wojskowego. Teraz czekam już tylko na rozkaz, którym ten dokonany przydział zostanie ogłoszony. Nastąpi to zapewne lada dzień. Dziś po nabożeństwie, odprawionym, jak zwykle, w herbaciarni, odbyła się na placu ćwiczeń uroczystość udekorowania brązowym austriackim medalem waleczności ułana z III szwadronu (II Brygady), plutonowego Bartosiewicza[60], naszego towarzysza na sali chorych, mającego prawą rękę obezwładnioną na skutek rany. Spisał się dziś ksiądz Antosz[61] kapitalnym w swej katolickiej tendencyjności, nie liczącej się z faktami, kazaniem po nabożeństwie i kapitan Łuczyński błazeńską przemową pożegnalną, skierowaną do ustępującego szefa sanitarnego, kapitana dr Zaremby[62].
Korzystam znów z miejsca, by kończyć charakterystyki kolegów z naszego dawnego plutonu. Z kolei wspomnę o obywatelu Kwiatkowskim, młodym Lubliniaku. Jak wszyscy Lubliniacy, był rzemieślnikiem czy wyrobnikiem, a mianowicie masarzem. Jak Bieniak, wyróżniał się dodatnio spośród większości swych kolegów Lubliniaków w naszym plutonie. Nie miał wprawdzie wykształcenia, nie mógł pretendować nawet do poziomu półinteligenckiego, który względnie mógł być zastosowany do Bieniaka i Komackiego (Grzmot-Konaszewski był w tej gromadce Lubliniaków zjawiskiem zgoła osobliwym; unikatem jak gwiazda, do którego w ogóle żadnych porównań innych Lubliniaków być nie może), ale był z natury bardzo sprytny, rozgarnięty, żywy; usposobienia był zawsze wesołego, charakter miał miły, łatwy, pogodny; nie widziałem go nigdy gniewającego się lub nadętego; nigdy też, choćby był zmęczony, choćby znosił największą niewygodę, nie spochmurniał i nie stracił pogody i wesołego uśmiechu. Był pomysłowy, skory do figla, ale też do pracy; zdolny był i z każdej pracy umiał się wywiązać dobrze; używano go do mielenia zboża, do pieczenia chleba dla plutonu, gdy się okazja nadarzyła, do rozmaitych robót ubocznych i zawsze Kwiatkowski potrafił zrobić dobrze. Zaradny był, co u żołnierza jest wielką zaletą. W plutonie, jako nowicjusz i skromny prostaczek szeregowy, niewiele znaczył; nasze szarże plutonowe i starzy wiarusi nie raczyli w ogóle zwracać uwagę i zadawać się z takimi młokosami-rekrutami; co najwyżej Pachuta, który „demokracją” plutonową nie gardził i gromadził ją dokoła siebie przy grze w karty, królując w gronie pospolitego drobiazgu plutonu i przeciwstawiając swą demokratyczną partyjkę w taniego „cinzla”, „arystokratycznej” partii „ferbla”, grywanej przez Kosę, Bohuna, Gutowskiego, poufalił

[60] Bartosiewicz, z 2 pułku ułanów II Brygady.
[61] Władysław Antosz (1882-1966), od 1898 r. członek zakonu reformatów, imię zakonne Patrycjusz, kapelan II Brygady Legionów, w 1919 r. mianowany starszym kapelanem. W Polsce niepodległej był kapelanem garnizonu warszawskiego. W 1925 r. przeszedł w stan spoczynku. W początkach okupacji niemieckiej przebywał w Krakowie i jesienią 1939 r. współuczestniczył w tworzeniu Organizacji Orła Białego.
[62] Zaremba – bliższych danych brak.

się z takimi, jak Kwiatkowski, do której sam należał i w której, obcując z nią ściślej, dał się poznać i z kolegami się zbliżył. Stopniowo wszakże stawał się poznawany i lubiany i poza ramami sekcji. Był koleżeński i towarzyski, głowę miał otwartą i żołnierzem zapowiadał się dobrym. Miał wszystkie niezbędne kwalifikacje na żołnierza tak w służbie, jak w życiu obozowym. Kilka wierszy, które mi tu zostaje, wystarczy aż nadto dla obywatela Kalisza[63], również nowicjusza Lubliniaka, chłopaka 18-letniego, jak wszyscy nasi Lubliniacy. Ten z zawodu był kelnerem, ale zaiste chyba lichym i w jakiejś chyba podrzędnej garkuchni albo może raczej popychadłem kelnerskim. Głupi był i tępy tak, że graniczył niemal z idiotyzmem. Nie robił sobie nic z nikogo i niczego, nie znał się na żadnych elementarnych przepisach współżycia towarzyskiego, nie wiedział zgoła, co to jest koleżeństwo, nie wyczuwał zupełnie stosunku innych do siebie, wrażliwości nie miał żadnej, nie umiał zrozumieć istoty wojskowości, dyscypliny, ducha korporacyjnego. Żołnierzem był kiepskim, niepojętnym w najwyższym stopniu i na ogół niedbałym, nawet u najobskurniejszych Lubliniaków. Zdradzał też objawy tchórzostwa. Kalisz, jak wiem od Krama, do którego sekcji w I plutonie został po Jabłonce przydzielony, został lekko ranny, raczej draśnięty kulą gdzieś z tyłu w ramię w chwili, kiedy akurat wyszedł na stronę na swoją potrzebę i właśnie w chwili załatwiania takowej.

21 lutego, rok 1916, poniedziałek
Ostatni z moich towarzyszy broni w naszym dawnym plutonie, którego charakterystykę mam nakreślić – to obywatel Ziemba. Był to Lubliniak, nowy żołnierz, chłopiec 18-letni. Jak niewyrazistą i pospolitą była jego okrągła ospowata twarz, tak bezbarwnym był on sam. Był to prosty wyrobnik, analfabeta, kolega Machaja i Szyszkowskiego. Nie miał żadnej kultury intelektualnej i duchowej i w dodatku był tępy, głupkowaty, ociężały. Kiepski materiał na żołnierza i w ogóle na człowieka. Nic go, zdaje się, nie obchodziło żywiej, nic nie zajmowało. Był tylko surowcem. Władze umysłowe i uczuciowe, wyobraźnia – wszystko było u niego w stanie leniwej drzemki. Ożywiał się tylko trochę na widok świń, kur lub gęsi, włóczących się po wsi, do którejśmy wstępowali; uśmiechał się wtedy porozumiewawczo do Szyszkowskiego w błogiej nadziei pożywienia się smacznym kęskiem zdobyczy; ale i w tym był ospały, nieobrotny, niepomysłowy, toteż nigdy w plądrowaniu, w poszukiwaniu jakiejś zdobyczy celować nie potrafił. Kierował się więcej elementarnymi odruchami, niż kombinacją, myśleniem, ścisłą wolą. Specjalnie tchórzem nie był i, pozostając w szeregu, robił to, co inni i zachowywał się wobec kul czy niebezpieczeństwa biernie. Ale gdy chodziło o inicjatywę, o własną kombinację, był do niczego i szedł za popędem pierwszego instynktu, którym bywał nieraz instynkt samozachowawczy lub instynkt strachu, nie zaś obowiązek lub celowy czyn żołnierski; o takowych bowiem nie miał w swym ciemnym umyśle pojęcia. Pamiętam, jak stojąc za Kostiuchnówką przy drugim młynie na wedecie, w miejscu niewątpliwie odpowiedzialnym, trudnym do obserwacji i niebezpiecznym, na skraju polanki leśnej wśród wielkich rozległych gąszczów, Ziemba dwukrotnie zszedł z posterunku i samowolnie bez podstawy cofnął się do placówki dlatego tylko, że usłyszał jakiś szmer w krzakach, nie znając przyczyny i natury takowego. Również w kilka dni później, podczas wieczornego ataku Moskali na nasze pozycje za Kostiuchnówką, gdy nasza kompania zaskoczona tym atakiem znienacka w chwili spoczynku na łące, chwilowo się rozpierzchła i w naturalnym popłochu wbiegła w las, Ziemba o niczym nie myśląc, nie czekając na zbiórkę, nie próbując zorientować się w sytuacji i skomunikować z innymi, wziął, jak się mówi, nogi za pas, rzucił karabin

[63] Kalisz, legionista 2 plutonu 1 kompanii I batalionu 1 pp. I Brygady.

i pomknął na przełaj przez bagna rozlanej przed młynem rzeczki, przebrnął na drugą stronę do wsi, spotkał tam szykujące się śpiesznie do odwrotu tabory i pomaszerował wraz z nimi wstecz aż do Gorodka, gdzieśmy go dopiero po paru dniach znaleźli, sądząc, że już nam zginął. Ziemba był wpierw w naszej II sekcji, potem w Gorodku, po powyższym cofnięciu się spod Kostiuchnówki, spróbowano go przydzielić do sanitariuszów, ale tam okazał się niezdatnym jako mało pojętny i wrócił do plutonu, gdzie go przydzielono do III sekcji.
Na Ziembie kończę szkic charakterystyk moich towarzyszy broni z plutonu, rozrzucony na kartach mego dziennika wśród setek różnych tematów na przestrzeni kilku miesięcy. W III sekcji był jeszcze, jak w innych sekcjach, przez czas krótki jeden zbieg z szóstaków, niejaki Kowalski, którego mało znałem i pisać o nim nie będę. W Trojanówce w październiku przybył jeszcze do plutonu Lignar[64], stary żołnierz w szarży sierżanta, chłopiec inteligentny, Lwowianin, który od początku wojny był w szeregu, a jeno przez czas mego pobytu w linii był nieobecny jako wydelegowany do ćwiczenia rekrutów w batalionie uzupełniającym. Krótko się z nim znałem, toteż charakteryzować go nie mogę. Wreszcie w dniu wymarszu z Trojanówki na Jabłonkę wrócił do plutonu młodszy Lignar, brat powyższego, również stary żołnierz od początku wojny, wyleczony z rany w szpitalu i zaraz następnej nocy w ataku na Jabłonkę znów ranny został.
Na tym zakończę galerię legionistów naszego dawnego plutonu z czasów mego udziału w linii. Jutro, jeżeli mi nic nie przeszkodzi, załączę schemat (skorowidz) całego osobistego składu plutonu; uwzględnię w nim imię i nazwisko każdego, pseudonim, jeżeli miał, wiek w przybliżeniu, zawód cywilny, skąd jest rodem i odkąd był w Legionach na linii. Schemat ten ułożyłem, korzystając ze wskazówek Marsa, który mógł mnie ściślej o wielu kolegach poinformować, niż co ja o nich wiedziałem. Schemat ten będzie zarazem poniekąd sprostowaniem pewnych niedokładności o osobach, popełnionych w specjalnych ich charakterystykach.
Z biura prasowego Departamentu Wojskowego przywiozłem sobie paczkę numerów „Dziennika Petrogradzkiego"[65], które sobie teraz studiuję. Są co prawda stare, z października i listopada, ale to nie zmniejsza ich ciekawości, bo nie o nowiny bieżące mi w tym piśmie chodzi, jeno o poznanie nastrojów polskich w licznych kołach emigracji i zbiegów wojennych, ewentualnie wygnańców z tamtej strony kordonu. Z radością widzę, że myśl niepodległościowa nie zamiera tam, lecz owszem, walczy skutecznie i dzielnie z moskalofilstwem zbankrutowanej Narodowej Demokracji. Myśl ta jest pełna żywotności i czytając „Dziennik Petrogradzki", mam nawet wrażenie, że robi ona postępy, utwierdza się i jaśnieje w nastrojach opinii polskiej tym bardziej, im bardziej się likwiduje faktycznie władza Rosji nad Polską. „Dziennik Petrogradzki" jest organem wybitnie niepodległościowym. Jego artykuły polemiczne z głównym organem endeckiego moskalofilstwa „Sprawą Polską", jego polemika z prasą rosyjską – są wyraziste, dzielne, nawet zadziwiająco śmiałe w warunkach rosyjskiej cenzury

---

[64] Lignar (starszy), sierżant 2 plutonu 1 kompanii I batalionu 1 pp. I Brygady.
[65] „Dziennik Petrogradzki" – wychodzący od 1909 r. liberalny „Dziennik Petersburski" w 1914 r. zmienił nazwę na „Dziennik Petrogradzki", cieszący się dużą popularnością, został zawieszony w maju 1916 r. w wyniku problemów finansowych, a także szykan władz i cenzury. Pismo powiązane z obozem niepodległościowym, z ramienia którego współpracował z redakcją Franciszek Skąpski, kierownik POW na Rosję. Po kilku tygodniach wznowiono pismo pod nazwą „Kurier Nowy", ale po pół roku zostało zamknięte przez cenzurę wojskową „na okres wojny". Po obaleniu dynastii Romanowych i utworzeniu Republiki Rosyjskiej oraz po zniesieniu Głównego Urzędu do Spraw Prasy w 1917 r. wznowiono wydawanie „Dziennika Petrogradzkiego", który stał się półoficjalnym organem Polskiego Komitetu Demokratycznego, wydawany za fundusze Brunona Ogulewicza. Po jego śmierci spadkobiercy zamknęli pismo.

wojennej. Tak przemawiać mogą tylko ci, którzy czują dla swych twierdzeń mocne oparcie w pewnym konkretnym prądzie w społeczeństwie. Niewątpliwie więc prąd taki musi tam istnieć i robić postępy, gruntując się mocno w opinii, pomimo zalewu obecnej emigracji polskiej w Rosji przez masę elementów bądź wyraźnie endecko-moskalofilskich, bądź tchórzliwych, bojących się wszelkiej świeżej myśli. Charakter tego prądu niepodległościowego jest taki sam, jak w Królestwie, znacznie się różniący od stanowiska N.K.N.-u i austrofilstwa niepodległościowych polityków galicyjskich.

22 lutego, rok 1916, wtorek
Oto całkowity wykaz składu osobistego naszego plutonu z czasów mego w nim udziału. Szczegóły o każdym żołnierzu podaję w następującym porządku: imię i nazwisko, pseudonim, wiek w przybliżeniu, zawód cywilny, skąd jest rodem i odkąd jest w linii w szeregach legionowych. Na czele podaję naszego komendanta kompanii, porucznika Dęba. A więc:
Komendant I kompanii I baonu I pułku piechoty I Brygady Legionów Polskich, porucznik:
1. Stefan Biernacki-Dąb – 26 lat – słuchacz Akademii Rolniczej w Dublanach – rodem z Królestwa – w linii od początku wojny.
Komendant II plutonu w powyższej kompanii, podporucznik:
1. Stanisław Stawiński-Kozicki – 22 lata – student Politechniki – ze Lwowa – od początku wojny.
Skład osobisty żołnierzy II plutonu:
Podoficer zafrontowy, sierżant:
1. Władysław Morbitzer-Kosa – 20 lat – uczeń gimnazjum – z Dębicy – od początku wojny.
Sekcja I.
Kapral:
2. Kazimierz Piotrowski-Bohun – 25 lat – leśnik na posadzie prywatnej – rodem z Królestwa Polskiego, zamieszkały w Borysławiu, na wojnie od X 1914.
Szeregowcy:
3. Wojciech Dziengiel – bez pseudonimu – 20 lat – robotnik wiertniczy w szybie wiertniczym – z Borysławia – od X 1914.
4. Stanisław Gutowski – bez pseud. – 28 lat – ślusarz – rodem z Lublina, zamieszkały w Borysławiu, od 1914.
5. Targosz-Eminowicz – 19 lat – uczeń gimnazjum – z Krakowa – od początku wojny.
6. Franciszek Tobiasz – bez pseudonimu – 25 lat – urzędnik biurowy w warsztatach naftowych w Borysławiu – z Felsztyna w Galicji – od X 1914.
7. Machaj bez pseud. – 18 lat – rzeźnik – z Lublina – od IX 1915.
8. Szyszkowski – bez pseud. – 18 lat – wyrobnik – z Lublina – od IX 1915.
9. Bieniak – bez pseud. – 18 lat – rytownik – z Lublina – od IX 1915.
Sekcja II:
Kapral:
10. Michał Guc-Sabała – 23 lata – nauczyciel ludowy – z Podhala – od XII 1914.
Szeregowcy:
11. Józef Partyka – bez pseud. – 22 lata – praktykant wiertniczy – z Borysławia – od XII 1914.
12. Pachuta – bez pseud. – 18 lat – mularz – ze Lwowa – od X 1914.
13. Knapczyk – bez pseud. – 25 lat – technik – z Mszany Dolnej – od początku wojny.
14. Józef Garbień – bez pseud. – 19 lat – uczeń gimnazjum – ze Lwowa – od III 1915.

15. Julian Fiałkiewicz-Mars – 23 lata – absolwent leśnictwa – z Borysławia – od X 1914.
16. Józef Konaszewski-Grzmot – 18 lat – uczeń szkoły handlowej – z Lublina – od 1IX 1915.
17. Brunon Komacki – bez pseud. – 18 lat – rękodzielnik – z Lublina – od IX 1915.
18. Michał Römer – Mateusz Rzymski – 35 lat – adwokat przysięgły i publicysta – z Wilna – od IX 1915.
Sekcja III:
Kapral:
19. Antoni Papiz – bez pseud. – 21 lat – uczeń seminarium nauczycielskiego – z Krakowa – od początku wojny.
Szeregowcy:
20. Franciszek Kruszyna – bez pseud. – 21 lat – uczeń wyższej szkoły przemysłowej – z Krakowa – od początku wojny.
21. Józef Mich – bez pseud. – 19 lat – ślusarz, monter – ze Lwowa – od X 1914.
22. Antoni Fiałkiewicz – bez pseud. – 21 lat – elektromonter, ślusarz – z Borysławia – od X 1914.
23. Jan Maniecki – bez pseud. – 18 lat – masarz – z okolic Wieliczki – od początku wojny.
24. Kwiatkowski – bez pseud. – 18 lat – masarz – z Lublina – od IX 1915.
25. Kalisz – bez pseud. – 18 lat – kelner – z Lublina – od IX 1915.
26. Ziemba – bez pseud. – 18 lat – wyrobnik – z Lublina – od IX 1915.
Wreszcie poza sekcjami, bo nie wiem, do której należeli: w szarży sierżanta:
27. Lignar starszy – 21 lat – kuśnierz – ze Lwowa – od początku wojny.
i szeregowiec:
28. Lignar młodszy – 20 lat – subiekt – ze Lwowa – od początku wojny.
Pięciu ex-szóstaków, którzy przez czas krótki należeli do plutonu – a mianowicie Sznajdera, Krawczyka, Moskwę, Weichara i Kowalskiego, nie umieszczam w tym spisie.
Z powyższego składu plutonu straconych zostało czterech ludzi: Morbitzer – Kosa (zabity pod Jabłonką), Dziengiel (zaginiony pod Kostiuchnówką), Mich (ciężko ranny i następnie zaginiony pod Jabłonką) i Konaszewski-Grzmot (zaginiony pod Kuklą). Reszta żyje, ale się rozproszyła po różnych oddziałach. Pluton jako taki przestał w powyższym składzie istnieć. Wszyscy zostali mniej lub więcej dokładnie scharakteryzowani w moim dzienniku, oczywiście tak, jak się oni przez pryzmat moich wrażeń przedstawiają. Mogłem się pomylić, ale starałem się być szczery i rzetelny, ani upiększając, ani szpecąc ich charakterów. Są między nimi lepsi i gorsi, jak zwykle ludzie, a stanowią przecież razem zespół bohaterski.

23 lutego, rok 1916, środa
Zdaje się, że już jutro stąd wyjadę. Wezwano mnie dziś do komendy kompanii, gdzie się dowiedziałem, że z Departamentu Wojskowego przyszedł do Domu Rekonwalescentów papier z prośbą czasowego wydelegowania mnie do Departamentu na czas oczekiwania papierów zwolnienia. A prośba Departamentu jest tu niemal równa rozkazowi, bo się spełnia zawsze. Dziwi mnie to, że Departament nie wspomina nic o moim przydziale do Departamentu z rozkazu Komendy Grupy, a przecież Wierzchowski w liście wyraźnie o tym pisze i dodaje, że Sikorski pokazywał mu odpowiedni akt przydziału. Co to znaczy? Ta forma, w jakiej teraz mnie Departament reklamuje, odpowiada temu, o co Sikorskiego w liście prosiłem. Ale jeżeli przydział z rozkazu Komendy Grupy już nastąpił, to musiałbym być zareklamowany nie na

zasadzie mojej prywatnej prośby, jeno na zasadzie rozkazu o przydziale. Rzecz ta wyjaśni się zresztą już w Piotrkowie. W każdym razie, cieszę się, że już coś postępuje naprzód. Nie łudzę się jednak, abym był już bliski mety. Teraz dopiero zaczną się kapitalne trudności do przezwyciężenia w sprawie wyjazdu do Wilna. Przewiduję, że pobyt mój w Piotrkowie będzie się przewlekał znowu w nieskończoność, a to tym bardziej, że Sikorski ciągle wyjeżdża i trudno go w Piotrkowie złapać, a interwencja Sikorskiego będzie w tych staraniach o pozwolenie na wyjazd do Wilna konieczna. Będę się starał przynajmniej nie siedzieć w Piotrkowie, ale się do Warszawy dostać i może dopiero wprost stamtąd robić starania o wyjazd do Wilna. A jeżeli wypadnie mi siedzieć dłużej w Piotrkowie, to może mi Sikorski pozwoli, jeżeli to będzie możliwe, chodzić po cywilnemu i nie mieszkać w koszarach. Nieznośne są te ograniczenia wojskowe dla człowieka inteligentnego, który jest w wojsku szeregowcem. Ale przed wszystkim innym musi być uregulowana wyraźnie kwestia formalna bądź urlopu nieograniczonego, bądź stałego przydziału do Departamentu. W zasadzie wolałbym otrzymać urlop i na mocy takowego do Wilna pojechać, nie uzależniając [się] od Departamentu formalnie. Ale pewniejszą i bezpieczniejszą jest forma przydziału do Departamentu, bo ta kwestia urlopu jest coś mocno niewyraźna i kto wie nawet, czy nie zawiera w sobie niebezpieczeństwa być zabranym do wojska austriackiego. Pogłoski o tym wciąż chodzą, że superarbitrowanych urlopowanych legionistów, austriackich poddanych, wzywają po jakimś czasie do asenterunku austriackiego i że ich do austriackiego wojska zabierają, o ile się wpierw sami z powrotem do Legionów nie zgłoszą – to fakt; ale teraz gadają tu dużo o tym, że superarbitrowani mają być wprost, jeszcze przed otrzymaniem urlopu, powoływani do austriackiego asenterunku; i powiadają jeszcze, że nie będzie się robiło wyjątku nawet dla poddanych rosyjskich; mówił mi dziś o tym nawet kapitan Łuczyński, nie wiem, czy na podstawie tylko własnego domysłu, czy też na podstawie stwierdzonych faktów. Jeżeli to tylko pogłoski i domysł kapitana, to wolno jest w to wątpić, ale nie jest wykluczone, że to fakt. Niby ze stanowiska prawno-państwowego i międzynarodowego powoływanie rosyjskich poddanych do wojska austriackiego byłoby ze strony Austrii wykroczeniem. Co innego są Legiony jako formacja ochotnicza, do której są przyjmowani w drodze wolnego werbunku li tylko ci, co z własnej woli się zgłosili, a co innego zgoła jest asenterunek, to znaczy pobór przymusowy w drodze rekrutacji. Powiadają na to – i tak mi też dziś kapitan Łuczyński argumentował – że legioniści, wstępując do Legionów, złożyli przysięgę i że przeto na mocy tej przysięgi, która ich, zarówno austriackich, jak rosyjskich poddanych, obowiązuje, mogą być i do austriackiej armii pobrani, tym bardziej, że przecie same Legiony są formalnie tej armii cząstką. Argumentacja ta ścisła nie jest, bo przysięga wojskowa składana w Legionach i zawierająca istotnie wierność cesarzowi Austrii, Franciszkowi Józefowi, nie jest aktem przyjęcia poddaństwa austriackiego, a przeto do obowiązku państwowej powinności wojskowej w Austrii nie obowiązuje prawnie. Ale nie jest wykluczone, że Austria, która żołnierzy potrzebuje coraz więcej i musi dbać o każdego, może interpretować przysięgę legionową inaczej i zmuszać ex-legionistów poddanych rosyjskich do służby w wojsku austriackim; pewną podstawę może mieć w tym, że poddani rosyjscy, wstępujący do Legionów dla wojny przeciwko Rosji i składający odpowiednią przysięgę, już przez to samo złamali swoją poprzednią przysięgę na wierność Rosji i sami się dobrowolnie z praw rosyjskiego poddaństwa wyzuli. Rzeczywiście, jest to nawet kazus ciekawy i zawiły ze stanowiska prawnego. Czy wyjadę już jutro stąd do Piotrkowa – tego jeszcze nie wiem, bo marszruty nie ma, a tymczasem kapitan nic jeszcze stanowczego nie orzekł, jaką drogą mam jechać, to znaczy czy na marszrutę mam czekać, czy też bez niej być wysłanym i jak. Dowiem się o tym jutro w kancelarii.

Ciekawa rzecz się stała. W rozkazie wieczornym ogłoszono nadejście z Komendy Grupy urlopów dla transportu superarbitrowanych z 3 lutego, podczas gdy dwa transporty wcześniejsze z d. 24 stycznia i nasz z d. 27 stycznia nie zostały jeszcze załatwione. Widocznie jakaś niedokładność kancelaryjna w załatwianiu papierów.

24 lutego, rok 1916, czwartek
Nie wyjechałem jeszcze z Kamieńska i nie jestem pewien, czy jutro wyjadę. Wczoraj kapitan nic wyraźnego nie orzekł w sprawie mojej jazdy. Zgodził się naturalnie na prośbę Departamentu wysłania mnie do Piotrkowa, ale jaką drogą – o tym nie zdecydował. Marszruty dla mnie nie ma; mam więc niby jechać czy okolicznościowo z którymś oficerem, jadącym do Piotrkowa, na jego marszrutę, czy też podobno z kurierem się zabrać, który stąd co dzień do Piotrkowa jeździ. Chciałem dziś poinformować się o tym w kancelarii, raczej w adiutanturze komendy Domu, ale we dnie tego zrobić nie mogłem, bo cały dzień do godz. 4 był wypełniony uroczystością pożegnania odjeżdżającego stąd na stałe byłego szefa sanitarnego, dr Koźniewskiego (była msza na intencję dr K., defilada przed nim, mowy kapitana Łuczyńskiego i dr Koźniewskiego, wspólne fotografowanie się, wreszcie odprowadzenie odjeżdżającego na stację kolejową; ja, jako należący do sali chorych, byłem wolny od przymusu uczestnictwa w tej uroczystości, a że jestem przeziębiony, więc udziału w niej nie brałem). Koło godz. 6 zwróciłem się do adiutantury w sprawie mojego wyjazdu. Kapitan, którego tam przelotnie zastałem, a potem adiutant radzili mi „poszukać" porucznika Wąsowicza[66] z Piotrkowa, który dziś tutaj bawi i wieczorem wraca do Piotrkowa, wioząc ze sobą kilku ludzi, aby mnie też na marszrutę swą zabrał. Nie wiedziałem, gdzie go szukać. Podporucznik kompanijny, którego spotkałem, radził mi wziąć z kancelarii rachunkowej kartę prowiantową i z nią się zwrócić do komendy kompanii dla wymeldowania się, a następnie wprost na godz. ósmą udać się na stację kolejową, gdzie zastanę porucznika Wąsowicza, aby z nim odjechać. Okazało się jednak, że porucznik Wąsowicz już odjechał o godz. 6, a w kancelarii rachunkowej odmówiono mi wydania karty prowiantowej bez polecenia na piśmie od kapitana lub z komendy kompanii. Gdym zaś się zwrócił do podporucznika w komendzie kompanii, powiedział mi, że muszę wpierw się postarać o rozkaz kapitana co do wyjazdu do Piotrkowa. I tak włóczyłem się na próżno od Annasza do Kajfasza jak w błędnym kole. Nie ma w tym porządku ani sensu. Skoro Departament zwrócił się do Domu Rekonwalescentów z prośbą wydelegowania mnie do Departamentu, to komenda Domu, względnie komendant kapitan winien albo odmówić, albo, jeżeli przyzwala, wysłać mnie. Jestem przecie tylko żołnierzem, któremu nie wolno się samemu sobą rozporządzać i którego obowiązuje tylko rozkaz. Tymczasem pozostawiono mnie w pozycji takiej, jakobym miał sam sobie zaradzić, a faktycznie wyjechać bez rozkazu, bez karty służbowej czy prowiantowej, która się na rozkazie opierać musi, nie mogę. Spróbuję jutro zwrócić się znów do kapitana i prosić go o wydanie odpowiedniego rozkazu wysłania mnie. A tymczasem z tego zwłoka. W wojsku im dalej w las, tym więcej drzew. Każdy proceder ciągnie się bez końca, wikłając się w tysięcznych formalizmach. Moja droga do Wilna wlecze się miesiącami wśród miliona tego rodzaju formalizmów. Wysiadywałem po szpitalach, włóczony byłem do superrewizji, wysiedziałem się bezcelowo w Kamieńsku, traciłem bezmyślnie miesiące czasu i dopiero się zbliżam do Departamentu, a sam nie wiem, w jakim charakterze. I jakże jeszcze daleko jestem od Wilna! Wszystkie trudności, wszystkie właściwie przeszkody dojazdu mam jeszcze nietknięte przed sobą. Doprawdy można się wściec na taką

66 Wąsowicz – bliższych danych brak

formalistykę bezduszną. Człowiek chciałby, aby rzecz szła: raz, dwa; albo nie można osiągnąć czegoś, nie można się zwolnić, a wtedy jazda do linii, albo skoro się na linię nie jedzie i ma być jakiś urlop czy przydział, to po cóż tak ciągnąć i trzymać ludzi miesiącami bez użytku, marnując ich czas i energię oraz koszt ich utrzymywania. Nieznośna jest i szkaradna ta bezcelowa, bezmyślna formalistyka mitręgi.